TAK WYGLĄDA WSPÓŁCZESNA CENZURA

YouTube zablokował dwa programy z udziałem Pawła Lisickiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 32/334 5–11 SIERPNIA 2019

To koniec starań Polski o reparacje od Niemiec?

UCIECZKA Z „RAJU" – HISTORIA KSIĘŻNEJ HAI, JEDNEJ Z ŻON EMIRA DUBAJU

Siedlecka: Jak w PRL prześladowano powstańców warszawskich

Dlaczego milczą o ataku na Kościół

CORAZ CZĘŚCIEJ BIJĄ KSIĘŻY, BLUŹNIĄ I OBRAŻAJĄ, A LEWICOWE MEDIA UNIKAJĄ TEGO TEMATU

Na zdjęciu: pobity ks. Aleksander Ziejewski, proboszcz bazyliki św. Jana Chrzciciela w Szczecinie

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 77 tys. egzemplarzy

eprasa.pl ae45b5c7b4

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl

eprasa.pl ae45b5c7b4

NAJ Z KAŻDEJ STRONY

Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.

LOTOS

Radosne świętowanie tragedii

PAWEŁ LISICKI

Dziwne to czasy, w których rzeczywistość bywa bardziej groteskowa niż to, co może sobie przedstawić wyobraźnia. No bo kto – pytam – mógł sobie pomyśleć jeszcze kilka dni temu, że obecne władze Gdańska, na czele z prezydent Aleksander Dulkiewicz, będą chciały z rocznicy 1 września – dnia, w którym Niemcy napadły na Polskę, dnia, który stał się symbolem późniejszych cierpień, mąk i straszliwego ludobójstwa – uczynić uroczystość radosną i wesołą?

Jak się okazało, w Gdańsku 1 września planowany jest marsz z „gośćmi z Niemiec, którzy chcą wziąć odpowiedzialność za winy swoich przodków", następnie zorganizowane zostaną „wspólne radosne tańce i degustacja charakterystycznych potraw i wspólne przeżywanie rocznicy". To się po prostu w głowie nie mieści. Do złudzenia pomysły takie przypominają inne, znane z historii próby radykalnego odwracania znaczeń. W PRL takimi przykładami wielkiego oszustwa były obchody rewolucji październikowej czy manifestu PKWN: w obu przypadkach rewolucja w istocie była puczem bolszewików, a manifest PKWN sprytną agitką moskiewskich komunistów – kłamstwo zostało wyniesione na piedestał. Tyle że to było w czasach, kiedy za fałszem stała siła! Kiedy propaganda opierała się na rosyjskich bagnetach. Kiedy naród był zniewolony. Dlaczego dzisiaj próbuje się tworzyć podobne co do zasady propagandowe kłamstwa? Dlaczego nie spotykają się one z mocnym oporem? Co się stało z Polakami? Albo co się stało przynajmniej z niektórymi Polakami?

„Na godz. 15.00 zaplanowano »marsz życia«, czyli radosny pochód, który rozpocznie się nieopodal Teatru Szekspirowskiego. Stamtąd uczestnicy marszu przejdą pod Bramę Zieloną, gdzie zaplanowano koncert, tańce i wspólne świętowanie" – to komunikat z oficjalnej strony miasta. Po protestach szybko został zmodyfikowany, zniknęło słówko „radosny". Jednak przecież, u licha, ktoś na ten pomysł wpadł, ktoś ten komunikat napisał. Jak można tragedię i katastrofę świętować radośnie?! To tak, jakby ktoś w czasie pogrzebu urządzał zabawę taneczną lub się cieszył i bawił na wieść o katastrofie albo śmiał się, informując pacjenta o tym, że jego stan jest beznadziejny.

W przypadku władz Gdańska powody takiego zachowania mogą być różne. Po pierwsze, być może za politykę miasta odpowiadają barbarzyńcy, ludzie nieznający polskiego kodu kulturowego. Wydaje się im zatem, że to, co tragiczne, jest radosne. Mylą znaki i symbole. Śmieją się, kiedy się płacze, i płaczą, kiedy należy się śmiać. Po drugie, co bardziej prawdopodobne, być może są to ludzie, którzy nie rozumieją, na czym polegała tragedia późniejszej okupacji. Są Polakami w tym sensie, że znają język, ale zostali wykorzenieni ze wspólnoty kulturowej. Dla nich setki tysięcy, miliony cierpiących wskutek napaści Hitlera Polaków są jakimś obcym, nieznanym ludem. Wreszcie możliwa jest i trzecia przyczyna: chodzi o dostosowanie polskiej pamięci do tego, co urzędnicy gdańscy uważają za europejskie i postępowe. O takie „przepracowanie" polskiej świadomości, żeby zniknęła z niej pamięć o własnych ofiarach, żeby zatarła się pamięć o niemieckich zbrodniach na Polakach, żeby zastąpiła ją nowa, postępowa świadomość. Zgodnie z tym nowym projektem sprawcami zbrodni wojennych nie byli już Niemcy, ale Europejczycy, którzy obecnie razem muszą ową swoją winę przezwyciężyć. Nie było winnych i niewinnych, tych, którzy wojnę wywołali, i tych, którzy zostali – wszystkie narody europejskie były w tej czy innej mierze sprawcami i teraz jako pełnoprawni Europejczycy tworzą nową przyszłość. Takie rozumowanie tłumaczyłoby osobliwe zachowanie wiceprezydenta miasta, który niedawno przypisał współwinę za wybuch wojny Polakom.

Nie wiem, które z tych tłumaczeń jest prawdziwe. Czy bardziej chodzi o brak elementarnej wrażliwości kulturowej czy o świadomy projekt budowy nowej, paneuropejskiej, świadomości, której pierwszą ofiarą musi zostać polska pamięć? Wiem natomiast, że pomysły takie są skrajnie szkodliwe i powinny pociągać za sobą wyrzucenie z pracy ich autorów. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl ae45b5c7b4

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl ae45b5c7b4

TEMAT TYGODNIA

16 KRYSTIAN KRATIUK
TO JEST WOJNA
Polska kontra antychrześcijanie

18 WOJCIECH WYBRANOWSKI
BASTION BIAŁYSTOK

21 ROZMOWA Z DR. GERARDEM VAN DEN AARDWEGIEM
WATYKAN ULEGA LGBT

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI
HOMOCENZURA

KRAJ

26 KAMILA BARANOWSKA
KOMISARZ Z KRAKOWA
Z pałacu prezydenta do Brukseli

29 PIOTR SEMKA
MŁODOPOLACY JAK SEN ZŁOTY

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TANIEC Z JEDYNKAMI

34 PIOTR GOCIEK
MONOWŁADZA BEZ „MONO"

36 MACIEJ PIECZYŃSKI
SĄDNY CZAS DLA „NADZWYCZAJNEJ KASTY"

38 ŁUKASZ WARZECHA
NIEWYSTAWIONY RACHUNEK KRZYWD

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
PROCENTY NA DRODZE

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
WYŻEJ, DALEJ, LEPIEJ

KULTURA

44 MARCIN MAKOWSKI
ZEMSTA NA FOX NEWS
Jak w serialu „Na cały głos" przedstawiono Rogera Ailesa, twórcę potęgi telewizji Fox

47 MONIKA MAŁKOWSKA
USZYTY PRZEKAZ

50 PIOTR GOCIEK
PIERWSI W BOJU

57 JOANNA BOJAŃCZYK
SPOD WIEDNIA DO NIEBOROWA

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 PRZEMYSŁAW ZAŁUSKA
UKRAINOPOLONIA
Niebezpieczeństwo nowej imigracji

62 STEFAN SĘKOWSKI
DAJĄ – BIERZ, BIJĄ – UCIEKAJ

HISTORIA

66 ROZMOWA Z WACŁAWEM HOLEWIŃSKIM
NIEPODLEGŁOŚĆ NIE SPADŁA NAM Z NIEBA
„Pogrom" – tryptyk o rewolucji lat 1905–1907

70 ŁUKASZ CZARNECKI
„CZARNY DIABEŁ" REWOLUCJI

ŚWIAT

74 OLIVIER BAULT
AGONIA FRANCUSKIEJ CENTROPRAWICY
Krajobraz po politycznym trzęsieniu ziemi

76 JOANNA BOJAŃCZYK
UCIECZKA Z „RAJU"

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI
KREDYT Z OPÓŹNIONYM ZAPŁONEM
Złotówkowicze podzielą los frankowiczów?

STYL

90 TOMASZ KAŹMIEROWSKI
SKROMNY RENESANS
Udane wina w naszym klimacie

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (64), ZYCHOWICZ, KOPER (73), WARZECHA (78), GABRYEL, RYBIŃSKI (83), KOMUDA (92), SIEDLECKA (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl ae45b5c7b4

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu tylko jeden list z obszerną odpowiedzią naszego autora. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Wódka na Okrągłym Stole", Sławomir Siwek, „DRz" 29/2019

Szanowny Panie Redaktorze, Sławomir Siwek, zajmując się alkoholowym mitem Magdalenki, próbuje rzecz całą objaśnić, aliści sam popełnia błędy. Pisze bowiem, że Adam Michnik nie brał udziału w negocjacjach w Magdalence. Otóż nie brał udziału w pierwszych trzech spotkaniach, ale już od posiedzenia w dniu 7 marca 1989 r. był stałym uczestnikiem obrad w tym formacie. Tak więc reprodukowane zdjęcie pochodzi z Magdalenki, a nie z pałacu URM, gdzie toczyły się obrady Okrągłego Stołu. Wystarczy zresztą spojrzeć na tło zdjęcia. Nie ma więc błędu w identyfikacji miejsca fotografowanego wydarzenia. [...]

Kazimierz Kłoda, sekretarz Okrągłego Stołu

Od autora

Pamięć ludzka jest zawodna. 7 marca 1989 r. nie było ostatniego plenarnego i decydującego (p. Kazimierz Kłoda nazywa je ostatnią instancją odwoławczą) spotkania negocjatorów przed Okrągłym Stołem w Magdalence. Odbyło się 2 marca. Protokół, którym dysponuję, został datowany 5 marca. Pisał go sekretarz strony społecznej Jacek Ambroziak. Sekretarzem strony rządowej był K. Kłoda. Strona rządowa: Czesław Kiszczak, Stanisław Ciosek, Andrzej Gdula, Aleksander Kwaśniewski, Janusz Reykowski, Ireneusz Sekuła, Romuald Sosnowski, Janusz Jarliński, Jerzy Uziębło. Strona solidarnościowa: Lech Wałęsa, Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Witold Trzeciakowski, Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Mieczysław Gil, Lech Kaczyński. Obserwatorzy Kościoła: bp Tadeusz Gocłowski i ks. Alojzy Orszulik.

Następne spotkania robocze w małym gronie mam udokumentowane w dniach: 13 marca (z udziałem K. Kłody) i 17 marca. W żadnym Adam Michnik nie występuje. Okrągły Stół rozpoczął obrady 6 lutego 1989 r. i trwał do 5 kwietnia. Tu już Adam Michnik jest obecny. Czy były jakieś (także w Magdalence) spotkania, w których A. Michnik uczestniczył? To pytanie, z którym w swoim tekście zwróciłem się do historyków. Co do zdjęcia ilustrującego mój artykuł. Nie ja je wybierałem i nie o nim pisałem, a o „stop klatce" YouTube drukowanej przez „Gazetę Wyborczą".

Powtórzę, o czym wielokrotnie już pisałem: w sprawie obecności A. Michnika i J. Kuronia przy Okrągłym Stole w Magdalence toczył się swego rodzaju bój. Chodziło o suwerenność strony solidarnościowej. W czasie spotkania roboczego przygotowującego skład delegacji w willi przy ul. Bacciarellego 25 stycznia 1989 r. S. Ciosek mówi, że: „musi uzyskać akceptacje swego kierownictwa. Następnie podniósł problem obecności przy »okrągłym stole« Adama Michnika i Jacka Kuronia".

Sławomir Siwek

PS Przy okazji prostuję komputerową pomyłkę daty z mojego artykułu. Spotkanie 24 stycznia dotyczyło także porządku obrad w Magdalence 27 stycznia 1989 r., a nie 27 sierpnia.

Od redakcji

Tekst dotyczący alkoholu podczas spotkań w Magdalence i obrad Okrągłego Stołu zilustrowaliśmy innym zdjęciem niż to, o którym wspominał autor. Jednocześnie w podpisie daliśmy wyraz stawianej przez niego tezie. Mogło to sugerować, że użyte zdjęcie nie powstało w Magdalence. Za to niezamierzone zestawienie przepraszamy.

Dorocie Maciei

wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci

ŚP.

Ojca

składają przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy"

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Marek Budzisz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Andrzej Szkocki/Polska Press/East News**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl ae45b5c7b4

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Matka Boska Zakazana

Praska rada miejska ogłosiła po głosowaniu, że nie wyraża zgody na restytucję kolumny Najświętszej Maryi Panny na staromiejskim rynku w stolicy Czech.

Kolumna została ustawiona w 1650 r., dwa lata po końcu okrutnej wojny trzydziestoletniej, w której katolicy wygrali z protestantami. Po długim konflikcie kolumny maryjne stawiano w wielu czeskich miastach. Czy były symbolem triumfu Habsburgów i zduszenia czeskich aspiracji narodowych? W jakiejś mierze pewnie tak. Jednak tak jak kult maryjny jest uniwersalny – tak w każdym mieście intencje bywały różne. Jedni stawiali kolumny w podzięce, że ich miasto ominęły zarazy, inni – bo dziękowali Maryi za ocalenie życia. W Pradze wystawiono kolumnę NMP, dziękując za ocalenie od zdobycia miasta przez bardzo agresywnych wówczas Szwedów.

Gdy w październiku 1918 r. Praga zrzuciła z siebie jarzmo Habsburgów, grupa antykatolickich socjalistów zorganizowała 17 listopada marsz i obaliła kolumnę jako znak austriackiego panowania. Nie oszczędzono nawet figury NMP, którą rozbito na kawałki. Dla wielu wierzących Czechów był to zły omen rzucający cień na powstanie nowej republiki. Przypomną go w 1939 r., gdy Czechy zdobył Hitler, i w 1948 r., kiedy kraj podporządkował sobie Stalin.

Akcję na rzecz odbudowy pomnika czescy katolicy podjęli od 1990 r. Bez skutku. Nowym impulsem było to, że czeski rzeźbiarz Petr Váňa odtworzył rzeźbę maryjną i ustawił ją na barce zakotwiczonej na Wełtawie. Katolicy argumentowali, że rzeźba sama w sobie była arcydziełem baroku. Wskazywali, że restytucja kolumny po akcie wandalizmu obok stojącego już na rynku pomnika Jana Husa będzie dowodem na pojednanie i wyrzeczenie się przemocy w relacjach z ludźmi wierzącymi. W końcu w 2014 r. wydział ochrony zabytków w magistracie praskim cofnął swój sprzeciw wobec odbudowy kolumny. Pozwolenie na nią wydano w lipcu 2017 r., ale już dwa miesiące potem je cofnięto. Zaczęły się kolejne petycje i wreszcie znowu zakaz cofnięto. Kiedy jednak zaczęto kopać fundament pod kolumnę, akcje wstrzymała policja. Wreszcie w czerwcu br. rada miejska przegłosowała kolejny zakaz odbudowy kolumny.

Dlaczego opowiadam państwu o tych perypetiach? W Polsce silna jest moda na czechofilię. Często idealizuje się kraj naszych południowych sąsiadów, przedstawiając go jako wzorzec dla Polaków. Przykład rozumu i umiaru w życiu publicznym. Wzorzec dystansu wobec wszelkiego zacietrzewienia – jakże inny od polskiego fanatyzmu i zafiksowania na katolicyzmie. Historia bojów o kolumnę z rynku praskiego pokazuje, że takie stereotypy bywają mylące. Sto lat po odejściu precz Habsburgów z ziem czeskich postrzeganie w kolumnie pomnika austriackiej władzy jest małostkowe. A utożsamianie się z ikonoklastami burzącymi wiek temu kolumnę winno być powodem raczej do wstydu niż dumy.

Antyklerykalizm okazuje się ślepy i nieczuły na piękno sztuki. I zawsze ubrać go można w pozornie racjonalne argumenty. Tylko zacietrzewienie zazwyczaj jest takie samo. ©℗

FOT. TOMASZ GZELL/PAP

JEST NAS 60 MILIONÓW

Tygodnik „Do Rzeczy" – jako jedyne prywatne medium – obok m.in. Senatu RP, PAP, TVP Polonii oraz Polskiego Radia, został jednym z sygnatariuszy porozumienia dotyczącego realizacji kampanii „Jest nas 60 milionów". Jej celem jest poszerzanie wiedzy o Polonii i Polakach za granicą oraz wiedzy o Polsce w środowiskach polonijnych poprzez przedstawianie historycznych, ekonomicznych i kulturowych uwarunkowań emigracji. W ramach projektu prezentowane mają być również zasługi Polonii dla lokalnych społeczeństw. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl ae45b5c7b4

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY HISTORIA

TYGODNIK „DO RZECZY"
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE KSIĄŻKA:
ANDRZEJ FEDOROWICZ
„WARSZAWA – STOLICA SZPIEGÓW"

~~728~~ ZŁ > 281,00 ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 447 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ae45b5c7b4

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Słowo Biedronia

W kolejnym odcinku serialu „Robert Biedroń wodzi za nos naiwnych" prezes partii Wiosna oznajmił, że nie będzie kandydował na jesieni do parlamentu. Będzie w przyszłym roku kandydatem lewicy w wyborach prezydenckich.

Pewnie wszyscy pamiętają: w poprzednich odcinkach serialu Biedroń najpierw obiecał mieszkańcom Słupska, że nigdy ich nie porzuci i nie przejdzie do polityki krajowej, po czym jednak porzucił i założył partię – tu trzeba przyznać, że jednak nie do końca łgał, bo faktycznie chodziło mu o przejście nie do polityki krajowej, tylko europejskiej. Z tym, że aby się to mogło udać, ludziom, których użył do budowy tej partii, nie mówił bynajmniej, że chodzi tylko o to, by po ich plecach wspiąć się na intratny stołek w Brukseli. Mówił, że to poważny ruch polityczny, którego nie opuści i który poprowadzi do sukcesu i zmieniania Polski. Wybory europejskie to tylko początek tej drogi i on, jako lider, startuje w nich tylko po to, żeby przedsięwzięcie „pociągnąć", ale mandatu do europarlamentu nie przyjmie.

Potem wszelako przyjął – i znów można powiedzieć na usprawiedliwienie, że mógł gorzej, mógł, na przykład, ochrzanić swych działaczy, że się nie przyłożyli, że wynik był niewspółmiernie słaby wobec sondażowych zapowiedzi, i to go z obietnicy zwalnia. Zamiast tego obiecał solennie, że świeżo przyjęty mandat złoży, kiedy dostanie się do parlamentu krajowego.

Teraz już wiemy, że nawet gdyby koalicja Biedroń-Czarzasty-Zandberg przekroczyła wyborczy próg – to Biedroń i tak nie będzie mógł mandatu europejskiego oddać aż do przyszłego roku. A w przyszłym roku, jeśli nawet rzeczywiście do wyborów prezydenckich stanie (sugerowane hasło: „Polityk, który dotrzymuje słowa"), to prawdopodobieństwo, by w nich wygrał, jest nieznacznie mniejsze niż to, że wysypane przez rolników pod ministerstwem jabłka ułożą się w kopię obrazu „Bitwa pod Grunwaldem".

Aktywiści Wiosny mogą więc odetchnąć z ulgą, że lider wyjaśnił wątpliwości, i brać się, niezniechęceni, do klejenia plakatów i innych wyborczych prac. A gdyby się zniechęcili – to w lewicowej koalicji mają przecież innych liderów. Równie jak Biedroń konsekwentnych i dotrzymujących słowa – wystarczy tylko przypomnieć, co o sobie nawzajem mówili jeszcze kilka miesięcy temu. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Hardcore'owo lewicowo

Jeśli się posłucha komentatorów z okolic Czerskiej, to regularnie da się słyszeć rwetes – jak to Polska skręca w prawo. Tyle że kiedy się patrzy na scenę polityczną przed wyborami, jakoś tak tego skrętu nijak nie widać. O głosy wyborców ubiegać się będzie największa od lat liczba bloków lewicowych.

Weźmy na przykład Koalicję Obywatelską. Po tym, jak Grzegorz Schetyna wprowadził do Sejmu postkomunistów: Millera i Cimoszewicza, teraz daje szansę radykalnym lewicowym liberałom: Kamili Gasiuk-Pihowicz, Barbarze Nowackiej i Joannie Jaśkowiak. Ta ostatnia znana jest głównie z tego, że jest żoną prezydenta Poznania i jakiś czas temu wrzeszczała na „strajku kobiet", iż „jest wkurwi-...a", jej wystawienie zapewne ma dać KO głosy feministek i antify. W odwodach znajdą się Katarzyna Lubnauer i socjaldemokraci: Grzegorz Napieralski i Katarzyna Piekarska.

Wystawienie byłych działaczy SLD zwiastuje wojenkę z blokiem Lewica tworzonym przez: SLD, Wiosnę i Razem. O programie tegoż sojuszu jeszcze niewiele można powiedzieć poza tym, że – jak mówił Włodzimierz Czarzasty – „lewica będzie tam, gdzie ludzi będą bili po mordach". Nihil novi – czerwoni zawsze byli tam, gdzie bito, a raczej – gdzie mogli bić – począwszy od bojówek KPP, GL-AL, czasów PRL, a skończywszy na rządach SLD, gdy pałowano antykomunistów protestujących przeciw Millerowi i Oleksemu. Jest też lewicowa Koalicja Polska tworzona przez PSL, chociaż ludowcy na chwilę lewicowości się zawstydzili i udają chadecję.

W zasadzie społecznie lewicowy PiS może spokojnie robić swoje, patrząc, jak konkurenci tłuką się między sobą i ze sobą. Nie przesadzam – godzinę po ogłoszeniu jedynek KO ze sztabu tej partii w proteście odeszła jedna z jego twarzy – Hanna Zdanowska. Ring wolny – fight! ©℗

eprasa.pl ae45b5c7b4

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O włoskich fake newsach

W Italii, tak jak wszędzie indziej, na pierwszej linii frontu wojny z fake newsami walczą uznane media establishmentu: „Nas słuchajcie i czytajcie. Jesteśmy jedyną krynicą prawdy. Inni łżą, judzą i gonią za sensacją".

A teraz spójrzcie, co zrobili włoscy piewcy sprawdzonej i wyważonej informacji z tragedią, w której amerykański student zadźgał w Rzymie karabiniera: agencja ANSA, „Corriere della Sera", „La Repubblica", publiczna RTV RAI, Sky News24 i dziesiątki innych handlarzy newsów.

Powołując się na rzekomo niepodważalne, choć anonimowe źródła w policji, ogłosili, że mordu dokonali złodzieje z północnej Afryki. Naturalnie natychmiast ruszyła nagonka na „czarnego". I rytualnie na ministra spraw wewnętrznych Salviniego, że nie daje sobie rady z ekspulsją migrantów-bandytów, bo obsesyjnie walczy ze statkami, które przywożą Włochom w prezencie Afrykanów z Libii.

Nieznani afrykańscy sprawcy mieli ukraść kobiecie torebkę z telefonem. Ta miała się skontaktować ze złodziejami, dzwoniąc na własną komórkę, a rabusie zgodzić się na oddanie torebki za 100 euro. Kobieta miała powiadomić policję i dlatego na umówione spotkanie udało się dwóch karabinierów w cywilu. Gdy próbowali zatrzymać złodziei, jeden wyrwał się i zabił agenta nożem, a w wyniku zamieszania obu złodziejom udało się zbiec.

Potem się okazało, zupełnie jak w starych dowcipach o Radiu Erewań, że ukradziono nie torebkę, ale męską torbę, nie kobiecie, ale narkotykowemu dilerowi. I w końcu że nie chodzi o Afrykanów, ale o dwóch białych jak śnieg 19-latków z USA. Ponoć studenci poszukiwali na Zatybrzu narkotyków, ale sprzedano im aspirynę. W odwecie, chcąc odzyskać pieniądze, ukradli dilerowi torbę, a on też postanowił się zemścić i zawiadomił policję. Zatrzymani studenci przyznali się do winy.

Włoskiej żurnalii powinien wyrosnąć nos Pinokia i powinna spalić się ze wstydu. Naturalnie nikt nie przeprosił za totalną kompromitację i informacje wyssane z palca. Pewnie czołowe włoskie media są zbyt zajęte walką z fake newsami. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Polska w trzech aktach

W tym tygodniu rubrykę postanowiłem podzielić na trzy części, każdą reprezentującą inne ludzkie dramaty. Zacznijmy od edukacji. „Tysiące uczniów bez szkół, brakuje nauczycieli i klas. W całej Polsce licealna apokalipsa" – poinformowała na Twitterze pod koniec lipca „Gazeta Wyborcza". „Rekrutacja do szkół to dramat wielu uczniów. Już przynoszą podania, szukają miejsc" – dodała równie apokaliptycznym tonem w zajawce kolejnego tekstu. Niespełna tydzień później było już jednak tak: „Rekrutacja do szkół średnich. Ponad 6,2 tys. wolnych miejsc w szkołach w Warszawie". Koniec świata (chwilowo) odwołany.

Przy okazji rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego niektórzy przechodzili jednak swoje własne armagedony. „Idę do domu z przystanku tramwajowego, wracam z pracy, zmierzcha. W klapie żakietu mam nadal tęczową przypinkę. Nagle zauważam idącego w przeciwną stronę gościa w koszulce z kotwicą Polski Walczącej. I na moment staje mi serce. Czy taka powinna być reakcja Polki na ten symbol?" – zapytała niejaka „feministka".

„Smutna to historia... Wszystko się popieprzyło... Ja na przykład od czterech lat nie wywieszam flagi na żadne święto, bo zwyczajnie nie chcę być w żaden sposób utożsamiana z pislamistami... Źle się z tym czuję..." – wsparła ją użytkowniczka, podpisująca się jako Karolina. Mam nadzieję, że nie musiały przechodzić traumy wychodzenia na miasto o godz. 17. Tylu znaków Polski Walczącej i flag mogłyby nie przeżyć.

A teraz dramat największy – alkoholowy rajd znanego dziennikarza. „Dziennikarskim moralistom, którzy ogłaszają z satysfakcją upadek Kamila Durczoka, uprzejmie i na marginesie chciałbym przypomnieć, że Durczok miał z czego upaść. Oni nie mają" – próbował ratować kolegę Bartosz T. Wieliński z „Wyborczej". Na szczęście nie wszyscy próbowali. „Zero współczucia dla potencjalnych morderców za kierownicą. I naprawdę mam w głębokim poważaniu, czy siedzi za nią dziennikarz czy sprzedawca z pobliskiego spożywczego. Każdy ma swoje dołki, ale nie każdy rusza w miasto uzbrojony w kałasza lub 2,6 promila. Na jedno wychodzi" – napisała Hanna Lis. Raz z czystym sumieniem mogę się z nią zgodzić. ©℗

eprasa.pl ae45b5c7b4

GADAŁ DZIAD DO OBRAZU

Aktorka Agnieszka Więdłocha w wywiadzie dla miesięcznika „Pani" opowiedziała mrożącą krew w żyłach historię o obrazie, który nabyła na warszawskim targu staroci. Obraz był z lat 30. i przedstawiał tajemniczą kobietę. „Kiedy obraz znalazł się w moim mieszkaniu, pomyślałam: »Chciałabym być tak silna, jak ta kobieta z obrazu!«. I proszę mi wierzyć, że nagle w moim życiu – wiem, że brzmi co najmniej dziwnie – zaczęły się dziać okropne rzeczy" – opowiada aktorka. „Mój ukochany kot chorował, ja czułam się źle, wszystko się popsuło. Jeden mój serial nie wypalił, drugi się skończył, a przy trzecim podjęto decyzję, że nie będzie kontynuowany. Musiałam też zrezygnować z głównej roli w filmie. W moim ukochanym łódzkim Teatrze im. Stefana Jaracza nagle nie było dla mnie żadnej roli. Do tego jeszcze pojawiły się turbulencje w moim życiu prywatnym" – relacjonuje. Początkowo Więdłocha nie zdawała sobie sprawy, że złe rzeczy mają związek z obrazem. O tym, że jej nabytek emanuje złą energią, powiedziała jej kuzynka podczas odwiedzin. Kiedy Więdłocha, idąc za jej radą, pozbyła się obrazu, jej życie zaczęło wracać do normy. „W moim życiu, w niezwykły sposób, wszystko zaczęło wracać na dobre tory. Dostałam rolę w filmie, kot wyzdrowiał, odzyskałam spokój. Dlatego dziś powtarzam, że dobrze być silną z wyboru, nie z musu. I warto uważać na to, co się mówi" – powiedziała. Nie tylko do obrazu, lecz także w wywiadach, a może zwłaszcza w nich. Do tego jednak pani Agnieszka jeszcze, jak widać, nie doszła.

INSTRUKCJA Z INSTAGRAMA

Kinga Rusin w reakcji na ostatnie wydarzenia w Białymstoku wystosowała specjalny apel do mieszkańców tego miasta, by wzięli sprawy w swoje ręce. „Białostoczanie, nie pozwólcie na dalsze niszczenie reputacji Waszego miasta" – wezwała. Wyrażając swoje przerażenie, postanowiła poinstruować biednych białostoczan, co teraz powinni zrobić. Po pierwsze poradziła im, by szli pod komisariaty oraz siedzibę prokuratury i żądali raportu z działań podjętych po marszu, po drugie nakazała iść pod siedzibę PiS, bo to on jest władzą i on za wszystko odpowiada (choć akurat Białymstokiem od lat rządzi prezydent związany z Platformą, ale skąd Kinga ma o tym wiedzieć), po trzecie poradziła mieszkańcom Białegostoku, by udali się też pod siedzibę archidiecezji i tam zaprotestowali. „Aktywnie protestujcie przeciw złu wokół was. Obudźcie się wszyscy. Bo już żyjemy, jak się okazało, w kraju faszystowskich bojówek" – stwierdziła na koniec swojego dramatycznego apelu. Możecie go znaleźć na Instagramie między fotką z dzióbkiem a serią zdjęć z wakacji. Tak się walczy z faszyzmem. Zwłaszcza tym wyimaginowanym.

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

FOT. PAWEŁ GROMADA

BĘDĘ SOBĄ

Wiadomo już, kto zastąpi Mołek i Mellera! To Małgorzata Ohme, psycholog i celebrytka w jednym, oraz Filip Chajzer, dyżurny showman stacji. „Mam poczucie ekscytacji, które też jest stresem. To, co teraz wydarzy się w moim życiu, to coś fajnego. Stresuję się dlatego, że to jest coś nowego. Takie zadania zawsze generują stres, ale jako emocje pozytywne i negatywne. To jest związane z oczekiwaniami, z nową sytuacją, z tym, że wiem, jaka była Magda Mołek, i wiem, że ludzie ją lubili" – wyznała portalowi Plejada Małgorzata Ohme. Dodała też, że mimo to nie obawia się porównań do poprzedniej prowadzącej ani nie zamierza jej naśladować, lecz chce być sobą. „Z tego powodu, że jestem sobą, zostałam zaproszona do tego programu" – stwierdziła. Jak widać, uznano, że świetnie nadaje się do rozmów o niczym. W przeciwieństwie do Mołek. Tylko żeby tym się tak chwalić?

SPÓŹNIONE BOHATERSTWO

Barbara Kurdej-Szatan kilka tygodniu po rozstaniu z TVP udzieliła wywiadu, w którym opowiedziała o tym, jak i dlaczego wyrzucono ją z telewizji. Uważa, że zdecydował kontekst polityczny. „Popierałam różne marsze protestacyjne, co było sprzeczne z polityką władz stacji, a jednocześnie uwielbiałam programy, które prowadziłam" – tłumaczy w magazynie „Party". „Nie potrafiłabym np. nie wspierać praw kobiet czy środowisk LGBT. Przecież wielu moich znajomych artystów, normalnych, bardzo dobrych, uczciwych ludzi to geje czy lesbijki" – mówi, tłumacząc, że nie żałuje rozstania z TVP. „Nie żałuję. Przynajmniej mogę sobie spojrzeć w twarz!" – stwierdza. Zaraz, zaraz, a to nie ona przez ostatnie lata była jedną z twarzy TVP, prowadziła większość programów rozrywkowych, koncertów, grała w serialach i zgarniała za to niemałą kasę? Widocznie zmusili ją do tego. Torturami zapewne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, trwa dyskusja na temat nierówności płac waginoosób i fallusoosób w świecie piłki nożnej. Piłkarzynie (pozwólcie, że będziemy używać tej formy, „piłkarka" za bardzo nam brzmi jak „zmywarka" lub „koparka") domagają się więcej pieniędzy, ale są postawione pod szklanym sufitem.

Naszym zdaniem piłkarze nie powinni zarabiać wcale, a ich wynagrodzenia powinny zostać przeznaczone dla piłkarzyń. Przecież dla przeciętnego fallusoosobnika gra w piłkę jest przygodą i przyjemnością, po co mu jeszcze pieniądze? Z kolei piłkarzynie grają po to, iżby wykrzyczeć światu nierówności wynikające z patriarchatu. Ich performatywne podejście do piłki nożnej zawiera w sobie też śmiałą dekonstrukcję podstawowych elementów tej gry, za co spotykają się z szyderstwami ze strony przeciętnych januszów. Tym bardziej więc zasługują na wynagrodzeniowy parytet 100 proc.

Bardzo podoba nam się gdańska inicjatywa świętowania rocznicy wybuchu II wojny światowej. Zwłaszcza ten pochód i tańce, o które prawica ma największy ból... Powiedzcie bowiem sami: jak długo jeszcze mamy z tej okazji się smucić? Albo jak w ogóle długo mamy się tym jeszcze przejmować? To było 70 lat temu, kaman!

W ogóle tę całą patriotyczno-zbolałą narrację o wybuchu wojny, martyrologii można byłoby zastąpić jakimś nowym świeckiem. Takim, który narody łączy, a nie dzieli, ale które zawierałoby elementy przypominające, iż Polacy w czasie wojny też kolaborowali. Chodzi o to, iżby nie dusić się ciągle w tej samej patetycznej bogoojczyźnianej atmosferze. Gdańsk chciał pokazać, iż inne obchody są możliwe, a wiadomo, jak w tym kraju postrzegana jest inność.

Do kin weszła nowa wersja „Króla Lwa" – filmu, którym nasze pokolenie, co dziś przyznajemy ze wstydem, było zachwycone. My nowej wersji nie widzieliśmy, zatem możemy się o niej wypowiedzieć obiektywnie i bez uprzedzeń. Niestety, okazuje się, iż już w XXI w., kręcąc remake filmu z lat 90., można mentalnie w nich tkwić. Autorzy filmu zamiast wprowadzić do niego innowacyjne wątki, zdecydowali się, iżby w tytule był król (patriarchat) rodzaju męskiego (patriarchat), który jest lwem (gatunkizm i tradycyjne podejście do powiedzenia „lew jest królem dżungli"). A można było z tego zrobić taką fajną nowoczesną opowieść o wykluczeniu i przebijaniu przez lwie waginoosoby szklanego sufitu, w której Simba oddaje tron Nali. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl ae45b5c7b4

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Jest! Napisany! Tajny zespół programowy PiS, który kilka dni po konwencji w Katowicach zamknął się, by pisać nowy program PiS na wybory i kolejne cztery lata, ukończył pracę. Nie zobaczymy go jednak do kongresu na początku września. „Program 2.0" – uśmiechają się wiewiórki z PiS. Autorzy programu otrzymali w związku z tym prezent, na jaki nie mogą liczyć inni – dostali od Kaczora Dyktatora pozwolenie na tydzień lub dwa urlopu.

Gotowe są też listy wyborcze PiS, tyle że w pewnym sensie. Jak wiadomo, Kaczor Dyktator i tak po uważaniu może jeszcze skreślać i dopisywać. Ważna wiewiórka z Nowogrodzkiej mówi, że jeśli potwierdzi się wiadomość o pewnym locie marszałka Kuchcińskiego, w którym jego samego nie było na pokładzie, ale była na nim rodzina, to topór spadnie i na tę szyję. Wtedy Kuchciński nie będzie ani marszałkiem, ani posłem, ani w ogóle go nie będzie.

Apropos tych, którzy nie wystartują. Z list płockich PiS tym razem nie będzie kandydował Wojciech Jasiński. Jeszcze całkiem niedawno był baronem na północnym Mazowszu. Potem prezesem Orlenu. Jego pozycja wynikała ze starej znajomości z naczelnikiem państwa. Zaszkodziła mu wieść, że stronnicy Wojciecha sabotowali europejską kampanię Zbigniewa Kuźmiuka. Złe języki mówiły nawet o zrywaniu plakatów. Martwią nas i ohydne plotki, i ohydne (ewentualne) działania.

Dementujemy natomiast wiadomości rozpowszechniane przez niektórych, jakoby Krzysztof Czabański nie znalazł się na listach PiS. Znalazł się i jest – poinformowała nas dobrze poinformowana wiewiórka. Wrogów Rady Mediów Publicznych nie brakuje, więc rozpowszechnianie plotek antyczabanowych nas nie dziwi, zastanawiamy się tylko, dlaczego robią to akurat osobnicy wcale nie z Eine Totalopposition, lecz wręcz przeciwnie.

Pierwszy raz w życiu widzieliśmy dobrą pierwszą stronę „Trybuny": zdjęcie Grzegorza i tytuł „Król skorpion"

Są też tacy, którzy od kandydowania z list PiS się wykręcili. Imię ich legion, bo po obniżkach uposażeń entuzjazm do poselskich foteli mocno osłabł. Najciekawsze przypadki widać w rządzie. Sami zobaczycie – parę znanych nazwisk na listach się nie znajdzie. No dobrze, wiemy na pewno, że przynajmniej jedno. Z wąsem.

Kolejne dementi: wbrew temu, co rozgłaszają platformersi, debata Kaczyński-Schetyna wcale nie jest wykluczona. W sztabie PiS panuje przeświadczenie, że Grzegorz nie jest mistrzem mowy polskiej ani ciętej riposty. Decyzja o debacie ma jednak zapaść dopiero na finiszu kampanii.

Apropos wyborów – krążą plotki o analizie Biura Analiz Sejmowych, z której wynika, że po dokładnym obliczeniu wybory nie mogą się odbyć 13 października, lecz najwcześniej 14. Czyli jednak dopiero w niedzielę 20 października. Czekamy na upublicznienie analizy, jeśli nie jest jedynie plotką.

Bronimy Grzegorza Schetyny. Jak można mieć do niego pretensje, że zapowiadana „niepartyjna" koalicja taka nie jest? Przecież wszystko się zgadza: ten plankton oblepiający szalupę ratunkową o nazwie PeŁo to kabaret, a nie partie. Dlatego „niepartyjna".

Inna sprawa, że układanie list Eine Totalopposition jest totalitarne, autorytarne i w ogóle PiS-owskie! Jak można tak dzielić i wykluczać ludzi?! Dlatego wszystkim pominiętym proponujemy, by zwrócili się w tej sprawie do kogoś odpowiedniego. Z doświadczeniem, kwalifikacjami i sercem na dłoni. Ten ktoś to Bartosz Arłukowicz.

Już wyjaśniamy. Kandydaci na kandydatów nie pamiętają, ale my – tak. Bartosz przecież był kiedyś ministrem do spraw ludzi wykluczonych! Nominował go (oraz stanowisko dla niego specjalnie wymyślił) sam Zły Rudy Donald z Brukseli! Wykluczeni wszystkich frakcji, łączcie się!

Uwaga, pora zmienić ksywę Grzegorza Schetyny. Już nie Ludojad ani Szablozębny, ani Zniszczę Cię. Nową ksywę wymyślił Włodek Czarzasty i my się z nim pierwszy raz w życiu zgadzamy. Nawet pierwszy raz w życiu widzieliśmy dobrą pierwszą stronę „Trybuny": zdjęcie Grzegorza i tytuł „Król skorpion".

Dla niezorientowanych: „On jest jak bohater przypowieści, w której żółw przewoził skorpiona na drugą

eprasa.pl ae45b5c7b4

stronę rzeki. Nie dopłynęli, bo skorpion nie mógł zwyciężyć swej natury i ukąsił żółwia". Tak komentował Czarzasty atak Grześka na SLD poprzez przejęcie znanych polityków Eselde. Jak widać, dzięki tej przypowiastce mamy nawet dwie nowe ksywy. Skoro Grzesiek to Król Skorpion, to Włodek jest Panem Żółwiem.

Tymczasem pod Warszawą. PiS szykuje się na bitwę z Romanem w obwarzanku. Sztabowcy z Nowogrodzkiej uważają bowiem, że mecenas zwany Koniem jednak będzie kandydatem PeŁo na senatora w tym okręgu. Zetrze się tam z marszałkiem Senatu Stanisławem Karczewskim. Poprzednio Koń dostał baty od Konstantego Radziwiłła. Teraz nawet nie wyobrażamy sobie skali batożenia.

Na wszelki wypadek gdyby skończyło się czarną polewką, mecenas Roman ma inną opcję. Pracuje nad nią jego kret w PSL-UED, czyli Misiu Kamiński. Roman miałby wtedy kandydować do Senatu jako kandydat ludowców. Biorąc pod uwagę dwuznaczną rolę Peezelu w dziejach III RP, byłoby to miejsce dla Konia jak znalazł.

Żal nam Bydgoszczu. Nie wiemy, czym zawinili mieszkańcy tego pięknego grodu, że tak ich los karze. Jak nie Jacek vel Jan vel Vincent vel Rostowski, to Radek vel Radosław vel Sknerus vel Sikorski. Jak nie Sikorski lub Rostowski, to Brejza Krzysztof, jedynka PeŁo w Bydgoszczu. Wyślemy mieszkańcom kwiaty. Może orchidee albo chryzantemy?

Żal nam też z powodu innego manewru. A właściwie jesteśmy w żałobie. Paweł Kowal jedynką PeŁo w Krakowie? To się w głowie nie mieści. Mógł być Herodotem polskiego konserwatyzmu, będzie drugim Budyniem Ujazdowskim. Inna sprawa, że naszym zdaniem barierę wstydu Kowal przekroczył już wcześniej – kiedy zaczął publikować artykuły o historii na łamach „Polityki".

Apropos Ujazdowskiego – widział go ktoś na listach PeŁo? No właśnie. Takie małe memento dla Kowala. Konserwatyści nie są Schetynie potrzebni ani jako kotwica, ani jako listek figowy. Najwyżej jako dorodna figa na przekąskę.

Paweł Kowal jedynką PeŁo w Krakowie? To się w głowie nie mieści. Mógł być Herodotem polskiego konserwatyzmu, będzie drugim Budyniem

Swoją drogą, w obliczu licznych transferów z SLD na listy PeŁo zastanawiamy się, jak Paweł Kowal będzie się czuł w towarzystwie bohaterów jego własnej książki „Koniec systemu władzy" o dogorywaniu PRL. Mamy nadzieję, że tak samo jak my, kiedy dowiedzieliśmy się o jego transferze na listy PeŁo.

Z zainteresowaniem przyjęliśmy propozycję gdańskiej Dulczessy, by rocznicę wybuchu II wojny światowej świętować radosnym korowodem, pląsami, muzyką techno i ogólną afirmacją życia. Oczekujemy dalszych postępów w tej sprawie. Czekają inne rocznice: wybuchu powstania w getcie, wyzwolenia rozmaitych niemieckich obozów zagłady, zbrodni katyńskiej itd. Naprawdę, droga Dulczesso, prawdziwi artyści przekraczają kolejne granice, więc naprzód!

Z okazji chryi o pląsy rocznicowe w Gdańsku przypominamy naszą notkę z końca czerwca. Informowaliśmy, że Dulczessa organizuje własne obchody i że „nie uwierzycie, kto twierdzi, że jej pomaga. To niejaki Andrzej Gąsiorowski, jeszcze kilka lat temu ścigany listem gończym za aferę Art-B. Sprawa się przedawniła, więc Gąsior może na nowo rozwijać skrzydła".

Pewne notki są wiecznie żywe, więc przypominamy ciąg dalszy: „Gąsiorowski od pewnego czasu łazi więc po rozmaitych kręgach i opowiada, że ma upoważnienie, by wraz ze swoją fundacją w Gdańsku zorganizować rocznicowy Marsz Życia. Fundacja Helping Hands Coalition to dziwny konglomerat dzieci byłych esesmanów (ponoć skruszone), weterani Armii Czerwonej i ocaleni z Holokaustu. Nie wiedzieliśmy, że na Westerplatte przeciw Niemcom walczyli Żydzi wraz z Sowietami". Raz jeszcze wołamy: Dulczesso, naprzód! ©℗

eprasa.pl ae45b5c7b4

Krystian Kratiuk

To jest wojna

Czas to sobie uświadomić – trwa wojna o dusze Polaków. A wojna zawsze przynosi ofiary

Połowa kwietnia, zbliża się Wielkanoc. Do jednej z warszawskich parafii przyjeżdża starsze małżeństwo chcące się wyspowiadać. To rodzice jednego z księży posługującego w innym miejscu diecezji. Żona została jeszcze w kaplicy, mąż już wychodził. Wtedy na terenie plebanii, nie wiadomo skąd i nie wiadomo po co, znalazł się agresywny mężczyzna. Pobił i ranił szklanym przedmiotem 65-latka, dostało się też próbującemu bronić ofiary księdzu. Mężczyzna, który przyszedł się wyspowiadać, zmarł w szpitalu.

Trzy tygodnie wcześniej nieznani sprawcy zdewastowali krzyż przy kościele w Katowicach. Figurze ukrzyżowanego Chrystusa odrąbano rękę i nogi.

Początek czerwca tego roku. Wrocławski kapłan zmierza do kościoła, by odprawić mszę świętą. Mężczyzna atakuje go nożem. Trafia w klatkę piersiową. Ksiądz zostaje przewieziony do szpitala, napastnik zatrzymany. Kapłan ledwo uchodzi z życiem, nożownik zaś sugeruje, że jego atak miał związek z jednym z głośnych filmów.

Zaledwie dwa dni przed atakiem we Wrocławiu do kościoła w Rypinie, w którym odprawiana była właśnie msza święta, wtargnął mężczyzna, który postanowił zaatakować ołtarz. Siekierą. Poszlachtował też mszał i inne elementy niezbędne do celebracji liturgicznych. Dalszym zniszczeniom – a może i zabójstwom – zapobieżono dzięki mężnej interwencji wiernych.

Pod koniec lipca do zakrystii szczecińskiej bazyliki św. Jana Chrzciciela wtargnęło trzech mężczyzn. Zażądali od kapłanów wydania szat liturgicznych, gdyż planowali samodzielnie odprawić mszę. Świadkowie twierdzą, że zapowiadali, iż udzielą sobie ślubu. Księża odmówili. Jeden z napastników chwycił różaniec i zaczął okładać nim duchownego po twarzy, drugi miał w ręku inny przedmiot, którym również uderzał kapłana. – Gdyby mnie trafił, to pewnie by zabił. Oni byli w jakiejś diabelskiej furii. Bluzgali, nie będę tego powtarzał. Kościelny próbował mnie zasłonić, też go uderzyli i ma szwy. Popychali panią zakrystiankę – powiedział ks. Aleksander Ziejewski.

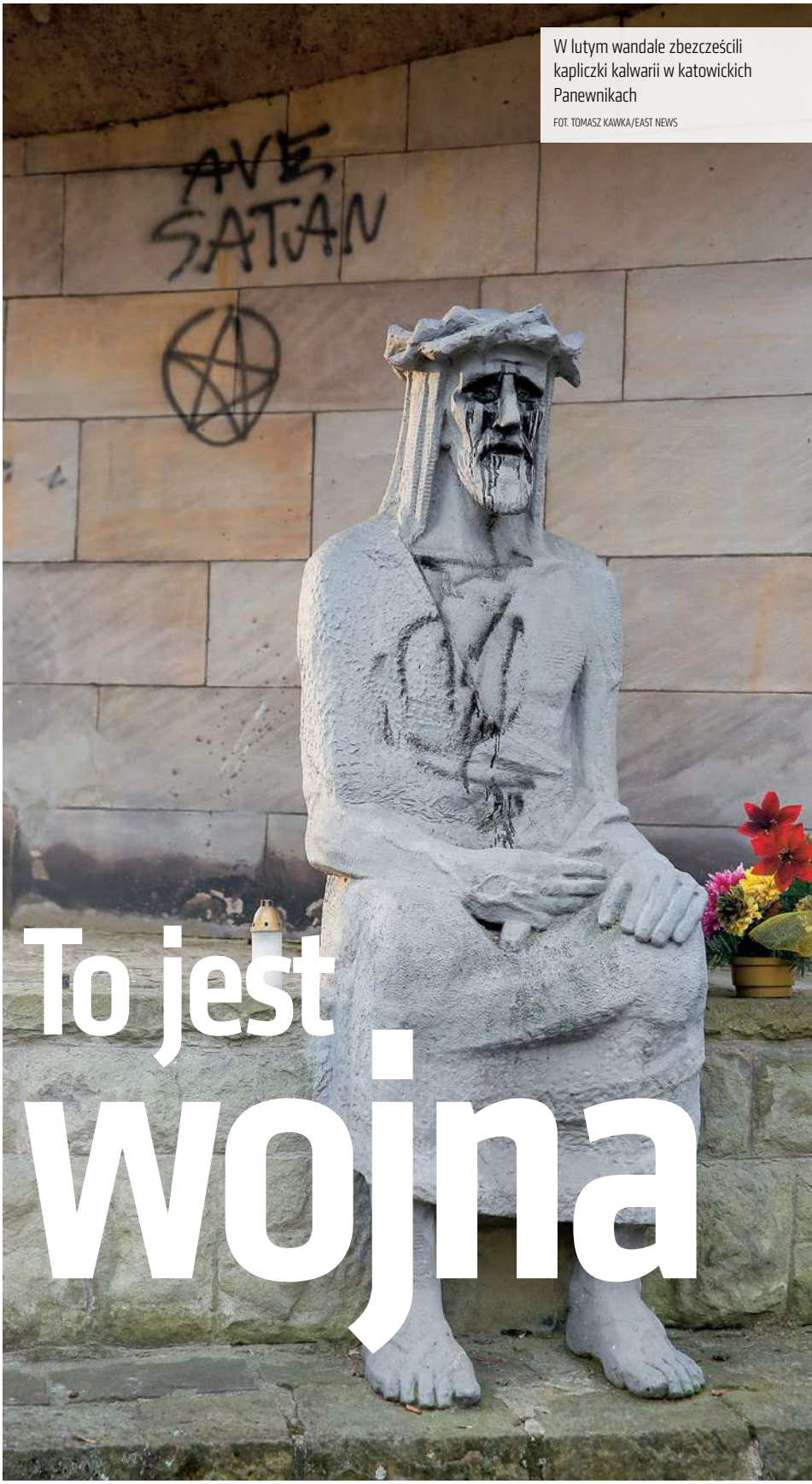

W lutym wandale zbezcześcili kapliczki kalwarii w katowickich Panewnikach

FOT. TOMASZ KAWKA/EAST NEWS

eprasa.pl ae45b5c7b4

Zaledwie tydzień wcześniej do kościoła w Suchym Lesie wbiegła wściekła kobieta. Sprofanowała ołtarz i inne części prezbiterium, zniszczyła psałterz, świece i donice. Między wydarzeniami ze Szczecina i z Suchego Lasu doszło też do ataku na księdza w Turku. Do biura parafialnego weszło czworo ludzi (trzy kobiety i mężczyzna) pragnących złożyć akt apostazji. Gdy wikary poinformował, że mogą to uczynić wyłącznie w obecności proboszcza, został zrzucony z krzesła i zbluzgany. Agresorów do opuszczenia kościelnych budynków zmusiła dopiero policja.

A poza tym? W wielkopolskiej Piłce porozrzucano znicze i kwiaty oraz powyrywano pasyjki od krzyży. W Miłkowicach w powiecie legnickim zamazano sprejem figurę Najświętszej Maryi Panny. W Zarzeczu zniszczono 22 figury świętych. W Białymstoku do katedry podczas mszy weszli dwaj półnadzy mężczyźni. Zakłócali Eucharystię okrzykami i obraźliwymi gestami kierowanymi wobec wiernych i kapłana. W Nysie posiekano maczetą figurę ukrzyżowanego Chrystusa.

To tylko wybrane przypadki z ostatnich kilkunastu miesięcy. Ataków na kaplice i kościoły w Polsce gwałtownie przybywa. Do tego należy dołożyć publiczne profanacje organizowane przez lewicowych aktywistów.

CO DALEJ?

Oczywiście o tych przypadkach nie zostaną nagrane programy publicystyczne w TVN24, a reportażyści „Gazety Wyborczej" czy „Newsweeka" nie udadzą się do wspomnianych miejsc, żeby zapytać o szczegóły. Nie połączą ich w jeden ciąg wydarzeń i nie przestrzegą przed narastającą w Polsce chrystianofobią. Nie przyrównają do „nowych Żydów" atakowanych katolickich księży, wyśmiewanych, pogardzanych i wyzywanych na forach internetowych wielkich mediów, a atmosfery zastraszania katolików do rodzącego się faszyzmu. Nie urządzą marszu tolerancji dla kapłanów i katolików, nie zbiorą się na wiecu „Stop antykatolickiej przemocy" czy choćby „Dość ataków na kościoły!".

Liczne profanacje oraz coraz liczniejsze słowne i fizyczne ataki na księży nie pasują do lewicowej narracji, gdyż łączy je lewicowa właśnie nienawiść do krzyża i symbolizowanego przezeń Kościoła, a nie do tęczy i symbolizowanej przez nią rewolucji obyczajowej.

Należy się więc spodziewać, że w kolejnych miejscach Polski katolicy będą musieli odbudowywać swoje ołtarze, rekonstruować witraże, odnawiać połamane figury. Że biskupi coraz częściej zmuszeni będą ogłaszać modlitwy ekspiacyjne za sprofanowanie Najświętszego Sakramentu, które miały już miejsce w Gdańsku, Szklarskiej Porębie, Wyszkowie czy Starachowicach. Być może doczekamy nawet momentu, w którym roczna suma aktów profanacji i napaści na kapłanów nie będzie mierzona w kilkudziesięciu, ale tak jak we Francji – w kilkuset.

Jednak przede wszystkim przygotujmy się na to, że profanacje coraz częściej pojawiać się będą w przestrzeni publicznej – w tak zwanych dziełach sztuki czy też na homoparadach. Dlatego że taki jest sprawdzony i przeprowadzony w innych miejscach świata plan antychrześcijańskiej rewolucji. Bo to właśnie o nią – o jej realizację i o ostateczny triumf – tutaj chodzi.

PROJEKT „ZNISZCZYĆ KSIĘDZA"

Przez cały świat zachodni przechodzi rewolucja – zapoczątkowana w oświeceniu, umocniona gilotyną Robespierre'a, utrwalona przez bandy Lenina i rozwinięta ku ostatecznemu zwycięstwu otworzeniem nowego etapu w roku 1968. Każda z tych odsłon dziejowych przemian przyniosła swe nieodwracalne skutki, ale każda jest częścią składową wielkiego antykatolickiego procesu.

Polacy pozostają jednym z ostatnich społeczeństw niegdysiejszej cywilizacji chrześcijańskiej, które wciąż – w coraz mniejszej skali i z coraz gorszym skutkiem – broni się przed rewolucją homoseksualną, której głównym celem nie jest wcale instytucjonalizacja jej zamierzeń, ale powszechna zmiana mentalności. A głównym powodem polskiego oporu jest wciąż stosunkowo silna wiara i tradycja Polaków, oczywiście nierozłącznie związana z Kościołem. Dlatego też usiłuje się Kościół zniszczyć.

Rewolucjoniści działają zatem na różnych polach – produkują filmy takie jak „Kler", zakończony obrazem płonącego kapłana, „Tylko nie mów nikomu" mający obrzydzić wszystko, co jest związane z sutanną i duchowieństwem, sprawiają, że najczęściej pojawiającą się podpowiedzią po wpisaniu w wyszukiwarkę słowa „ksiądz" staje się słowo „pedofil", nagłaśniają każde kontrowersyjne z punktu widzenia politpoprawności zachowanie duchownego itd. To wzbudza w odbiorcy różne reakcje – od utraty zaufania do kapłanów, przez zachwianie wiary, odejście z Kościoła, aż do wzbudzenia chęci dokonywania profanacji czy atakowania katolików. Wszystkie te reakcje są, rzecz jasna, zamierzone.

DOBRA WOJNA POLSKO-POLSKA

Polski spór polityczny, często żenujący i oparty na kłótniach o rzeczy niemające żadnego znaczenia, z uwagi na swą ostrość nazywany jest często wojną polsko-polską. Wojną, której chęć zakończenia deklarują co jakiś czas przywódcy jednej i drugiej strony. W tym roku jednak polityczny spór toczy się o sprawy naprawdę ważne, niestety wyłącznie dlatego, że politykom wyczerpały się poprzednie rodzaje paliw wyborczych i niektórzy z nich zawiązują taktyczny sojusz z radykalnymi rewolucjonistami, inni zaś na odwrót – z katolickimi kontrrewolucjonistami.

Istnienie wojny polsko-polskiej jako takiej jest więc dobre – mimo że zgodnie potępiają je i konserwatywni, i lewicowi publicyści. Świadczy bowiem o tym, że w dobie zawładnięcia światem przez antychrześcijańską rewolucję, w Polsce jacyś katolicy chcą jeszcze o nasz kraj walczyć.

Ta wojna polsko-polska jest bowiem wyłącznie elementem wielkiej światowej rozgrywki – ostatecznej rozprawy z cywilizacją chrześcijańską. Gdyby wszyscy Polacy wywiesili białą flagę, to choć nie byłoby już osławionej wojny, nie byłoby też już Polski, polskiej wiary i polskiego Kościoła. W wielu krajach katolicy już się poddali. Między innymi dlatego, że rządząca tam od czasu do czasu prawica szybko przepoczwarzała się w nieodróżnialną od lewicy prawicę bezobjawową. A czyż nie taką można by nazwać na przykład partię mającą pełnię władzy, a uchylającą się od wypowiedzenia konwencji genderowej, zakazu homopropagandy i obscenicznych marszów, wyrzucenia z polski zagranicznych organizacji promujących homoseksualizm czy zakazu indoktrynacji seksualnej w szkołach?

To nie politycy jednak ostatecznie rozstrzygną o triumfie lub porażce rewolucji, której najnowszą odsłoną są ataki na księży i miejsca kultu w Polsce – choć rządzący mogą walnie przyczynić się do każdego z tych scenariuszy. O wszystkim zdecydują sami Polacy, ich wierność składanemu co niedziela Wyznaniu Wiary oraz gotowość do bronienia jej. Wczoraj za cenę wyśmiewania i poniżania, dziś za cenę bicia kapłanów i dewastowania świątyń. A jutro?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl ae45b5c7b4

Wojciech Wybranowski z Białegostoku

Kilkanaście tysięcy ludzi: katolików i prawosławnych, kilkadziesiąt zgromadzeń mających zablokować przejście marszu LGBT obok wielkich białostockich świątyń, nocne czuwania pod pomnikami i miejscami kultu. Stolica Podlasia staje się symbolem społecznego oporu wobec nachalnej ideologii

FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

Bastion Białystok

Obroniliśmy Białystok", „Pokazaliśmy, że nie chcemy homopropagandy", „Taki sprzeciw w każdym mieście" oraz „ Wróciliśmy, żyjemy. Przeszliśmy, Białystok nasz!", „Ostatni bastion w Polsce padł!", „Jeszcze tu wrócimy!" – takie wpisy i komentarze przeciwników oraz zwolenników środowisk LGBT pojawiły się na forach i w mediach społecznościowych po 20 lipca. Tego dnia ulicami Białegostoku przeszedł liczący ok. 800 osób pochód sympatyków ideologii LGBT – pierwszy białostocki Marsz Równości, a kilkanaście tysięcy mieszkańców miasta temu marszowi się sprzeciwiło. Doszło do wyzwisk, poleciały kamienie i jajka, kilku uczestników pochodu LGBT miało zostać lekko poturbowanych.

„Konfrontacyjny charakter tego wydarzenia staje się symbolem głębokiej wojny kulturowej, która trwa w całej Polsce między europejską nowoczesnością a rzekomą obroną tradycji polsko-chrześcijańskiej" – perorował na łamach „GW" Jakub Iwaniuk, korespondent lewicowego francuskiego „Le Monde".

– Moim zdaniem marsz, który odbył się w Białymstoku, wyzwolił działanie zła, i to po dwóch stronach. Bezwzględnie złem była agresja, którą widzieliśmy i której nie można usprawiedliwić, ale złem trzeba też nazwać przekaz medialny, który w sposób bardzo krzywdzący relacjonował później te wydarzenia i szybko znalazł kozła ofiarnego – mówi „Do Rzeczy" ksiądz dr Andrzej Dębski, rzecznik prasowy archidiecezji białostockiej.

Rzeczywiście – w materiałach, które pojawiły się w mediach, oraz w wypowiedziach lewicowych polityków i dziennikarzy trudno znaleźć choćby wzmiankę o celach, które przyświecały białostoczanom chcącym zatrzymać przemarsz. Sporo było za to porównań do pogromu Żydów w czasie II wojny światowej, kłamliwych informacji o rzekomych ofiarach śmiertelnych czy licznych ofiarach pobicia.

– Po kilku dniach, które minęły od marszu, widać wyraźnie, że w Białymstoku nie chodziło tylko o umożliwienie przejścia przez miasto kilkuset osobom, ale poszło o coś znacznie większego – uważa ks. Dębski.

Spędziłem kilka dni w Białymstoku, rozmawiając z jego mieszkańcami. Jak do tego doszło, że inaczej niż w innych polskich miastach tysiące ludzi spróbowało powiedzieć „stop" marszowi LGBT?

MIASTO BUNTU

„Białystok domem dla wszystkich" – tak brzmiało hasło przewodnie lipcowego Marszu Równości. Demonstrujący domagali się, jak twierdzili, równych praw dla wszystkich, niezależnie od poglądów, orientacji seksualnej i wyznania. Marsz miał być kagankiem oświaty niosącym nowe trendy na Podlasie.

eprasa.pl ae45b5c7b4

Kiedy przyjeżdżam do miasta, trwa właśnie coroczna impreza Podlaska Oktawa Kultur, międzynarodowy festiwal muzyki, sztuki i folkloru. Na sporej scenie przy Rynku Kościuszki grają ludowe zespoły ze świata. Nikt nikogo nie napada, nie bije. Ci sami białostoczanie wcześniej blokowali przemarsz sympatyków LGBT. Byli to nie tylko kibice i narodowcy, lecz także cały przekrój wiekowy Białegostoku – od dzieci do osób w podeszłym wieku.

– Ludzie przyszli pokazać swój sprzeciw wobec ideologii LGBT. Największym bodźcem, który skłonił ich do wyjścia na ulice, było to, co działo się w innych miastach, i chęć niedopuszczenia do tego, by podobne zdarzenia miały miejsce także w Białymstoku – mówi nam Adam Tołoczko, szef stowarzyszenia Dzieci Białegostoku, skupiającego kibiców miejscowej Jagiellonii i jeden z organizatorów pikiety anty-LGBT. Zauważa, że mieszkają tu obok siebie katolicy i prawosławni, muzułmanie, Tatarzy i nikt sobie do gardeł nie skacze. – Tak samo jest pewnie z homoseksualistami, bo jeśli ktoś mieszka sobie w bloku czy domku z partnerem tej samej płci, to nikt na nich ręki nie podnosi, bo zapewne nikogo to nie interesuje. Jednak są środowiska, które próbują narzucić swoje ideologie i przekonania, z czym nie zgadza się większość społeczeństwa, i to sprawia, że ludzie się buntują, wychodzą na ulice – twierdzi Tołoczko.

„Bunt" to słowo klucz. Od wielu miesięcy środowiska LGBT epatowały w mediach społecznościowych wydarzeniami, do których doszło w Gdańsku, gdzie sprofanowano Najświętszy Sakrament; w Częstochowie, gdzie również uczestnicy „parady równości" sprofanowali wizerunek Matki Boskiej; w Warszawie, gdzie marszowi równości towarzyszyła bluźnierca parodia mszy świętej.

W Białymstoku planowana trasa Marszu Równości prowadziła obok dwóch ważnych dla białostoczan kościołów. To wzbudziło wśród mieszkańców obawy, że znów może dojść do prowokacji.

– Trzeba sobie jasno powiedzieć, że mieszkańcy Białegostoku w olbrzymiej większości tego marszu nie chcieli. A w szczególności nie chcieli, żeby przeszedł przez centrum, przed największymi świątyniami, bo przed cerkwią św. Mikołaja przy ul. Lipowej i katedrą katolicką – opowiada Paweł Myszkowski, białostocki radny PiS. – Przed marszem przychodziło do mnie sporo rozżalonych ludzi z pytaniami: Dlaczego akurat Białystok i jak przeciw temu protestować?

– Pracuję w kurii 13 lat i nigdy nie widziałem tak wielu oddolnych inicjatyw, które łączył jeden cel. Ludzie sami się organizowali, zbierali podpisy przeciw marszowi. Do kurii spłynęło ich 25 tys. Do tego na platformie citizen.go jest ich kilkanaście tysięcy – mówi ks. dr Andrzej Dębski. – Powstały inicjatywy 50 kontrmanifestacji, które chciały zablokować ten marsz. Zabrakło uszanowania woli ludzi, mieszkańców miasta, którzy nie życzyli sobie takiego marszu w Białymstoku, nie zgadzali się na to, by święte symbole wiary były profanowane.

Środowiska kibicowskie, narodowe i patriotyczne niezależnie od siebie zgłosiły do urzędu miasta demonstrację w miejscu, w którym miał przechodzić Marsz Równości. Gdyby magistrat takie zawiadomienie przyjął, organizatorzy marszu LGBT musieliby zaproponować inną trasę. Nie udało się. Białostoccy urzędnicy przekonywali, że Tęczowy Białystok (bo tak nazwali się organizatorzy Marszu Równości) złożył zawiadomienie o organizowanej manifestacji cztery sekundy wcześniej niż kibice Jagiellonii.

– Urząd miasta uznał, że to ich demonstracja ma pierwszeństwo, gdyż tak mówi ustawa o zgromadzeniach. Jedna z organizacji na rozprawie administracyjnej złożyła wniosek formalny, by biegły sądowy mógł sprawdzić skrzynkę urzędu miasta, czy rzeczywiście wniosek LGBT był pierwszy, ale magistrat odrzucił ten wniosek – opowiada nam Adam Tołoczko.

Na dzień 20 lipca w sumie do magistratu zgłoszono blisko 50 zgromadzeń na trasie zbliżonej do trasy przemarszu LGBT. Część z nich odbyła się legalnie, cześć miała charakter zgromadzeń spontanicznych. Marszałek województwa podlaskiego Artur Kosicki (PiS) zorganizował w kontrze do marszu LGBT Piknik Rodzinny, na który przyszło kilkaset osób. I tą sprawą zajmą się teraz śledczy, bo prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski (PO) zapowiedział złożenie przeciw marszałkowi doniesienia do prokuratury. Truskolaski uważa, że to piknik był nielegalnym zgromadzeniem, a za awantury na trasie Marszu Równości odpowiadają m.in. marszałek i jego współpracownicy, którzy mieli pomagać w blokowaniu marszu. Z kolei marszałek Kosicki zapowiedział złożenie zawiadomienia przeciw Truskolaskiemu, bo jego zdaniem prezydent powinien zakazać organizacji marszu.

7 lipca arcybiskup białostocki Tadeusz Wojda wystosował list odczytywany we wszystkich białostockich parafiach. Napisał w nim, że marsz środowisk związanych z LGBT jest inicjatywą obcą podlaskiej ziemi i społeczności, która jest mocno zakorzeniona w Bogu. Przypomniał, że podczas wcześniejszych „parad równości" szydzono z wartości chrześcijańskich, profanowano święte symbole, wypowiadano bluźnierstwa przeciw Bogu i wulgaryzmy pod adresem ludzi wierzących. „Wobec takiej postawy mówimy stanowcze »nie« i powtarzamy za kard. Stefanem Wyszyńskim »Non possumus« – nie możemy się na to zgodzić! Nie możemy pozwolić, aby wyśmiewano wartości dla nas najświętsze i bezkarnie obrażano nasze uczucia religijne. Nie bądźmy wobec tego faktu obojętni!" – napisał kapłan.

Teraz część środowisk lewicowych i LGBT domaga się odwołania abp. Wojdy, sugerując, że odpowiada on za zamieszki, do których doszło w trakcie marszu LGBT. Katolicki hierarcha przemoc zdecydowanie potępił. W specjalnym komunikacie stwierdził jednoznacznie, że „nie do pogodzenia z postawą chrześcijanina, naśladowcy Chrystusa, były akty przemocy i pogardy. Te, w żadnym przypadku, nie mogą być usprawiedliwiane i akceptowane. Są to czyny przeciwne nauczaniu Chrystusa".

BIAŁYSTOK NA ULICACH

– Nie byłem ani na marszu LGBT, ani na żadnej pikiecie przeciwko niemu. Niech sobie ludzie manifestują, co chcą. Ale wie pan, co mnie mierzi? Wykorzystywanie dzieci do swojej walki politycznej. W mediach na zdjęciach widziałem, że w tym całym Marszu Równości w pierwszym szeregu szły dzieci. Dzieci z naszych gimnazjów – mówi taksówkarz, który wiezie mnie pod pomnik Bohaterów Ziemi Białostockiej, w pobliżu którego tydzień wcześniej zaczęła się manifestacja środowisk LGBT. To tam już w noc poprzedzającą demonstrację zaczęli się gromadzić przeciwnicy Marszu Równości.

– O godz. 20 zaczęło się czuwanie pod pomnikiem Bóg Honor Ojczyzna przy pl. NZS, gdzie miał się zacząć Marsz Równości. W materiałach promocyjnych marszu przerobiono hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna" na „Wolność, Równość, Miłość". Obawiano się, że dojdzie do zbezczeszczenia pomnika – mówi nam Przemysław M. Klimek z Podlaskiego Instytutu Rzeczypospolitej Suwerennej.

Pomnik Bohaterów Ziemi Białostockiej dla miejscowych środowisk

eprasa.pl ae45b5c7b4

prawicowych i patriotycznych jest szczególnie ważny. Osiem lat temu byli więźniowie polityczni czasów PRL i antykomunistyczni działacze na tej PRL-owskiej bryle doczepili właśnie napisy „Bóg, Honor, Ojczyzna" i wyraźną koronę na głowie orła. Latami miejscowi postkomuniści walczyli o usunięcie tych symboli. Sprawą zajmowała się nawet Prokuratura Generalna. Dopiero przed rokiem zalegalizowano napis, dodano też kolejny: „Niepodległość". Te patriotyczne napisy stały się solą w oku dla środowisk „GW". Aprobatę pisma zyskała np. akcja artystki Agaty Awruk, która doczepiła na pomniku małe tabliczki „Tolerancja", „Przyzwoitość" oraz „Kocham The Rolling Stones".

Kilka godzin przed planowanym Marszem Równości na placu przy pomniku na pikiecie zorganizowanej przez kibiców Jagiellonii stało już ponad tysiąc osób. Część mediów podała informacje, że kibice na ten dzień zawarli „pakt o nieagresji", ale był to celowo wypuszczony przez środowiska kibicowskie fake news.

– Nie było zjednoczenia kibiców. Pojedyncze osoby z innych klubów: z Mazura Ełk, Śląska Wrocław i Motoru Lublin, widziałem ludzi w koszulkach Sparty Augustów, Legii Warszawa, Ruchu Chorzów, ale w sumie kibiców z innych miast raczej nie było więcej niż 30 osób – twierdzi Tołoczko.

Ludzie w klubowych koszulkach, podobnie jak działacze z symbolami organizacji narodowych: ONR i Młodzieży Wszechpolskiej, ginęli w tłumie zwykłych białostoczan – rodzin z dziećmi i osób starszych. Ten zwarty mur ludzi uniemożliwiał wejście na plac sympatyków LGBT. – Marsz Równości został przesunięty o pół godziny. Był ogromny opór mieszkańców, a policja przez długi czas nie wpuszczała działaczy LGBT na teren zgromadzenia – opowiada nam Klimek.

Kilkaset osób (a według niektórych źródeł nawet tysiąc) przyszło też w okolice kościoła św. Rocha na zwołany przez marszałka Kosickiego Piknik Rodzinny. – Nikt z nas się nie spodziewał, że tylu ludzi wyjdzie na ulice. To pokazuje, jak bardzo duży jest opór mieszkańców Białegostoku przeciw takim wydarzeniom – mówi Sebastian Łukaszewicz, przewodniczący klubu radnych PiS w podlaskim sejmiku. I dodaje: – Jak szliśmy pokojowym marszem od kościoła św. Rocha, to pod cerkwią św. Mikołaja czekali na nas prawosławni, którzy dołączyli do pochodu.

Najwięcej białostoczan zgromadziło się na modlitwie „za nawrócenie osób LGBT" pod białostocką katedrą. – Ściana wschodnia jest wciąż jeszcze ostoją konserwatyzmu. Poza tym my w Białymstoku, podobnie jak inni Polacy, nie lubimy kogoś, kto jest nachalny. A ten marsz był nachalną promocją LGBT, wchodzącą w nasze codzienne życie, depczącą wartości, które są dla nas ważne. Trochę na zasadzie „oni nas tu nie lubią, mają inne idee, to my tu przyjedziemy i pomaszerujemy" – mówi „Do Rzeczy" członek miejscowego Obozu Narodowo-Radykalnego, który nie chce ujawniać swojego nazwiska. – Do tego ludzie słyszą, co się dzieje np. w Warszawie, ci seksedukatorzy, „latarnicy"… I chcieli zaprotestować. Nie chcą tego w naszym mieście.

PRZEMOC I PROPAGANDA

To właśnie modlącym się w pobliżu katedry udało się przyblokować na moment przemarsz środowisk LGBT pod kościołem. Pochód został skierowany w ul. Legionową, ale tam napotkał opór kolejnej, legalnej blokady. Policjanci zawrócili go więc na trasę w okolice katedry i utorowali uczestnikom Marszu Równości przejście.

Media obiegły informacje o rzekomo brutalnych napaściach na uczestników Marszu Równości, pobiciach, agresji. W Internecie kolportowano nawet nieprawdziwe informacje o ofiarach śmiertelnych.

Rzeczywiście do karygodnych aktów agresji na ulicach Białegostoku doszło. Jedną z jej ofiar jest nastolatek, któremu napastnik kopnięciem złamał obojczyk. Białostocka policja ustaliła już tożsamość 123 osób, które podczas Marszu Równości złamały prawo. Warto jednak zauważyć, że przemoc wobec maszerujących miała dużo mniej niebezpieczny charakter, niż przedstawiły to lewicowe media. W dodatku część z takich informacji budzi wątpliwości – np. w przypadku jednej z osób uczestniczących w marszu LGBT, która miała zostać pobita, internauci ustalili, że bijącymi byli jego koledzy, z którymi ma wspólne zdjęcia na facebookowym profilu.

Do większości mediów nie przedostały się natomiast informacje o agresji uczestników Marszu Równości wobec kontrprotestujących. Ci byli prowokowani wulgarnymi okrzykami, w kilku przypadkach obrzucono ich jajkami. – Sam to widziałem. Szli i pokazywali „fuck you", leciały jajka. Nie żeby przeciwnicy marszu byli aniołami, bo i kamienie leciały w stronę tych z tęczowymi flagami, ale demonstrujący odrzucali je w tłum przypadkowych ludzi. Agresja była z obu stron – relacjonuje barman z jednej z kawiarenek przy Rynku Kościuszki.

Gdy rozmawiam z mieszkańcami miasta bawiącymi się na Podlaskiej Oktawie Kultur, słyszę, że wstydzą się tego, iż doszło do przemocy. I chcą, by ich miasto było dalej wielokulturowym symbolem podlaskiej gościnności. Większość z naszych rozmówców dodaje też jednak, że ich zgody na seksedukatorów w szkołach, na rozbijanie tradycyjnego modelu rodziny nie będzie.

Tydzień po Marszu Równości w Białymstoku politycy lewicy wydarzenia w tym mieście wykorzystali do politycznej propagandy, organizując w nim wiec pod hasłem „Polska przeciw przemocy". Pojawili się na nim m.in. Adrian Zandberg z partii Razem, Włodzimierz Czarzasty oraz Robert Biedroń.

– Chcemy normalnej Polski! Moja mama mówiła mi, że kiedy się dowiedziała, że jestem gejem, to był dla niej trudny moment. To były najtrudniejszy moment i najtrudniejsze słowa w jej życiu, bo wyrastała w kraju, w którym od lat sączono historię, że geje i lesbijki nie tworzą normalnej rodziny. Dzisiaj moja mama jest z nami, trzyma tęczową flagę i jest ze mnie dumna. Zmiana jest możliwa! – krzyczał Robert Biedroń.

Obserwowałem ten wiec. Wbrew zapewnieniom części mediów, nie przyciągnął on mieszkańców Białegostoku. W grupie ok. 400 wiecujących przeważały osoby przywiezione z innych miast: aktywiści partii Razem, SLD i Wiosny. Zamiast białostoczan pod sceną spotkałem aktywistów z Katowic, Opola, Warszawy, Gdańska i Poznania.

Agnieszka Siewiereniuk-Maciorowska, szefowa portalu Dzień Dobry Białystok, powiedziała mi, że w pobliżu miejsca wiecu naliczyła siedem autokarów i jednego busa, którymi przyjechali wiecujący. Jej zdaniem oznacza to, że w 400-osobowym tłumie nie było więcej niż 50 mieszkańców miasta.

– Być może Białystok miał być pewnego rodzaju symbolem dla środowisk LGBT. Być może będą tutaj organizowane kolejne marsze. Nie wiem, w którym kierunku to pójdzie. Najgorsze jest to, że jeśli odpowiada się złem na zło, to zło się eskaluje, czyli powiększa. Jedynym lekarstwem na nie jest dobroć, a ta musi wypływać z obu stron – konkluduje w rozmowie z „Do Rzeczy" ks. dr Andrzej Dębski, rzecznik białostockiej kurii.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

FOT. ALESSANDRA BENEDETTI/CORBIS/GETTY IMAGES

Z dr. Gerardem van den Aardwegiem, katolickim psychologiem, znawcą tematyki LGBT
rozmawia Piotr Włoczyk

Watykan ulega LGBT

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego ktokolwiek miałby postrzegać Parady Równości jako zagrożenie dla społeczeństwa? Ot, tysiące uśmiechniętych ludzi manifestuje swoją otwartość w sprawach życia seksualnego...

DR GERARD VAN DEN AARDWEG: To bardzo przemyślana strategia. Siły, które chcą wywrócić ten świat do góry nogami, koncentrują się na temacie ludzkiej seksualności. To potężna broń, ponieważ ta sfera potrafi ogromnie wpływać na zachowanie ludzi. A jeżeli zmieni się zwyczaje seksualne, to można zmienić całą kulturę, całe społeczeństwo i zepchnąć tym samym ludzi wierzących na kompletny margines.

Na prawicy często słychać opinię, że tak jak komunizm używał kiedyś walki klas jako tarana, tak teraz skrajna lewica chce przeorać społeczeństwa za pomocą emancypacji mniejszości seksualnych.

Podpisuję się pod tą opinią. Jeżeli prześledzimy korzenie ruchu rewolucjonizującego życie seksualne w Europie Zachodniej, a także przyjrzymy się samym początkom ruchu gejowskiego, to widać tam marksizm. Ci działacze byli po prostu komunistami! Przedstawiciele tzw. szkoły frankfurckiej mieli pomóc w naukowy sposób wywrócić dotychczasowy ład. Cały ten ruch był inspirowany i bezpośrednio wspomagany przez Sowietów! Po upływie jednego pokolenia od rewolucji 1968 r. ci ludzie mogli już odtrąbić sukces. Struktury państwa niemieckiego zostały opanowane przez osoby sympatyzujące z postulatami ruchu gejowskiego. Tak samo jak komunizm ideologia LGBT podkopuje fundamenty zachodniego świata, zbudowanego na chrześcijaństwie. Chyba nikt nie ma bowiem wątpliwości, że tęczowej flagi za nic w świecie nie da się pogodzić z wiarą chrześcijańską.

Kościół próbuje odpowiedzieć jakoś na coraz silniej zakorzeniającą się w naszych społeczeństwach ideologię gender. Niedawno Kongregacja ds. Edukacji Katolickiej opublikowała dokument pt. „Mężczyzną i kobietą stworzył ich. Z myślą o drodze dialogu o kwestii gender w edukacji", który ma pomóc katolickim nauczycielom uporządkować wiedzę w tym zakresie. Dokument ten został skrytykowany przez ruch LGBT jako „średniowieczny", więc wydawałoby się, że jest on jak najbardziej ortodoksyjny. A jednak również pan mocno go krytykuje...

Tak, ja również widzę w nim wiele problemów, choć oczywiście z zupełnie innej perspektywy. Na pierwszy rzut oka wydaje się on bardzo tradycyjny, ale w rzeczywistości tak nie jest. Tak naprawdę ten dokument otwiera drogę do rozwadniania nauczania Kościoła. Jego autorzy wprost piszą przecież o dyskutowaniu na temat gender z ludźmi, organizacjami, którzy są w rzeczywistości antykatoliccy. To neopogańskie grupy, które na całym świecie promują edukację seksualną w najbardziej liberalnym kształcie, gdzie o seksie rozmawia się tylko pod kątem technicznym, a aborcja traktowana jest jako zupełnie podstawowe prawo człowieka.

Mam wrażenie, że treść tego dokumentu można streścić w zdaniu: „»Nie« dla ideologii gender, »tak« dla dialogu z badaczami z kręgu tzw. studiów gender". Co jest złego w próbie przekonywania takich ludzi do stanowiska Kościoła? Chyba bowiem o taki rodzaj dialogu chodzi autorom.

Nie zgadzam się. Efektem takiego dialogu będzie właśnie otwieranie drzwi dla ideologii gender. Kościół, Watykan ma obowiązek właściwie nauczać o moralności. To wielki problem. Na całym świecie zagrożone są przede wszystkim dzieci. Myślę, że spotka to również pański kraj, o ile ten proces już się nie zaczął w Polsce. Kościół musi pójść na wojnę z neopogańską edukacją seksualną w szkołach, z lansowaniem tego tematu w mediach. To wielkie zadanie dla Kościoła. Dialogowanie z takimi ludźmi, organizacjami bardzo dobrze brzmi, ale to nie jest odpowiednia droga dla Kościoła. Trwa wojna!

eprasa.pl ae45b5c7b4

Jeżeli twój wróg chce zabić twoją cywilizację, to musisz zacząć planować obronę. Musimy przygotowywać kontratak, a zamiast tego pozwalamy na infiltrowanie przez wrogą ideologię naszych szkół, uniwersytetów, domów, a nawet seminariów i kościołów.

Niech nikt nie ma tu wątpliwości – po drugiej stronie są prawdziwi „misjonarze". Z ogromnym zapałem rozprzestrzeniają po całym świecie swoje złe nauczanie i starają się podkopywać pozycję Kościoła. Więcej aborcji, rozwodów i „otwartości" seksualnej – ich starania odgrywają w tym wszystkim wielką rolę.

Jak Kościół miałby nawrócić tych ludzi, jeżeli dialog miałby nie wchodzić w grę?

Jeżeli druga strona jest kompletnie w błędzie, to nie ma tu miejsca na jakikolwiek dialog. Kościół musi bronić wierzących przed tymi atakami na dusze i równocześnie jasno nauczać w zgodzie z tradycją. Złamanie moralności seksualnej ma w dłuższej perspektywie potwornie niszczącą moc wobec chrześcijańskiej kultury.

Tylko że trudno oczekiwać chyba od obecnego pontyfikatu innego podejścia do tego tematu. Papież Franciszek dialogowanie ma chyba wpisane w swoją naturę.

To dobrze brzmi, ale najpierw trzeba głosić prawdę o zbawieniu. W takich rozmowach dyskutanci nie są bowiem na tym samym poziomie. To znaczy, że tu nie ma dwóch równoprawnych stanowisk. Celem nie jest dyplomatyczne utrzymywanie kontaktów z całym światem, tylko nawrócenie neopogan i ochrona chrześcijan. Niestety, obecny papież swoimi wypowiedziami przysparza tylko zamętu i otwiera drzwi dla błędnych idei. Weźmy choćby bardzo niebezpieczną praktykę dopuszczania rozwiedzionych katolików, żyjących w nowych związkach, do komunii świętej w niektórych diecezjach.

Jednakże wydaje się, że papież Franciszek zdaje sobie w pełni sprawę z tego, czym jest rewolucja gender. „Dzisiaj trwa wojna światowa, by zniszczyć małżeństwo. Jest wielki wróg małżeństwa dzisiaj: to teoria gender. Niszczy się je nie za pomocą broni, ale idei; niszczą je kolonizacje ideologiczne" – powiedział papież w 2016 r. Czy da się jaśniej przedstawić głęboki sprzeciw wobec tych zjawisk?

Słowa słowami, ale praktyka jest inna. Obecnie Kościół nie wskazuje wystarczająco często, że jedna tylko droga jest dobra, a inne prowadzą na manowce. Zamiast tego raz na jakiś czas słyszymy mocne słowa z ust papieża i od razu jest to wyłapywane. A przecież to powinna być norma u Franciszka! Kościół powinien cały czas interweniować wszędzie tam, gdzie wierni zbaczają z drogi wytyczonej przez Jezusa Chrystusa. Tymczasem obecna strategia Kościoła nie jest nawet nastawiona na obronę, lecz jest wręcz pasywna. Chcemy być przyjaciółmi wszystkich. Tak się nie da. Trzeba wyrazistości, inaczej z kościołami na całym świecie stanie się to co na Zachodzie. Letniość sprawia, że ludzie zaczną masowo odchodzić gdzie indziej.

Jednak w omawianym dokumencie nie brak słów, których nijak nie można zaklasyfikować jako letnie. Autorzy „Mężczyzną i kobietą stworzył ich..." piszą choćby, że zwolennicy ideologii gender dążą do „znoszenia różnic między mężczyznami i kobietami, przedstawiając je wyłącznie jako efekt uwarunkowań historycznych i kulturowych". Czy to nie są mocne słowa, przedstawiające bardzo konkretną diagnozę?

> **Musimy przygotować kontratak, a zamiast tego pozwalamy na infiltrowanie przez wrogą ideologię naszych szkół, domów, kościołów**

Te słowa mogą uśpić czujność niektórych wiernych, ale nie możemy być naiwni. Tego dokumentu nie da się oceniać pozytywnie. Już w 2014 r. na synodzie biskupów pojawiło się zaproszenie homoseksualistów do Kościoła. Było to żywcem wyjęte z propagandy gejowskiej. To pierwszy krok. Ludzie, którzy chcą zliberalizować nauczanie Kościoła, wiedzą, że nie da się tego zrobić za jednym zamachem, bo wywołałoby to zbyt gwałtowny opór wiernych. Dlatego ta rewolucja dokonywana jest powoli. To się dzieje na naszych oczach. Implementacja omawianego przez nas dokumentu oznacza podjęcie dialogu z ideologią gender. Czym to się może skończyć? Uznaniem, początkowo częściowym, niepełnym, związków homoseksualnych. To oczywiście nie będzie od razu pełne uznanie „małżeństw homoseksualnych". Zacznie się od „katolickich" związków gejowskich. Będzie się podkreślało, że te pary są przecież tak samo trwałe jak związki kobiet i mężczyzn. A to oczywista nieprawda. Jeżeli nic się nie zmieni, to niedługo dojdziemy do tego miejsca. Potem będzie wprowadzenie zamętu płciowego – pomieszanie porządków kobiecych i męskich.

To wszystko gender. Ta ideologia mówi m.in., że nie ma fundamentalnych różnic psychologicznych między kobietami a mężczyznami, jeżeli chodzi o ich instynkty, zwyczaje, umiejętności. Kobiety mogą ponoć odgrywać te same role co mężczyźni, również w Kościele. Dlatego coś takiego trzeba jednoznacznie odrzucić, a nie stwarzać pole do dialogu. Chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że walka z gender nie jest łatwa. Niestety, ten cały neopogański ruch jest bardzo dobrze zakotwiczony w międzynarodowych instytucjach i umie przeciwdziałać próbom obrony starego ładu.

Wielu liberalnych katolików broni jednak papieża Franciszka, tłumacząc, że chodzi tylko o wyciągnięcie ręki do gejów, którzy pozostają gdzieś na kompletnych obrzeżach. Jak inaczej można pomóc takim ludziom?

Co to znaczy „wyciąganie ręki"? To znaczy pomaganie ludziom w powrocie na dobrą drogę. Jeżeli nie robi się tego, nie przekonuje do porzucenia złego życia, to coś takiego nie ma sensu. Poza tym nie jestem przekonany, czy ci „otwarci" katolicy naprawdę wiedzą, czym jest środowisko gejowskie. To jest na wskroś antykatolicki i antychrześcijański świat. Przedstawianie tego inaczej to szczyt naiwności. Mieliśmy już tu, na Zachodzie, katolickich intelektualistów, teologów, którzy lata temu uważali, że można się jakoś dogadać z komunistami, że trzeba z nimi prowadzić dialog. Ja już to wszystko widziałem. Albo byli oni naiwni i nie widzieli olbrzymiego zagrożenia ze strony komunistów, albo nie chcieli wiedzieć, że wróg ze Wschodu marzył o podboju naszego wolnego świata. Krótko mówiąc – dali z siebie robić pożytecznych idiotów. Niestety, dzisiejszy Kościół jest pełen pożytecznych idiotów, jeżeli chodzi o wchodzenie w dialog z przedstawicielami tęczowej ideologii, która zbudowana jest na nienawiści do wszystkiego, co chrześcijańskie.

Papieżowi Franciszkowi na pewno nie chodzi o wychodzenie naprzeciw ideologii, tylko raczej o przyciąganie do Kościoła poszczególnych homoseksualistów. Co jest złego w takim podejściu?

Z tego, co zdążyłem zauważyć, obecny papież wyciąga rękę inaczej niż Jezus Chrystus. Owszem, Pan Jezus jadał z grzesznikami, ale nie po to, by przyjemnie

eprasa.pl ae45b5c7b4

sobie spędzić z nimi czas, tylko po to, by ich nawrócić! Tak, trzeba iść również do osób homoseksualnych, ale nie po to, by zaakceptować ich grzeszny styl życia, tylko po to, by powiedzieć im, że żyją w grzechu i że ich życie musi wyglądać kompletnie inaczej. Tymczasem Franciszek chce uchodzić za ich przyjaciela. To nie jest właściwa droga.

Zadajmy ważne pytanie: Dlaczego papież Franciszek nie potępia księży, którzy udzielają błogosławieństw związkom homoseksualnym? To jest prosty test na intencję. Tymczasem obecny papież wręcz promuje na ważne stanowiska duchownych, którzy są przyjaźni lobby gejowskiemu. Wiem, że to bardzo poważne oskarżenie, ale każdy, kto śledzi wieści z Watykanu, musi się ze mną zgodzić w tej sprawie.

Ci hierarchowie kościelni, którzy nie walczą ostro z tymi tendencjami, nie nadają się do przewodzenia wiernym. Dzisiaj niestety „Humanae vitae" to martwy dokument w dziewięciu diecezjach na dziesięć. To, czego się uczy w szkołach na Zachodzie na temat życia seksualnego ludzi, wprost depcze tę encyklikę.

Autorzy „Mężczyzną i kobietą stworzył ich..." postulują też zawarcie „sojuszu" pomiędzy rodziną, szkołą a społeczeństwem, jeżeli chodzi o nauczanie młodzieży na ten temat. Zdaje się, że również z tym postulatem ma pan duży problem. Dlaczego?

Najpierw odpowiedzmy sobie na pytanie: Czym jest dzisiejsza rodzina? Jeżeli przyjrzałby się pan z bliska temu, jak to wygląda w Holandii, to zobaczyłby pan, że prawdziwych rodzin jest już u nas bardzo niewiele. Żyjemy w czasach wymierania rodzin – na Zachodzie to rzeczywistość.

W Polsce taki sojusz jest chyba wciąż możliwy – rodziny w Polsce mają się wciąż nie najgorzej. Lewica narzeka wręcz, że obecny rząd ma obsesję na punkcie rodzin.

Tylko że to uniwersalny dokument, przygotowany dla całego świata. Jeżeli proponuje się taki sojusz zarówno dla Polski, gdzie wartości chrześcijańskie wciąż są silnie obecne w społeczeństwie, jak i dla Holandii, gdzie są niemal niewidoczne, to czy jest to przemyślana strategia?

U nas ten alians jest zdominowany przez państwo, które ma pieniądze i zastępy lewackich ekspertów od wkładania dzieciom do głów propagandy. Głos rodziców sprzeciwiających się temu nic nie znaczy. I dlatego m.in. aborcja jest u nas również przez dzieci postrzegana jako prawo człowieka.

Jak wyobraża pan sobie przekonywanie homoseksualistów do tego, że nie powinni mieć możliwości zawierania małżeństw? Na pewno świetnie pan zna ich argumentację: prawo do zawarcia małżeństwa jednopłciowego nie zawęża praw osób heteroseksualnych, tylko rozszerza je na całość społeczeństwa. Więc w czym właściwie problem?

Po pierwsze, wielu homoseksualistów nie chce tak żyć. Zajmuję się tym tematem od wielu lat i coś o tym wiem. Dlatego gdy mówię o ruchu gejowskim, myślę o wojowniczo nastawionych aktywistach, którzy chcą, by ich związki były traktowane tak samo jak związki kobiet i mężczyzn. A to tylko pierwszy krok. Celem jest co innego – ci ludzie chcą uczyć dzieci, że bycie gejem jest dobre, że jest to coś pożądanego.

Na Zachodzie nasza kultura się rozpada z powodu dezintegracji rodzin. Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ ideał małżeństwa jest rozrywany na strzępy. Ideologia gejowska jest niebezpieczna nie dlatego, że homoseksualiści zagrażają nam w jakiś sposób liczebnie – to jakieś 2 proc. społeczeństwa, a do tego większość z nich nie udziela się w tym ruchu – ale dlatego, że uznawanie związków jednopłciowych za równoprawne z tymi prawdziwymi związkami sprawia, iż młodzi ludzie nie widzą już w małżeństwach niczego wyjątkowego...

Poza tym spójrzmy prawdzie w oczy – tak naprawdę aktywiści gejowscy nie są zainteresowani stałymi związkami. Interesuje ich głównie pełna wolność seksualna. Dlatego ci „misjonarze" LGBT nienawidzą wyjątkowości związku kobiety i mężczyzny.

Jedną z bardziej kontrowersyjnych części omawianego dokumentu jest fragment, w którym autorzy doszukują się „wspólnych punktów" z tzw. studiami gender. Jednym z nich ma być np. zwalczanie „niesprawiedliwej dyskryminacji". Również pan widzi tu niebezpieczeństwo?

Tak. To jedno ze zdań, które pokazuje, że za pięknymi słowami idzie chęć zawarcia jakiegoś kompromisu z ruchem gejowskim. Pamiętajmy przecież, że ideologia gender to wykwit ruchu gejowskiego. Każdy chyba czuje, co ideolodzy LGBT rozumieją pod pojęciem „nie dyskryminuj" – musisz traktować każdy związek tak samo, inaczej jesteś „homofobem".

Autorzy tego dokumentu powinni sobie zdawać sprawę z tego, co druga strona rozumie pod pojęciem „dyskryminacja". To ślepa uliczka dla wiernych Kościoła katolickiego.

Na koniec porozmawiajmy chwilę o pańskiej ojczyźnie. Co się stało z Holandią?

Obawiam się, że odpowiedź jest wstrząsająca. Tuż po II wojnie światowej ok. 40 proc. Holendrów deklarowało się jako katolicy. Teraz jest nas garstka. Być może 2–3 proc. chodzi regularnie do kościoła. Co się stało z moją ojczyzną? Nie było w naszym Kościele strategii obrony przed nowinkami z końca lat 60. Nasi duchowni poszli na kompromisy, wyciągali ręce do wrogich ideologii, nie potępiali błądzących teologów, zamknęli katechizmy w szufladach. Dzieci nie były uczone podstaw wiary, modlitw. Katolicyzm zrobił się fasadowy. Mieliśmy wiele dobrych katolickich szkół i uniwersytetów. Po dwóch pokoleniach to wszystko już historia. To jest lekcja dla Polski, która na szczęście wciąż jest bardziej katolicka niż my. Musicie dokładnie przestudiować to, co się stało u nas.

Chociaż wydawałoby się, że do wszystkiego już się powoli przyzwyczajamy, to jednak kolejne doniesienia z Holandii, szczególnie dotyczące dzieci, potrafią wbić w fotel...

Tak, wszystkie szkoły w Holandii obowiązkowo realizują programy zawierające najważniejsze elementy ideologii LGBT. Uczy się u nas dzieci m.in. o pozytywnych aspektach masturbacji. Takie rzeczy dzieją się również w szkołach, które, przynajmniej oficjalnie, wciąż są katolickie. Co robi z tym nasz Kościół? Nic, zero reakcji.

Coraz więcej dzieci ma też u nas problem z określaniem tożsamości płciowej. Są zagubione przez to ciągłe mieszanie im w głowach. Jednak to szerszy problem. Im słabsze są rodziny, bardziej porozbijane, tym więcej dzieci ma problemy emocjonalne. Dlatego to tak ważne, żeby Kościół walczył z całym tym złem dopóty, dopóki ma jeszcze siły.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Gerard van den Aardweg *– znany holenderski psycholog i psychoterapeuta katolicki, autor książek na temat homoseksualizmu, m.in. terapii konwersyjnych.*

eprasa.pl ae45b5c7b4

Homocenzura

Wojciech Wybranowski

Administratorzy YouTube'a zablokowali najpierw jeden, a potem drugi odcinek programu „Wierzę" Pawła Lisickiego i Marka Miśko w internetowej telewizji wSensie.tv. Później w ogóle zablokowano możliwość umieszczania programów

Aktywiści i sympatycy ruchu LGBT całkiem niedawno paradowali po ulicach Gdańska, Poznania, Warszawy, Częstochowy i Białegostoku, domagając się poszanowania praw obywatelskich: szacunku dla różnych orientacji seksualnych, wolności wyznania i wolności słowa. Tymczasem wiele wskazuje na to, że właśnie pod ich naciskiem administratorzy YouTube'a zablokowali w ubiegłym tygodniu emisję jednego z odcinków programu „Wierzę. Magazyn katolicki" Pawła Lisickiego, redaktora naczelnego tygodnika „Do Rzeczy", i Marka Miśko, publikowanego w kanale telewizji internetowej wSensie.tv. W tym programie mówili o stosunkach między nauką Kościoła katolickiego a ideologią LGBT, próbując odpowiedzieć na pytanie: Dlaczego trzeba rozróżniać nauczanie Kościoła w kontekście ideologii LGBT od samego homoseksualizmu?

– W oczywisty sposób, jeżeli zostaje zdjęty program, który jest wydawany cyklicznie, to mamy do czynienia z cenzurą. Jest to zamknięcie ust krytykom ideologii LGBT. To pokazuje, na czym polega homoterror – na odbieraniu przeciwnikom i krytykom ideologii LGBT głosu i nazywaniu nienawiścią tego, co jest po prostu inną opinią – ocenia Paweł Lisicki.

GALOPUJĄCA CENZURA

Informację o zablokowaniu najnowszego odcinka programu Pawła Lisickiego właściciele kanału wSensie.tv otrzymali w minioną środę. Jako powód administratorzy YouTube'a podali rzekome złamanie standardów serwisu, a treść programu miała być, ich zdaniem, mową nienawiści. Co ją stanowiło? Z lakonicznego uzasadnienia wystosowanego przez serwis wynika, że chodzi o stwierdzenie, iż katolicy nie są zobowiązani do tolerowania ideologii LGBT i trzeba ją wyraźnie rozróżnić od samego homoseksualizmu.

– Działania YouTube'a są niedopuszczalne. W cywilizowanym państwie prawa dopuszcza się do głosu wszystkie opinie, które nie zaburzają obowiązującego porządku prawnego. Powoływanie się na zawarte w Piśmie Świętym zdania, będące podstawą katolickiej nauki społecznej, najwyraźniej w ocenie cenzorów YouTube'a taki porządek prawny zaburzają

eprasa.pl ae45b5c7b4

– komentuje Szczepan Wójcik, wydawca programu wSensie.pl – Oczywiście, że próba wypływania na swobodne wyrażanie myśli przez dziennikarzy powoduje we mnie pewne rozgoryczenie.

Na tym jednak się nie skończyło. Dzień później YouTube poinformował o zablokowaniu do 29 października możliwości publikowania wszystkich programów telewizji wSensie. Tym razem powodem miał być wyemitowany dwa tygodnie wcześniej inny z odcinków magazynu katolickiego „Wierzę" Pawła Lisickiego, w którym padło zdanie, że Pismo Święte w całości potępia homoseksualizm jako grzech.

– Homoterror jest coraz silniejszy. Ludzie myślą, że jak mowa o terrorze, to chodzi o wojsko, żołnierzy, broń. Tymczasem doskonale widać na Zachodzie, że jest to najpierw miękka presja, która staje się coraz bardziej nie presją, ale naciskiem, a kończy się odebraniem głosu. Jeśli nawet umiarkowanym krytykom odbiera się głos, to jest to wyraźny sygnał, że jakakolwiek krytyka ruchu LGBT jest wykluczona – uważa Paweł Lisicki.

I tym razem uzasadnienie, które przesłał YouTube, nie precyzowało powodów takiej decyzji, ograniczając się do lakonicznego stwierdzenia o „mowie nienawiści" i rzekomego naruszenia standardów serwisu.

Wiele wskazuje na to, że decyzja o zablokowaniu programów całej stacji została wymuszona masową akcją środowisk LGBT zgłaszających kanał administracji serwisu. Takie działanie jest bardzo proste – wystarczy wybrać opcję „zgłoś" i wskazać jeden z kilku powodów, dla których zgłaszający domaga się zablokowania materiału lub kanału. Merytoryczne uzasadnienie nie jest wymagane. Publikowany na YouTubie kanał wSensie.tv już wcześniej znalazł się na celowniku środowisk LGBT – po tym, jak internetowa stacja wyemitowała film „Zmierzch. Ofensywa ideologii gender", opisujący przemiany społeczne propagowane przez ideologię gender z punktu widzenia katolickiej nauki społecznej.

– Lewicowa ekstrema próbuje ograniczać wolność słowa na prowadzonej przez siebie platformie. Telewizja wSensie.pl w swojej nowej formie powstała we wrześniu ubiegłego roku. Nasze filmy docierają miesięcznie do 1,8 mln odbiorców. Wniosek jest więc prosty – skoro jest popyt, będzie też podaż – mówi Marek Miśko. Dodaje, że telewizja będzie dalej działała. I już trwają prace nad rozwiązaniem problemów. – Pod koniec września startuje nasze radio, a swoje programy będą w nim mieli dziennikarze i prezenterzy z najwyższej półki – zapowiada redaktor Miśko.

Stacja sama wyłączyła na tydzień możliwość oglądania pozostałych programów redaktora Lisickiego – do czasu rozpatrzenia odwołania przez YouTube'a – obawiając się, że administratorzy platformy wykorzystają pretekst i ewentualne kolejne zgłoszenia środowisk LGBT do całkowitego usunięcia kanału.

POZEW PRZECIW GOOGLE?

Jak informuje „Do Rzeczy" Szczepan Wójcik, wydawca wSensie.pl, wystąpi on teraz przeciwko firmie Google, właścicielowi platformy YouTube, na drogę sądową. – Jestem przekonany, a od dzisiaj również zdeterminowany do tego, aby polskie prawo uregulowało wreszcie tak niebezpieczne działania cenzury prewencyjnej, którą posługują się osoby odpowiedzialne za zablokowanie naszej telewizji na YouTubie – mówi Wójcik. – I żeby nie było wątpliwości – to, co mówię, nie jest żalem, na pewno będziemy się odwoływać, rozpoczęliśmy współpracę z Ordo Iuris i zastanawiamy się nad wejściem na drogę sądową.

Prawnicy Instytutu Ordo Iuris potwierdzają, że analizują sprawę i pracują nad pismami przedprocesowymi. – Budzi zdziwienie sytuacja, w której dochodzi do wykasowania treści dotyczących ważnych tematów społecznych będących przedmiotem debaty publicznej, istotnych dla dyskusji toczącej się obecnie w Polsce – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy" dr Tymoteusz Zych, prawnik z Instytutu Ordo Iuris. Jego zdaniem działania YouTube'a naruszają dobra osobiste redaktorów Pawła Lisickiego i Marka Miśko oraz właściciela portalu i naruszają prawo do wolności wypowiedzi i wyrażania poglądów. – Będziemy w związku z tym zwracać się do właściciela serwisu – firmy Google – z wezwaniem do cofnięcia decyzji o zablokowaniu programów oraz do usunięcia naruszenia dóbr osobistych poprzez publikację przeprosin – tłumaczy dr Zych.

Wielu internautów zwraca uwagę, że YouTube od kilku miesięcy stał się miejscem ideologicznej cenzury. 5 czerwca serwis zmienił regulamin w taki sposób, by – jak przekonywano – skuteczniej walczyć z „mową nienawiści". Kilka dni później „The New York Times" zauważył, że ofiarą cenzury padają głównie kanały niosące prawicowe i konserwatywne treści. Portal pch24.pl informował, że w Wielkiej Brytanii i Estonii zaczęto z YouTube'a usuwać nagrania niewygodne dla lewicy. W tym drugim kraju np. z popularnego kanału Objektiiv usunięto m.in. takie nagrania jak „Tęsknota za marksizmem kulturowym?" czy „Homoideologia kosztuje 250 tys. euro rocznie. I to z pieniędzy podatnika".

Zresztą jeszcze w 2017 r. kierownictwo platformy YouTube przyznawało się do manipulacji procesami promocji treści niektórych kanałów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Co mówił Paweł Lisicki?

Przytaczamy kilka wypowiedzi redaktora naczelnego tygodnika „Do Rzeczy", zostawiając czytelnikom ocenę tego, czy rzeczywiście mogły one w jakikolwiek sposób stanowić rzekomą „mowę nienawiści".

- „Trzeba się przed tą ideologią [LGBT – przyp. red.] bronić [...]".
- „Ta forma ideologiczna jest formą skrajnie niebezpieczną, gdybyśmy popatrzyli na to, odcedzając kwestie dotyczące poszczególnych osób, to moim zdaniem uprawnione jest stwierdzenie, iż można ją postawić obok takich wynaturzeń ideologicznych XX wieku jak komunizm czy nazizm [...]".
- „Mamy do czynienia z nieprawdopodobnie agresywną ideologią, która próbuje podporządkować sobie wszystko dookoła, wbrew woli obrońców, kolejne marsze są – można by je przyrównać do ataków – kolejnymi próbami zawłaszczania coraz większej sfery symbolicznej. Stąd na przykład pomysł, żeby zorganizować taki marsz w Częstochowie, jak najbliżej Jasnej Góry".
- „Tęczowa flaga jest sztandarem bitewnym, który ma zostać zatknięty we wszystkich punktach, które – jak sądzi się – są punktami oporu: Jasna Góra, może Wawel w przyszłości, może Licheń, może Święta Lipka, w ważnych miejscach z punktu widzenia tradycji katolickiej, tradycji polskiej. One muszą zostać opanowane i »opieczętowane«. I dokładnie ten sam mechanizm działał w przypadku Białegostoku".
- „Potrzebne jest w Polsce prawo chroniące nas przed propagandą homoseksualną".

eprasa.pl ae45b5c7b4

Kamila Baranowska

Komisarz z Krakowa

Dobrze wykorzystane pięć lat w Komisji Europejskiej może Krzysztofowi Szczerskiemu bardzo pomóc w dalszej karierze na polskiej scenie politycznej. A to polityk, który mierzy wysoko

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

W czasie, gdy media spekulowały, kto ma największe szanse na to, by zostać kandydatem polskiego rządu na komisarza, na Nowogrodzkiej decyzja była już dawno podjęta. To, że na tę funkcję oddelegowany zostanie obecny szef gabinetu prezydenta Andrzeja Dudy, rozstrzygnęło się kilka tygodni wcześniej. Decyzję podjął oczywiście Jarosław Kaczyński, ale zatwierdził ją także Komitet Polityczny PiS. – Prezes szukał na to stanowisko osoby, która gwarantuje lojalność, nie urwie się przy pierwszym nieporozumieniu i która ma sceptyczny stosunek do brukselskiego establishmentu, a więc nie da mu się otorbić i kupić pochlebstwami czy jakimiś kolacyjkami – wylicza jeden z polityków PiS.

Krzysztof Szczerski wydał się odpowiednim kandydatem, zwłaszcza że chwilę wcześniej nie powiódł się plan umieszczenia go na stanowisku wiceszefa NATO. – Ma twarde PiS-owskie poglądy, których się nie wstydzi i których umie bronić. Prezes miał poczucie, że pozostaje niewykorzystany tu, w kraju, i trzeba go rzucić na jakiś odcinek międzynarodowy – dodaje nasz rozmówca.

– Trudno sobie wyobrazić lepszego kandydata, a wiem, co mówię, bo obserwuję go i znam od wielu lat. Poznaliśmy się, gdy jeszcze był studentem i współpracował z Ośrodkiem Myśli Politycz-

nej – mówi „Do Rzeczy" prof. Ryszard Legutko, europoseł PiS.

W mediach pokpiwano jednak, że cała Polska szuka pracy Szczerskiemu, który bardzo chce odejść z Kancelarii Prezydenta. – To całkowicie fałszywa teza – odpowiada „Do Rzeczy" Szczerski. – Nie jest tak, że kiedykolwiek walczyłem o stanowiska. Jestem raczej człowiekiem, który ma poczucie służby, i jestem wysyłany w różne miejsca, w których mogę się przysłużyć, dlatego że mam opinię osoby, która angażuje się w pracę i jest ambitna. Tak też kiedyś prezes Kaczyński zaproponował mi, bym kandydował do Sejmu, a potem, kiedy byłem już posłem, zostałem zapytany przez Andrzeja Dudę, czy nie dołączyłbym do jego ekipy prezydenckiej, jeśli wygra wybory, tak teraz zostałem wyznaczony jako kandydat z Polski do Komisji Europejskiej. Wszystkim tym osobom, które stawiały i postawiły też teraz na mnie, jestem wdzięczny i czuję się zobowiązany – mówi.

Mniej życzliwi, także z samego PiS, twierdzą jednak, że Szczerski sobie to kandydowanie najpierw na wiceszefa NATO, teraz na komisarza, wychodził na Nowogrodzkiej. – Odkąd został szefem gabinetu prezydenta, odpowiadał za kontakty Pałacu z partią. Przyjął, słusznie, że te kontakty to przede wszystkim kontakty z prezesem, i rzeczywiście nawiązał z nim bardzo dobre relacje – mówi nam polityk PiS.

GRUPA PROFESORSKA

To nie było trudne, bo Krzysztof Szczerski to ten typ polityka, który Jarosław Kaczyński ceni szczególnie – profesor, szanowany w środowisku naukowym, ekspert od systemów politycznych i kwestii europejskich, z szerszym spojrzeniem, oczytany, z którym można porozmawiać nie tylko o sprawach partyjnych, lecz także o polityce w bardziej filozoficznym i teoretycznym ujęciu.

W nomenklaturze polityków PiS Szczerski jest zaliczany do tzw. grupy profesorskiej, na ogół mało lubianej przez innych posłów. Profesorowie uważani są w partii za tych, którzy się wywyższają i których prezes niepotrzebnie słucha, a tymczasem są oderwani od rzeczywistości i choć może są nieźli w teorii, to nie mają pojęcia o politycznej praktyce.

To ostatnie nie do końca pasuje do Szczerskiego, bo w politycznej praktyce odnajduje się całkiem nieźle, co potwierdzają droga jego politycznej kariery i miejsce, w którym się dzisiaj znajduje. O roli, którą odgrywa u boku Andrzeja Dudy, krążą legendy. W mediach nadano mu nawet przydomek Wiceprezydent, mający świadczyć o jego władzy i wpływach w Pałacu Prezydenckim. Dowodem na to ma być przede wszystkim objęcie w 2017 r. funkcji szefa gabinetu prezydenta, pełnionej do tej pory przez Adama Kwiatkowskiego. Kwiatkowski oficjalnie zrezygnował ze względów zdrowotnych, nieoficjalnie mówiono jednak o niezadowoleniu prezydenta z tego, jak wypełniał swoje obowiązki. A niezadowolenie to miał podsycać właśnie Szczerski, który z prezydentem spędza dużo czasu i z którego zdaniem Andrzej Duda się liczy. – To taki „babyface killer" – słyszymy od jednego z pracowników Kancelarii.

Jedna z częściej krążących o Szczerskim opinii to także ta dotycząca jego ambicji i wielkiego ego.

Nasi rozmówcy opowiadają nam m.in. o prowadzonych w Kancelarii Prezydenta dyskusjach, czy podczas oficjalnych wydarzeń powinno się wyczytywać z nazwiska także szefa gabinetu jako osoby towarzyszącej prezydentowi. Zwykle wyczytywano tylko szefa Kancelarii. – Pamiętam, jak po wyborach w 2015 r., przy okazji spekulacji, że Szczerski może objąć MSZ, poszła informacja, że domaga się też funkcji wicepremiera, wszyscy przyjęli to za bardzo prawdopodobne. Bo bez względu na to, jak było, to byłoby bardzo w jego stylu – opowiada z kolei jeden z polityków PiS.

Krzysztof Szczerski głośno wzdycha, gdy pytamy go o jego rolę i pozycję w otoczeniu prezydenta. – Czytałem o sobie już takie rzeczy, że chyba nic mnie nie zdziwi. Wiem, że próbuje się ze mnie zrobić szwarccharakter, krwiopijcę, skrzyżowanie Machiavellego z Richelieu. Śmieję się z tego czasem z moimi współpracownikami, którzy znają mnie i wiedzą, jak pracuję – mówi. – Zastanawiałem się nawet kiedyś, czy nie warto tych wszystkich bzdur prostować, ale uznałem, że szkoda na to czasu. Chociaż byli i tacy, którzy radzili, by nie prostować z innego powodu, tłumacząc, że tego typu teksty o mojej sile i wpływach politycznie mnie budują – śmieje się.

Na poważnie dodaje, że brak odpowiedzialności za słowo jest tym, co mu w życiu publicznym przeszkadza najbardziej. I co odróżnia ten świat od świata nauki, do którego przywykł.
– Można powiedzieć czy napisać dowolną bzdurę, dokonać ordynarnej manipulacji cytatami, by wywołać negatywne personalne emocje, celowo wprowadzić w błąd, i nie ponieść za to żadnych konsekwencji. Gdyby naukowiec coś takiego zrobił, byłoby to dla niego dyskredytujące i trwale wykluczałoby go ze środowiska, po prostu nikt nie traktowałby go poważnie – uważa.

SŁOWA SPRZED LAT

Szczerski pije do tych mediów, które swego czasu zaczęły wyciągać mu jego dawne teksty i interpretować je na swój sposób. Tak stał się w mediach człowiekiem, który chce zrobić z Polski republikę wyznaniową, wprowadzić radykalizm cnót chrześcijańskich oraz „ograniczyć przestrzeń polityczną z jej mechanizmem decydowania opartym na woli większości". Jego tekst z 2005 r. wyciągnięto w kampanii wyborczej Andrzeja Dudy, gdy ten zapowiedział, że jeśli wygra wybory, to Szczerski będzie zajmował się w jego Kancelarii sprawami zagranicznymi. Rzeczony tekst o republice wyznaniowej „Gazeta Wyborcza" przedrukowała w całości 22 maja, dwa dni przed drugą turą wyborów prezydenckich z podtytułem „O taką Polskę walczymy".

– Klub Jagielloński poprosił swoich autorów, by po 15 latach III RP spróbować napisać alternatywne wersje historii, czyli jak wyglądałaby Polska, gdyby po 1989 r. wydarzenia potoczyły się inaczej. Ja dostałem do napisania tekst o tym, jak wyglądałaby Polska w wersji narodowo-katolickiej. Tłumaczyłem to wielokrotnie, bezskutecznie, bo sprawa stała się narzędziem w kampanii wyborczej – tłumaczy.

Ostatnio przy okazji informacji, że jest kandydatem na komisarza, „Wyborcza" przypomniała inne jego teksty i książki, które mają dowieść, że Szczerski jest w istocie przeciwnikiem Unii Europejskiej i na komisarza się nie nadaje.

– Mam poczucie, że chce się mi zaszkodzić z czystej chęci zaszkodzenia. To celowa i świadoma manipulacja, bo wystarczy przeczytać te teksty od początku do końca, by wiedzieć, o czym są – mówi. – Przypisywanie antyeuropejskości komuś takiemu jak ja, kto aż

eprasa.pl ae45b5c7b4

do dnia akcesji był członkiem Polskiej Rady Ruchu Europejskiego i poświęcił kawał swojego życia na to, by przekonywać do członkostwa Polski w Unii Europejskiej, a teraz wyraża troskę o kondycję integracji, bo w 2012 r. pisałem o możliwej dezintegracji Unii i o tym, że trzeba być na to przygotowanym? To raczej świadczy dobrze o moich kompetencjach, skoro już wtedy potrafiłem przewidzieć pewne zjawiska, takie jak brexit.

Chociaż Szczerski narzeka na brak odpowiedzialności za słowo, to jemu jako politykowi też się zdarza powiedzieć dwa słowa za dużo. Podczas niedawnego strajku nauczycieli, zapytany o kwestię podwyżek w edukacji, wypalił, że „nauczyciele nie mają obowiązku życia w celibacie", a zatem mogą korzystać z różnych transferów socjalnych, np. z programu „500+". Po dwóch dniach za swoje słowa publicznie przeprosił. Ostre i emocjonalne bywały także jego wystąpienia sejmowe.

– Sam czasami zaskakiwałem siebie w sejmowych wystąpieniach. Składam to na karb emocji wynikających z zaangażowania w sprawy. Lubię operować językiem i traktowałem to jak ćwiczenia z retoryki. Miałem okres w życiu, gdy próbowałem swych sił, zresztą z sukcesem, jako młody literat, ale polityka i praca akademicka wygrały. Trochę mi tego szkoda, że porzuciłem pióro literackie. Może jeszcze kiedyś wrócę do pisania prozy? – zastanawia się.

PO PIERWSZE NAUKA

Chociaż polityka wygrała z literaturą, to nie z nauką. O perspektywie zostania komisarzem Szczerski powiedział w rozmowie z RMF FM, że to „ukoronowanie jego drogi naukowej". Naukowej, nie politycznej. – To prawda, że polityka dominuje w moim obrazie publicznym, ale nigdy nie porzuciłem nauki na rzecz polityki. Kolejne szlify naukowe zdobywałem, gdy byłem już czynnym politykiem. Habilitację uzyskałem w 2010 r., a tytuł profesorski odebrałem rok temu. Za każdym razem wymagało to pozytywnych recenzji przedstawicieli środowiska naukowego, które oceniało mój dorobek badawczy, a nie działalność publiczną.

Kariera akademicka to u Szczerskich tradycja. Jego o dwa lata starszy brat Andrzej to ceniony historyk sztuki, którą wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim, do niedawna wicedyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. Mają ze sobą bardzo dobry kontakt. – To się przeplata co drugie pokolenie. Raz nauki ścisłe, raz humanistyczne – opowiadał Szczerski w wywiadzie dla „Dziennika Polskiego".

I choć są rzeczy, które mu w polityce przeszkadzają, to swojej decyzji o wejściu do niej nie żałuje.

Podkreśla wręcz, że droga do polityki była czymś naturalnym, bo w pracy naukowej zajmował się badaniem systemów politycznych, w tym systemu europejskiego, więc prędzej czy później musiała pojawić się propozycja, by tę wiedzę wykorzystać w pracy dla administracji państwowej.

– Kiedy wybory wygrywała AWS, przebywałem akurat na seminarium unijnym za granicą. Tam dowiedziałem się o wynikach i powiedziałem kolegom, że będę dla tego rządu pracował. I tak też się stało – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy".

Do kancelarii premiera Jerzego Buzka trafił dzięki rekomendacji prof. Michała Kuleszy, który był recenzentem jego pracy magisterskiej. Później zresztą rekomendował go także na unijny staż w Komisji Europejskiej, w dyrekcji polityki regionalnej.

W 2007 r. Szczerski został wiceszefem MSZ. To wtedy poznał Andrzeja Dudę, wówczas wiceministra sprawiedliwości

Po zakończeniu pracy w KPRM Szczerski na rok trafił do Ministerstwa Zdrowia, co w jego biografii wygląda dosyć egzotycznie. Ministrem była wtedy Franciszka Cegielska, a szefową jej gabinetu Danuta Hübner i to właśnie ona ściągnęła Szczerskiego do resortu. Tłumaczy, że miał tam pomóc w dostosowaniu prawa do przepisów unijnych, i uważa to za ciekawe poznawczo doświadczenie.

Po tych pierwszych szlifach miał kilkuletnią przerwę od bieżącej polityki, znów zajął się pracą naukową, kończył pisać doktorat. W 2007 r. pojawił się w roli wiceministra w kierowanym przez Annę Fotygę MSZ. To wtedy poznał Andrzeja Dudę, który był wiceministrem sprawiedliwości. Spotykali się regularnie na posiedzeniach Komitetu Europejskiego Rady Ministrów. Zaprzyjaźnili się. Po odejściu z MSZ Szczerski pracował w UKIE, a także w Parlamencie Europejskim dla frakcji, w której zasiadał PiS.

W 2011 r. po raz pierwszy uzyskał mandat poselski. Podkreśla, że świadomość, iż został wybrany przez ludzi, okazała się dla niego bardzo ważna. Zaznacza, że w pracy poselskiej spełniał się chyba najbardziej i chętnie jeszcze do tego wróci. A dlaczego Prawo i Sprawiedliwość? – PiS był moim wyborem ideowym, po prostu uważam, że Lech i Jarosław Kaczyńscy mieli od początku rację. Podobnie jak oni postrzegałem kwestie wolności, patriotyzmu, odpowiedzialności i znaczenia sfery społecznej. Do partii zapisałem się jednak stosunkowo późno, bo dopiero kiedy zostałem posłem – opowiada.

Jarosława Kaczyńskiego poznał za pośrednictwem kręgów towarzyskich, w których właśnie zaczynał się obracać – to środowisko Ośrodka Myśli Politycznej oraz Centrum im. Mirosława Dzielskiego. Na debaty tam organizowane zjeżdżali najważniejsi politycy, w tym Jarosław Kaczyński.

Prezes PiS przyjaźnił się także z prof. Marią Dzielską, wpływową postacią środowiska krakowskich konserwatystów. Często odwiedzał ją podczas swoich wizyt w Krakowie, gdy 18. każdego miesiąca przyjeżdżał, by pomodlić się przy grobie brata. Profesor Dzielska zmarła w ubiegłym roku.

Szczerski także pozostawał z nią w bardzo dobrych relacjach. Syn Dzielskich, Witold, od 2015 r. jest szefem Biura Spraw Zagranicznych Kancelarii Prezydenta, które podlega Szczerskiemu. Toteż w PiS można usłyszeć opinie, że to właśnie prof. Dzielska stała za tak dobrymi notowaniami Szczerskiego u prezesa.

Nie wiadomo jeszcze, która teka w ramach Komisji Europejskiej może przypaść Krzysztofowi Szczerskiemu. Nie wiadomo też, jak wypadnie na wysłuchaniach w Parlamencie Europejskim, gdzie – jak prognozuje prof. Ryszard Legutko – łatwo miał nie będzie. – Rzucą się na niego, bo tam się nie ceni kompetencji, lecz polityczną przynależność do stada, w tym wypadku lewicowego wariactwa. Krzysztof zawsze miał poglądy konserwatywne i rozsądne, a tego tam nienawidzą – mówi „Do Rzeczy" prof. Legutko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

Demonstracja patriotyczna 11 listopada 1980 r. z udziałem RMP. Demonstranci ruszyli spod kościoła Mariackiego w Gdańsku FOT. LESZEK BIERNACKI/KFP

Młodopolacy jak sen złoty

Piotr Semka

Ruch Młodej Polski – jedna z najciekawszych grup oporu antykomunistycznego w PRL. To z niego wywodzą się tak różnie postrzegający dziś rzeczywistość ludzie jak Aleksander Hall, Marek Jurek czy Jarosław Sellin. A także ci, którzy budzą już raczej smutny uśmiech, tacy jak Kazimierz Marcinkiewicz

RMP – bo ten skrót bardzo upodobali sobie Młodopolacy – powstał 40 lat temu. Trudno ustalić dokładną datę jego powstania. Spotkanie założycielskie zwołano na 25 lipca 1979 r. w – wydawałoby się – zapomnianej przez ludzi plebanii w Hucie Kalnej koło Starogardu Gdańskiego. Tyle że o Hucie Kalnej pamiętała komunistyczna służba bezpieczeństwa, która wychwyciła większość młodych konspiratorów jadących na zjazd. Jak to często bywało w tamtych gierkowskich czasach, działaniu bezpieki towarzyszył czasami surrealistyczny klimat. Bo oto mając rozkaz wyłapania młodych opozycjonistów, esbecy zatrzymali dodatkowo ok. 50 turystów, którzy, Bogu ducha winni, szukali w okolicznych lasach grzybów.

Formalnie założenie RMP ogłoszono – głównie wobec korespondentów zachodnich gazet – w Warszawie 28 lipca. Jednak jeszcze inni twierdzą, że zawiązanie RMP trzeba wyznaczyć na 18 sierpnia 1979 r., kiedy ogłoszono deklarację ideową ruchu.

PRZYSPIESZONE DOJRZEWANIE

W epoce PRL władze niezwykle dużo wysiłku wkładały w to, aby ograniczyć do minimum miejsca, w których ludzie mogliby sobie ufać. Dlatego grupy opozycyjne powstawały tylko tam, gdzie potrafiono robić coś razem i zżyć się na tyle, by sobie ufać. Tak bywało w przypadku wielodzietnych rodzin, takich jak rodzina Czumów, z której wyłonił się potem człon ugrupowania Ruch, tak było ze środowiskiem Komandosów

eprasa.pl ae45b5c7b4

z Marca 1968, które wcześniej miało za sobą wspólne działanie w drużynach walterowskich. Tak wreszcie było z grupami „Głosu" i środowiska „Bratniaka", którego genezą było grono przyjaciół z jednego gdańskiego liceum nr 1 na przełomie lat 60. i 70. Traf chciał, że to liceum stało 200 m od bramy stoczni. Każdego dnia młodzi kontestatorzy widzieli miejsce, w którym rozstrzelano stoczniowców w grudniu 1970 r. Ich grupa długo nie miała nazwy, aż do 1977 r., kiedy założyli pismo „Bratniak". Wcześniej było doświadczenie duszpasterstwa akademickiego, gdzie na grupę Aleksandra Halla ogromny wpływ wywarł Ludwik Wiśniewski.

Próba wejścia młodych kontestatorów do Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela – prawicowej organizacji konkurującej z KOR – nie zakończyła się sukcesem. Akurat dwie najsilniejsze osobowości ROBCiO – Andrzej Czuma i Leszek Moczulski – ostro się starły i młodzi się odsunęli, zniesmaczeni kłótnią starszych kolegów.

Wtedy postanowili założyć coś sami. Już od lat interesowała ich myśl narodowej demokracji. Jednak nie zachwycali ich ludzie, którzy w latach 60. i 70. przedstawiali resztki tej niezwykle przed wojną silnej orientacji ideowej. Ci z endeków, którzy przetrwali stalinowskie represje lub wyszli z więzień, zamykali się w ciasnych grupach, w których nabożnie studiowano dzieła Dmowskiego, a każde bardziej aktywne działanie uważano za groźbę esbeckiej prowokacji.

NOWI ELEGANTSI ENDECY

Ruchu Młodej Polski nie byłoby bez klimatu Gdańska lat 70. Swoistego fenomenu, który wpłynął nie tylko na Młodopolaków, lecz także na osobną wyrazistą postać Lecha Kaczyńskiego czy braci Wyszkowskich, którzy wykreowali Wolne Związki Zawodowe.

W przypadku Młodopolaków, którzy odkurzyli endeckie ideały, ważne było też to, że w odróżnieniu od Warszawy życie intelektualne nie było zdominowane przez opozycję postmarksistowską. Ponadto Gdańsk miał dwie tradycje, które pulsowały niczym podziemne strumienie pod pozornie nieruchomym gruntem. Była to tradycja wileńskiego antykomunizmu, którą dziś znamy dobrze z tradycji wileńskiej AK i kresowej AK oraz partyzantki „Łupaszki". I drugi czynnik – pamięć o Grudniu '70, która uświadomiła młodym mieszkańcom Trójmiasta, że komuniści to nie ludzie myślący, jak ulepszyć świat, ale grupa dzierżąca władzę i niewahająca się strzelać, gdy tylko ktoś zbytnio podnosi głowę. Młodzi przyjaciele Aleksandra Halla postanowili dokonać syntezy idei „pracy narodowej" z duchem katolicyzmu naznaczonego typowym dla tych lat personalistycznym nalotem. Jednak nie uchylali się od polemiki z Komandosami.

W 1977 r. doszło do bardzo ciekawej polemiki między środowiskiem lewicy KOR-owskiej a Młodopolakami. Jacek Kuroń w pierwszym numerze kwartalnika „Krytyka" wyraził zaniepokojenie próbami odnowienia ideologii narodowej. I w decydującym fragmencie postawił znaczącą tezę: „Jestem przekonany, że ideologia narodowo-totalitarna odrodzi się w naszym kraju tak w opozycji, jak w aparacie władzy. Komunizm jako ideologia w Polsce nie istnieje. Za głównego przeciwnika opozycji demokratycznej uważam więc totalitaryzm narodowców".

Na te bardzo wyzywające wobec Młodopolaków słowa odpowiedział na łamach „Bratniaka" w końcu 1978 r. Aleksander Hall. Zaprotestował on przeciwko stawianiu znaku równości między moczaryzmem a próbami dostosowania idei narodowych do warunków demokratycznej opozycji w PRL. I odważnie podjął rękawicę ideową rzuconą Młodopolakom przez lewicową opozycję: „Posługiwanie się przez Kuronia rozciągliwym pojęciem endecji, jego stwierdzenie, że duch endecki musi się odrodzić w opozycji demokratycznej, stwarza niebezpieczną sytuację. Doprowadzając wywód Kuronia do końca, wyciągając z niego konsekwencje, mielibyśmy do czynienia z sytuacją, w której zasadniczy przeciwnik opozycji demokratycznej znajduje się w niej samej. Musi z tego wynikać wniosek, że siły prawdziwie demokratyczne prędzej czy później będą musiały podjąć konfrontację z endekami w opozycji".

Warto przypomnieć te słowa, bo są one wczesną zapowiedzią zderzenia w latach 1989–1992 dawnej lewicy solidarnościowej z siłami próbującymi tworzyć partie konserwatywne. Kaprys losu sprawi, że w tej potyczce Aleksander Hall, który w 1978 r. tak trafnie zauważył zarysy przyszłego sporu, będzie w najlepszym razie neutralny wobec środowiska Michnika.

Jednak nie wyprzedzajmy wydarzeń. RMP, wskutek gwałtownego przyspieszenia wydarzeń, nie miał okazji do kolejnych starć ze środowiskiem lewicy KOR-owskiej. Najpierw wybór Jana Pawła II na papieża stworzył atmosferę, która wlała nadzieje we wszystkie ugrupowania opozycyjne. A potem Sierpień '80 wykreował wielki ruch Solidarności, który wobec bezpośredniego konfliktu z władzą zepchnął głębsze różnice ideowe na dalszy plan. Czy wtedy eksperyment młodopolski się skończył? Tak twierdzą ci, którzy uważali, że Młoda Polska mogła być początkiem grupy politycznej, która w największym stopniu była predestynowana do stworzenia silnej partii konserwatywno-chadeckiej po upadku komunizmu. Brzmi to przekonująco, ale nie bierze pod uwagę, że ludzie w 1980 r. nie wiedzieli, jak długo jeszcze potrwa komunizm.

Z SOLIDARNOŚCIĄ CZY OBOK SOLIDARNOŚCI?

Trzeba było wybierać: oddać wszystkie siły do wspierania nagle wybuchłego ruchu NSZZ „Solidarność" pod wodzą Wałęsy czy też wybrać dystans i skupić się na budowaniu własnej marki.

Tak zrobiła Konfederacja Polski Niepodległej, która uznała karnawał solidarnościowy za okazję do wzmocnienia swojej siły. Młodopolacy czuli, że ze swoim doświadczeniem opozycyjnym są w stanie pomóc Wałęsie, i w dużej mierze stworzyli trzon jego sekretariatu oraz późniejszego Biura Informacji Prasowej „Solidarność". Płaciło się za to jednak cenę. Rozwój ideowy RMP zaczął lekko buksować. Po 13 grudnia środowisko młodopolskie oddało wszystkie swoje siły i – rzecz niebagatelna – dobrze zakonspirowaną sieć poligrafii podziemnej Solidarności. A po 1985 r., gdy już RMP uznał swoje powinności wobec podziemnej sfery solidarnościowej za spłacone, RMP-owców ogarnęło jakby znużenie. Szczególnie środowisko gdańskie z Aleksandrem Hallem stanęło wobec znużenia dawniej odkrytymi ideami Dmowskiego. Na dodatek Adam Michnik, który dzięki swojej inteligencji szybko zauważył w RMP najbardziej groźnego rywala na wypadek uwolnienia się sceny politycznej od komunizmu, zaczął Młodopolaków bombardować miłością. W tej nowej sytuacji polemika z lewicą KOR-owską zaczęła być uważana za coś niestosownego lub dzielącego opozycję. A Młodopolacy,

eprasa.pl ae45b5c7b4

znużeni pewnym stanem klinczu na linii władza – opozycja, zafascynowali się amerykańskim neokonserwatyzmem.

Wszystko to doprowadziło do sytuacji, która do dziś nie przestaje dziwić. W 1988 r., gdy Okrągły Stół pozwalał mieć już bardzo uzasadnione nadzieje na pojawienie się normalnego życia politycznego, u Młodopolaków pojawia się demobilizacja. Ich lider Aleksander Hall najpierw uczestniczy w rozmowach Okrągłego Stołu, potem odmawia startowania do Sejmu (słusznie protestując przeciwko brakowi pluralizmu na listach Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" przy Lechu Wałęsie), a wreszcie wchodzi do rządu Tadeusza Mazowieckiego. Faktycznie pozostawiając Młodopolaków samych sobie.

BRACIA OSOBNO

Na początku lat 90. RMP-owcy podzielili się na trzy środowiska. Pierwsze to działacze, którzy wraz z Aleksandrem Hallem stworzą w obrębie Unii Demokratycznej Tadeusza Mazowieckiego osobną frakcję – Forum Prawicy Demokratycznej. Drugi wybór – którego dokonał np. Marek Jurek – to stworzenie Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, które wyraźnie odwołuje się do tradycji narodowej. I wreszcie trzecia grupa – prawicowcy medialni, którzy skupieni wokół Wiesława Walendziaka uznają, że najważniejsze jest starcie się z lewicą na polu kultury. Najbardziej wyrazistym okresem aktywności tej grupy był czas prezesury Walendziaka w TVP w latach 1993–1996. Innym dziełem o korzeniach młodopolskich będzie dziennik „Życie Warszawy", a potem „Życie" (tzw. z kropką), które Tomasz Wołek będzie planował jako medialne wsparcie dla Aleksandra Halla, ale dzięki uporowi i inwencji młodych dziennikarzy „Życie z kropką" stanie się bardzo wyrazistym uczestnikiem debaty ideowej z „Gazetą Wyborczą".

Czas okaże się okrutny zarówno dla środowiska Halla w obrębie Unii Wolności, jak i ZChN. Oba środowiska raz jeszcze spotkają się w szerokiej formule Akcji Wyborczej „Solidarność", ale nie przeżyją początku nowego wieku. Dzisiaj politycy wywodzący się z RMP znajdują się po obu stronach politycznej barykady. Jarosław Sellin – przedstawiciel młodzieżówki RMP z końca lat 80. – jest dziś jedną z wyrazistych twarzy Prawa i Sprawiedliwości. Z kolei Aleksander Hall jest jednym z najbardziej surowych krytyków „dobrej zmiany".

Najwięcej z tradycji młodopolskiej pozostało w sferze prawicowych mediów i kultury. Jednak egzaminu z politycznej skuteczności Młodopolacy jako jedna grupa nie zdali. Rosnące poczucie pewnego niespełnienia powoduje, że coraz bardziej rozchodziły się drogi weteranów tamtego ruchu w kolejne rocznice powstania RMP. Jeszcze w 1999 r. Młodopolacy z różnych stron politycznej sceny potrafili zebrać się na wspólne świętowanie w Gdańsku. W 2009 r., też nad Motławą, było już znacznie więcej sporów wobec wspólnej sesji na Uniwersytecie Gdańskim, ale nastroje ociepliła uroczystość wręczenia przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego orderów dla Młodopolaków we Dworze Artusa. W tym roku były już dwie odrębne uroczystości. Pierwsza grupa skupiona wokół Aleksandra Halla i o. Ludwika Wiśniewskiego uczciła 40. rocznicę RMP osobną sesją w Europejskim Centrum Kultury. Z kolei Młodopolacy orientujący się na Marka Jurka debatowali o swojej przeszłości na sesji Katolickiej Agencji Informacyjnej.

RMP – KRAINA MŁODOŚCI

Ten tekst byłby niepełny, gdyby miał jedynie charakter zimnej politycznej analizy grupy politycznej, która wydała wiele politycznych talentów, ale która swojej nowatorskiej myśli politycznej nie wcieliła w życie.

RMP zorganizował pierwszą demonstrację antykomunistyczną, na której byłem. Na mojej klatce schodowej zobaczyłem w ostatnich dniach kwietnia 1980 r. niewielkie naklejki informujące o mszy za ojczyznę 3 maja w bazylice Mariackiej w Gdańsku. Pomyślałem, że muszę w końcu zobaczyć, jak wyglądają te opozycyjne demonstracje.

Potem po latach Piotr Zaremba w książce „Młodopolacy" uwiecznił moją opowieść o szoku, który wówczas przeżyłem. „Kończy się (w bazylice) uroczystość, napięcie rośnie. Widzę człowieka w zielonej kurtce. Jeszcze w kościele rozpina tę kurtkę i wyjmuje zwinięty pod nią transparent. Dostrzegam napis: »Ruch Młodej Polski«. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy konkretnego człowieka, który występuje przeciwko komunizmowi. Po prostu: rozpina kurtkę, wyciąga transparent i tym samym ogłasza, że jest przeciw. Dla mnie on pierwszy przekroczył tę granicę. Potem dowiedziałem się, że był to Dariusz Kobzdej". Kobzdej był jednym z najbardziej odważnych Młodopolaków.

Przez cztery miesiące jesieni i zimy 1981 r. byłem uczestnikiem Koła Samokształceniowego RMP. Potem już nigdy moje drogi z ruchem się nie skrzyżowały. Początkowo dlatego, że RMP tylko z dystansu wspierał młodzieżowe grupy oporu, a po części dlatego, że po 1985 r. wyjechałem na studia na KUL, gdzie RMP nie miał żadnego wyrazistego przedstawiciela.

A jednak mam ogromne poczucie długu. Jak ten dług zdefiniować? Gdy wówczas, w latach 1980–1981, poznałem po raz pierwszy z bliska wielkie postacie RMP, to relacjonując koledze z klasy, jacy są, powiedziałem: „Wiesz, oni są jak jacyś książęta". Było to oczywiście dość naiwne stwierdzenie, ale wyrażało pewien elitaryzm Młodopolaków nierozerwalnie powiązany z szacunkiem dla ich odwagi.

Dla młodego licealisty, który zachwycił się opozycyjnymi sławami, Aleksander Hall był wyrocznią w dziedzinie myśli politycznej, a Piotr Dyk – wzorem odwagi w starciach z esbekami. Bibliotekę Arkadiusza Rybickiego, pełną książek sprzed wojny, oglądałem z zachwytem w oczach. Konspirowali ze znawstwem i bawili się z klasą.

Wiele z ikon tamtej epoki z czasem zszarzało lub wybladło, ale nigdy nie żałowałem tego, że ciężko pracowałem, aby być takim jak oni, a dokładnie takim, jakie było moje wyobrażenie o nich. Być może wyidealizowane, wysłodzone, przesadne. Jednak dające imperatyw bycia lepszym, mądrzejszym, bardziej oczytanym i pamiętającym o wadze elegancji i braku zacietrzewienia, który tak bardzo różnił ich od rozmaitych paleoendeków.

Nie ja jeden przesadnie idealizowałem RMP jako szansę na przyszłą partię polityczną. Być może to była grupa przyjaciół, która nie była w stanie stać się jednym ugrupowaniem i z czasem zawalczyć o władzę.

Jednak to niespełnienie dawało im jeden atut – mogli być punktem odniesienia w wielu momentach ostatnich 30 lat, gdy obserwowałem tych, którzy w polityce się zatracili. I za to Młodopolakom 40 lat po powstaniu ich ruchu winien jestem krótkie słowo: „Dziękuję!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

Rafał A. Ziemkiewicz

Taniec z jedynkami

Schetyna chce przekonać wyborców, że ma partię „zdrowego rozsądku", ale proponując skrajnych kandydatów, tworzy raczej chaos

Polska polityka nie od dziś stoi międzypartyjnymi transferami i niewiele już może w tej kwestii zdziwić, ale zapowiedź, że krakowską listę PO otwierać będzie Paweł Kowal, zaskoczyła i wzbudziła ożywienie komentatorów. Kowal co prawda od dawna już grawitował ku antypisowi, coraz częściej pojawiając się jako „niezależny ekspert" w TVN24 i na różnych spotkaniach partyjnych, aż do udziału w panelach niedawnego Forum Programowego w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki. Ale jedynka PO? I to w tak ważnym okręgu jak Małopolska? Dla polityka jeszcze 10 lat temu będącego w pierwszej linii i w decyzyjnym „jądrze" PiS? Ba, dla „pisowca" uważanego za pomysłodawcę wawelskiego pochówku śp. Lecha Kaczyńskiego, który wciąż wzbudza taką wściekłość i nienawiść „żelaznego" antypisowskiego elektoratu PO?

Komentatorzy sięgający pamięcią do poprzednich rządów PiS zauważyli przede wszystkim, że oto groteskowo odwrócona zostaje kampania wyborcza z roku 2007, kiedy to Kowal był w Krakowie jedynką PiS, a liderem listy PO – Jarosław Gowin. Zresztą Kowal, po opuszczeniu PiS w listopadzie 2010 r. i nieudanej próbie budowy jego „cywilizowanej" wersji, partii Polska Jest Najważniejsza Kluzik-Rostkowskiej, Migalskiego i Poncyliusza, współtworzył także partię Gowina i jako jeden z jej liderów poniekąd do PiS wrócił – poniekąd, bo gdy w 2015 r. nie doszedł ostatecznie do skutku jego planowany start z poparciem PiS do Senatu, ogłosił wycofanie się z polityki (jakkolwiek formalnie funkcję przewodniczącego Rady Programowej Polski Razem sprawował aż do roku 2017).

Generalnie jednak nikt nie rozumie, o co właściwie chodzi – i Kowalowi, który wielokrotnie twierdził, że aktywna polityka już go nie kusi, bo odnalazł swe powołanie jako autor książek i analiz, i Grzegorzowi Schetynie. Ten pierwszy zasłania się frazesem, że „chwila jest wyjątkowa", ten drugi frazesem o „szerokim centrum",

FOT. KAROL SEREWIS/EAST NEWS

eprasa.pl ae45b5c7b4

które chce budować Koalicja Obywatelska. Bo, na marginesie, formalnie Kowal oczywiście jest kandydatem Koalicji. Ale nikt przecież tej koalicyjności nie traktuje poważniej niż koalicyjności Zjednoczonej Prawicy jako partnerskiego związku PiS z Solidarną Polską i Porozumieniem.

Za decyzjami byłych polityków PiS, nie tylko tych związanych ongiś z PJN, przyłączających się do wrogiego politycznego plemienia, stały zazwyczaj słabo skrywana chęć zemsty na Jarosławie Kaczyńskim i poczucie doznanej od niego krzywdy. Okoliczności wypchnięcia Kowala z PiS po śmierci prezydenta, który patronował jego karierze w tym obozie, pozostają rzeczywiście do dziś niejasne – w chwili, gdy miało to miejsce, nikt właściwie nie umiał wskazać powodu, dla którego Jarosław Kaczyński dosłownie z dnia na dzień zaczął go sekować i wypowiadać się o nim publicznie w sposób zgoła pogardliwy. Ale też Kowal był bodaj jedynym z byłych polityków PiS, który nigdy publicznie doznanych od szefa PiS krzywd nie podnosił i przez długie lata odrzucał łatwą drogę zrobienia medialnej kariery, którą stanowiło „nadawanie" na byłego szefa i na PiS w antypisowskich mediach. Czyżby zachowywał tylko pozory i czekał na odpowiedni moment? Bo trudno podejrzewać, by jego decyzja miała jakieś podstawy merytoryczne, programowe czy ideowe, skoro KO jest pod tym względem kompletną magmą, a jej szef otwarcie deklaruje, że o programie można myśleć dopiero po wyborach.

Jeszcze bardziej niejasne są motywacje Schetyny. Przyciąganie do PO osób z kręgu PiS było, owszem, jednym z czynników sukcesu PO w roku 2007. Radosław Sikorski, któremu za tę przesiadkę obiecał Tusk MSZ, i Julia Pitera, dla której stworzono fikcyjne ministerstwo „do walki z korupcją" (oczywiście nie „korupcją polityczną", którą oficjalnie cały antypis bardzo się brzydzi), na wyborczych billboardach, wraz z Mężydłą i Borusewiczem, przekonać mieli wyborców, i przekonali, że PO będzie „lepszym PiS". Partią, która będzie zdecydowanie walczyć z „układem", z postkomunizmem i zbudowanym przezeń „rywinlandem" – tak, takie hasła głosili 12 lat temu Tusk i jego partia! – bez wizerunkowego obciążenia „obciachowymi", ośmieszanymi i demonizowanymi przez tworzące wtedy jednogłośny chór media „Kaczorami".

ANTYPIS Z PISOWCAMI?

Jednak dziś sytuacja PO jest krańcowo odmienna. Jej strategią nie jest „lepszy PiS", tylko antypis, i to w zapowiedzianej cztery lata temu przez Schetynę wersji „totalnej". Jak ma się ta totalność do zapraszania na listy prominentnego niegdyś „PiS-owca" – jeden Schetyna wie. Wydaje się, że przewodniczący PO uznał, po doświadczeniu z Włodzimierzem Cimoszewiczem, że nienawiść do PiS daje mu taką władzę nad swoim elektoratem, iż będzie on głosować na każdego, kogokolwiek mu Schetyna na jedynce do głosowania wskaże. Wulgarny wpis współzałożyciela KOD Waltera Chełstowskiego, deklarującego, że choć nienawidzi opozycji i ma o niej najgorsze zdanie, to i tak zagłosuje, bo „narodowo-katolickiego faszyzmu" nienawidzi jeszcze bardziej, oddaje oczywiście nastrój pewnej części tego elektoratu. Ale nawet ci „żelaźni" hejterzy będą przecież mieli w tych wyborach alternatywę, jeszcze głośniej krzyczącą o „katolickim faszyzmie" i jeszcze bardziej epatującą nienawiścią do Kościoła, patriotyzmu, „polskiego obciachu" i wszystkiego, co jest tam z PiS kojarzone. Promując Kowala, Schetyna wręcz wciska do ręki bat na KO Biedroniowi, Czarzastemu i Zandbergowi.

Z drugiej strony, jednocześnie ściąga Schetyna na listy KO niezadowolonych z wejścia przez Czarzastego w koalicję z lewicowym planktonem starych działaczy SLD, w rodzaju Jerzego Wenderlicha – wobec politycznego wyboru „pozostać w grze albo podzielić los Palikota" wydają się oni niewiele sobie robić z pogróżek szefa SLD, że wyrzuci z partii każdego, kto będzie kandydował u Schetyny. Najbardziej prawdopodobną motywacją Schetyny wydaje się chęć „zrównoważenia" Kowalem tych lewicowych transferów. Schetyna też walczy o przeżycie. Wie, że rysująca się na horyzoncie klęska wyborcza może być jego końcem, a trudno sobie wyobrazić, co mógłby robić i jak zarabiać na życie poza polityką. Na zwycięstwo z PiS szans nie ma, ale jeśli zdoła przekonująco wygrać z PSL i Lewicą, pozostać jedyną opozycją – tak, jak udało się to w 2011 r. Kaczyńskiemu – zawieszony nad jego głową miecz na parę lat zniknie.

WALKA O „ROZSĄDNE CENTRUM"

Szansę takiego zwycięstwa widzi zaś Schetyna w przekonaniu wyborców, że PO czy – formalnie – pozorowana przez nią Koalicja, wciąż jest partią „rozsądnego centrum". Takie rozumowanie oparte jest na sensownych podstawach – jeśli przyjrzeć się 30-leciu III RP, to Polacy zawsze głosowali na partię „zdrowego rozsądku", tyle tylko że w różnych okresach w różnych formacjach ten zdrowy rozsądek widzieli. Teraz jednak miejsce, które za Tuska przez dwie kadencje zajmowała w ich świadomości PO, trzyma twardo PiS i raczej nie widać szansy, by opozycja zdołała go z tych pozycji zepchnąć.

Tym bardziej że do roli „rozsądnego centrum" aspiruje także PSL, które na okoliczność wyborów przezwało się Koalicją Polską. PSL też walczy o przeżycie i też posługuje się technologią transferów. Podczas gdy Schetyna sięga po Wenderlicha, Napieralskiego i Piekarską, Kosiniak-Kamysz ściąga do PSL Biernackiego i Zdrojewskiego, podkreślając, gdzie tylko może, że Schetyna „konsekwentnie buduje progresywną lewicę". Jedynka Kowala czy lista warszawska, na której między postkomunistów i antyklerykałów wetknął Schetyna uważaną za „konserwatystkę" Joannę Fabisiak, mają dowodzić, że lider PSL się myli. Może się jednak okazać, że miał rację gdzie indziej – wtedy, gdy mówił, że „zbyt szeroko rozłożone skrzydła łamią się". Mieszanie na jednej liście lewaków z – mniejsza już, na ile prawdziwymi – konserwatystami zamiast wrażenia centrowości daje raczej wrażenie pomieszania z poplątaniem i rozpaczliwego wdzięczenia się do wyborcy. Zwłaszcza że poczesne miejsca na listach dostają też, zamiast zapowiedzianych „działaczy samorządowych i społecznych", celebryci – w rodzaju typowanego na jedynkę łódzką Tomasza Zimocha.

Listy nie są z gumy, a „biorących" miejsc jest na nich, przy obecnych sondażach, niewiele – więc transfery oznaczać muszą wypychanie poza nie tych, którzy wszystko, co mieli, już Platformie oddali. Taki los spotkał znaną z „apolitycznego" protestu w Sejmie Joannę Hartwich. Mówi się też, że w proteście odejść ma z PO prezydent Łodzi, Hanna Zdanowska. Czy z tej okazji skorzysta PSL, by pozyskaniem ich zademonstrować swoją świeżej daty „centrowość"? A może znane, kojarzone dotąd z PO nazwiska spróbuje przyciągnąć Lewica? Wszystko jest możliwe. Logika kampanii opozycji jest taka, że w ogóle już zapomniała ona o PiS, ograniczając się do rytualnych, nienawistnych frazesów przeciwko Kaczyńskiemu – za to Lewica usiłuje udowodnić, że PO to prawica, PSL, że PO to lewica, a PO, że i Lewica, i PSL to niepoważny plankton, rozbijający „jedność opozycji". Ta sytuacja otwiera „okienko transferowe" do Sejmu nie tylko Pawłowi Kowalowi, lecz także być może i bardziej jeszcze od niego zaskakującym jedynkom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

Monowładza bez „mono”

Piotr Gociek

Rządy jednej partii to nie „monowładza”, tylko demokratyczna norma. Ścisła kontrola przywódcy nad swoją partią także nie jest niczym niespotykanym. Przynajmniej w Polsce

OPINIE ANTIDOTUM „NACZELNIKA” NA GRZECHY III RP

Rafał A. Ziemkiewicz

Cała polityczna droga Jarosława Kaczyńskiego była walką z zagrożeniem „monowładzy”. Ostatecznie tworzy coś, co ma liczne podobieństwa do sytuacji, której chciał uniknąć

W wszystko wskazuje na to, że na trzy miesiące PiS wygra wybory z wynikiem, jakim nie mogła się pochwalić jeszcze wyłączna partia w dziejach III RP. Nie jest wykluczona nawet większość konstytucyjna. Jeśli nawet nie będzie nią bezwzględna, dzięki dobrze zwyciężonej partii, razem z nagłaśnianym przekonaniem, że III RP miały być, tak jak przed 12 laty, tylko krótkim epizodem, zwiększonej liczbie przy pracy – będzie dla jej przeciwników szokiem nie do przeżycia. Ten szokiem pogłębi proces rozpadu opozycyjnych i tak zostanie szybko osiągnięta – czy to wskutek międzypartyjnych transferów w parlamencie, czy też po kolejnych przyśpieszonych wyborach.

Łatwym do przewidzenia skutkiem miażdżącego zwycięstwa w wyborach parlamentarnych będzie też zmiana geografii samorządowej. PSL, które autorytarnie odmówiło po ostatnich wyborach samorządowych rozmów koalicyjnych z PiS, wiążąc się na dobre i złe, w sposób dla swych wyborców niezrozumiały, z kolonizowaną przez radykalną lewicę PO, prawdopodobnie przypłaci ten błąd upadkiem – w najlepszym wypadku zredukowaniem na podobnych prawach jak partie Gowina i Ziobry. Trudno dziś orzec, czy przejdzie do PiS w miarę całe, po zmianie kierownictwa (na co chyba czas już minął), czy też poszczególnymi strukturami regionalnymi albo nawet grupkami działaczy – należy się w każdym razie spodziewać, że władza PiS rozciągnie się szybko także na prawie wszystkie sejmiki wojewódzkie.

ZŁOWROGI CIEŃ MARSZAŁKA

Jedyną więc opozycją pozostanie skrajna lewica – dla większości społeczeństwa jeszcze długo, długo nie do przyjęcia.

Pomińmy, w jaki sposób udało się lewicowo-liberalnej elicie III RP doprowadzić ona nią sytuację (ponieważ to bardziej ona niż sam PiS złudowała potęgę rządzącej formacji; przekonując większość Polaków, że dla rządów Kaczyńskiego nie ma akceptowalnej alternatywy i że przy wszystkich swych wadach będą one mniejszym złem niż nieustająca, jałowa wojna, którą gwarantują

Monowładza Kaczyńskiego

52

FOT. SUNDAY

Kaczyński przez wiele lat mierzył się z koszmarem »państwa jednej partii, jednej gazety i jednego salonu«” – pisze Rafał A. Ziemkiewicz. I ma rację. („Do Rzeczy” nr 31/2019 „Monowładza Kaczyńskiego”). „I ostatecznie tworzy coś, co ma liczne podobieństwa do sytuacji, której chciał uniknąć” – dodaje. I tu już racji nie ma. A gdy stawia jeszcze tezę „a w wielu przypadkach idzie dalej”, wpada w grubą przesadę.

Porozumienie Centrum rzeczywiście powstało po to, by nie dopuścić do powstania w rodzącej się (a właściwie konstruowanej przez polityczne elity) III RP monowładzy. Przeciwko pomysłowi Adama Michnika, Bronisława Geremka i ich sprzymierzeńców płynnego przejścia od sytuacji, w której krajem zarządza bez reszty PZPR, do sytuacji, w której jej miejsce zajmuje w sposób równie zaborczy nowy twór, partia „obywatelska” (bo na bazie obywatelskich komitetów, które wprowadziły swoich przedstawicieli do sejmu kontraktowego). Odmieniane przez wszystkie przypadki u zarania III RP „konsensus”, „porozumienie”, „zgoda narodowa” nie miały być wynikiem ucierania stanowisk przez grupy (partie, środowiska, związki) reprezentujące rozmaite poglądy, lecz narzuceniem Polakom jednej, bezalternatywnej wizji (i formy) transformacji ustrojowej, przemian gospodarczych i konstrukcji politycznej.

Tę walkę Porozumienie Centrum przegrało. Polska przez ćwierć wieku była „państwem jednej partii, jednej gazety i jednego salonu”. Odbywały się wybory, zmieniały się rządy, polityczne ugrupowania zmieniały nazwy, ale tak naprawdę zmieniało się niewiele. Ta jedna partia, partia III RP składała się w istocie ze wszystkich establishmentowych partii rządzących Polską. Widać to wyraźnie dziś, kiedy okazuje się, że dawny PZPR-owski beton, PZPR-owscy „liberałowie i reformatorzy”, dawna „konstruktywna opozycja” i jej liberalne dzieci (PO jest dzieckiem KLD, Nowoczesna była dzieckiem kręgu wyznawców Balcerowicza) świetnie się czują obok siebie na wspólnych listach – jeśli nie Koalicji Europejskiej, to Koalicji Obywatelskiej. Kryzys PSL, rozdarcie tej partii grożące jej wymazaniem ze sceny politycznej, także wywołany jest tym, że przez ćwierć wieku ugrupowanie to było elementem „wielkiej partii III RP”, na co dziś część jej dołów nie chce się znów zgodzić, po raz pierwszy po 1989 r. widząc dla tego układu alternatywę. Monopartia III RP nie była oficjalnie „mono”, ale praktyka pokazała, że była nią jak najbardziej.

BAŃKA SZTUCZNEJ RZECZYWISTOŚCI

Ćwierć wieku III RP pokazało także, że owa monopartia obrosła monopolami na innych polach. Od sądownictwa przez rozmaite inne branżowe korporacje do mediów. De facto było to więc państwo „jednej gazety”, bo choć tytułów ukazywało się wiele, powstawały prywatne stacje radiowe i telewizyjne, to przekaz był jeden. Mono. I było to państwo „jednego salonu”, bo „centralizm towarzyski”, jak to ładnie kiedyś ujął Andrzej Celiński, decydował o wszystkim. Oczywiście, pojawiały się i znikały konkurencyjne inicjatywy medialne (od „Czasu” krakowskiego do tygodnika „Spotkania”, od „Gazety Polskiej” do „Życia”, od Radia Maryja i stacji Radia Plus, od Telewizji Familijnej do telewizji Republika), ale nigdy nie uzyskały decydującego wpływu na opinię publiczną. Zawsze pozostawały w niszy.

Pamiętam, jak Rafał A. Ziemkiewicz nieraz wskazywał, że owa jednorodność, monolityczność, zgodność przekazu, była warunkiem istnienia III RP w jej dotychczasowym kształcie. Bańka sztucznej rzeczywistości podtrzymywana przez szeroki front beneficjentów i podwładnych monopartii działającej na scenie politycznej jako grupa partii niby konkurencyjnych. Pamiętam też, jak kiedyś, w drugiej połowie lat 90., podczas długiej rozmowy o regułach rządzących III RP zgodziłeś się ze mną, Rafale, że polska polityka przypomina wrestling: publika emocjonuje się efektownymi ciosami w ringu, podczas gdy tak naprawdę wszystko to jedynie choreografia wcześniej ustalona. Światła gasną, tłum idzie do domu, a zawodnicy idą razem na piwo.

Kres Polski rządzonej przez wielopartyjną monopartię III RP nastąpił w roku 2015, za sprawą podwójnej klęski

eprasa.pl ae45b5c7b4

polemika DO RZECZY

(w wyborach prezydenckich i parlamentarnych). Po raz pierwszy od roku 1989 krajem rządzi ugrupowanie spoza dotychczasowego układu (interludia w postaci półrocza premiera Olszewskiego oraz dwóch lat „pierwszego PiS" to jednak nie były rządy, tylko rozpaczliwa walka o przetrwanie we wrogim środowisku). W dodatku ma samodzielną większość sejmową. I być może będzie miało taką większość po kolejnych, jesiennych wyborach. „Lepiej zacznijmy się już teraz przygotowywać na rządy praktycznie monopartyjne" – alarmuje Ziemkiewicz.

ZWYCIĘZCA BIERZE WSZYSTKO

Hasło „Zwycięzca bierze wszystko" nie jest polskim wynalazkiem. Czy kiedy w Wielkiej Brytanii rządy obejmowali torysi albo laburzyści i nie potrzebowali do tego koalicjanta, Anglia popadała w objęcia monowładzy? Czy wygrana Donalda Trumpa, który – jak każdy prezydent USA – zaczynał kadencję od wymiany wszystkich ambasadorów swego kraju i dobrania po uważaniu szefów departamentów, bo takie są jego uprawnienia – to triumf monowładzy? Rządy jednej partii to jeszcze nie monowładza. Trzeba to podkreślić. I używać sformułowania „monowładza" szczególnie ostrożnie w krajach, które jak Polska doświadczyły w przeszłości pod panowaniem sowieckim monowładzy prawdziwej. Totalitarne imperium partii komunistycznej było jej krainą w najpełniejszym i najgorszym tego słowa znaczeniu.

Jedynowładztwo szefa partii nad własnymi szeregami także nie jest równoznaczne z monowładzą. Nie jest także czymś wyjątkowym. Taką kontrolę nad Platformą sprawował Donald Tusk. Nie musiał jednak tak często jak Kaczyński korzystać z tej władzy, bo po pierwsze medialni sojusznicy zapewniali mu ochronę, więc pewne sprawy mógł załatwiać po cichu, z dala od wścibskich oczu dziennikarzy. A po drugie, jako że PO była częścią niby wielopartyjnego, ale tak naprawdę monolitycznego systemu III RP, którego elementami były także wspomniane wyżej media, korporacje i kręgi biznesowe, mógł pewne sprawy pozostawić własnemu biegowi. „Centralizm towarzyski" plus orientowanie się przez ćwierć wieku na nową monowładzę wystarczały, by sprawy toczyły się swoim torem. Oczywiście problemy pojawiały się wtedy, gdy z powodu braku bieżącej kontroli w jednym czy drugim segmencie tego układu wybuchała jakaś afera. Wtedy trzeba było zarządzać kryzysem i publicznie beształ, zwalniać, reorganizować.

W kategoriach politycznych w Polsce doszło do urealnienia sytuacji, a nie do PiS-owskiej rewolucji, która zamienia się na naszych oczach w „monowładzę". Dotąd to wielopartyjna partia III RP tworzyła rządy i obsadzała urzędy. Teraz robi to Zjednoczona Prawica. Dokładnie wedle takich samych zasad jak w każdym innym kraju, gdzie wybory wygrywa samodzielnie jakieś ugrupowanie. Wygrało – znaczy rządzi. Rządzi – znaczy nominuje swoich ministrów i urzędników. Z kolei wielki krzyk podnoszony przez opozycję o niszczeniu demokracji poprzez przejmowanie ponadpartyjnych instytucji jest wart funta kłaków – Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy i inne ciała były w III RP obsadzane jak najbardziej partyjnie, czyniły to w rozmaitych konfiguracjach taktycznych partie tworzące monopartię III RP. Teraz po raz pierwszy od roku 1989 nie ma w nich wyłączności lub zdecydowanej przewagi jednej opcji. (Wystarczy posłuchać publicznych wypowiedzi Andrzeja Zolla, Jerzego Stępnia czy Andrzeja Rzeplińskiego, by dowiedzieć się, jak bardzo byli „niezależni" i „apolityczni").

Czy akurat te instytucje nie powinny być terenem wyjętym spod wojny polsko-polskiej? W USA Sąd Najwyższy nie jest wyjęty spod wojny amerykańsko-amerykańskiej. To raz. A kiedy Jarosław Kaczyński zaproponował opozycji „wybierajmy kandydatów do TK większością dwóch trzecich głosów", w odpowiedzi usłyszał tylko wściekłe wycie i obelgi. To dwa.

STRUKTURY I PROCEDURY

Ziemkiewicz przestrzega przed monowładzą PiS, bo obawia się „pogardy dla tego, co tworzy republikę – struktur i procedur" i wytyka Kaczyńskiemu, że na imposybilizm III RP „nie znalazł innego antidotum niż osobiste zaangażowanie patriarchalnego przywódcy i kontrola". Mam duże wątpliwości co do tego, w jakim stanie struktury i procedury III RP znajdowały się do tej pory. Co do osobistego zaangażowania i kontroli przywódcy – kiedyś zapytałem Andrzeja Zybertowicza, co było jego największym odkryciem, kiedy zdecydował się kandydować do europarlamentu i z obserwatora stał się uczestnikiem gry politycznej, widzącym jej kulisy. Odparł, że było to odkrycie, iż połowę, jeśli nie więcej, wysiłku szefa partii marnuje się na utrzymanie kontroli nad partią. Nie chodzi tylko o PiS. O każdą partię w Polsce. To zjawisko musi się siłą rzeczy przekładać na państwo w chwili, gdy dana partia zaczyna nim zarządzać. Nie jest to efekt „monowładzy" czy „monopartyjności", tylko modelu politycznego wciąż obowiązującego w III RP.

Jeśli PiS wygra kolejne wybory i znów osiągnie samodzielną większość, znów będzie po prostu partią rządzącą. Tak jak partiami rządzącymi są ugrupowania, które wygrywają samodzielnie wybory w innych krajach. O monowładzy nie ma mowy: cały konglomerat korporacyjny czy biznesowy tworzący patologie III RP wciąż pozostanie poza kontrolą PiS. Podobnie jak zdecydowana większość kanałów dystrybucji prestiżu oraz mediów, które w przytłaczającej większości są antypisowskie. Wyciągam z tego wnioski podobne do Ziemkiewicza, który obawia się niewydolnego systemu, w którym bezkarnie grasują sitwy. Też się tego obawiam, ale jeśli do paraliżu dojdzie, to nie z powodu miłości PiS do monowładzy, lecz z powodu wściekłej nienawiści odsuniętej od władzy wielopartyjnej monopartii III RP. Ona nie chce negocjować czy współtworzyć. Ona chce odebrać to, co prawem kaduka uważa za swoje. Jeśli coś może okazać się dla Polski zabójcze, to ten właśnie klincz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

Maciej Pieczyński

Sądny czas dla „nadzwyczajnej kasty”

Prawne triki Kamila Zaradkiewicza mogą zagrozić pozycji Małgorzaty Gersdorf i jej zwolenników. Do walki z sędziowską elitą używa jej własnej broni: konstytucji. Tyle że skuteczniej. I bez sięgania po pomoc międzynarodowych trybunałów

Czy działania sędziego Kamila Zaradkiewicza doprowadzą do zakwestionowania przez TK nominacji sędzi Małgorzaty Gersdorf (na zdjęciu) na I prezes SN?
FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Na początku lipca prof. Kamil Zaradkiewicz, sędzia Izby Cywilnej Sądu Najwyższego, skierował cztery pytania prawne do Trybunału Konstytucyjnego. W największym skrócie poruszają one kwestię legalności wyboru sędziów, wybranych przez poprzednie składy Krajowej Rady Sądownictwa. Autor pytań powołuje się przy tym na wyrok TK z czerwca 2017 r., który za niekonstytucyjne uznał przepisy ustawy o KRS, stanowiące, że kadencje sędziowskie członków rady upływają w różnych okresach.

Zakwestionowane przepisy obowiązywały w latach 2011–2017. Zaradkiewicz pyta więc, czy powołani w tym okresie sędziowie mogą w ogóle orzekać. A zatem: czy ich wyroki można uznać za wiążące, czy ważne są prowadzone przez nich postępowania. Sędzia Zaradkiewicz pyta również, czy osoby wybrane w tym okresie przez KRS mogą zgodnie z konstytucją sprawować funkcję w Sądzie Najwyższym, np. przydzielać sprawy, wyznaczać składy orzekające. Gdyby TK odpowiedział negatywnie, zakwestionowana zostałaby również nominacja sędzi Małgorzaty Gersdorf na I prezes SN. Jednocześnie zawnioskował o wstrzymanie do czasu rozstrzygnięcia sprawy toczących się obecnie postępowań w sprawie zeszłorocznych (kwestionowanych z kolei przez opozycyjnie nastawionych sędziów) powołań sędziów dla nowo utworzonych izb SN.

PRAWNICZA PUŁAPKA

Małgorzata Gersdorf skierowała sprawę do rzecznika dyscyplinarnego. Zaradkiewicz nie pozostał dłużny. Zażądał wyłączenia rzecznika dyscyplinarnego SN oraz członków kolegium SN (w tym prezes Gersdorf). Zażądał też, by rzecznik nie

eprasa.pl ae45b5c7b4

podejmował żadnych czynności do czasu rozpatrzenia wniosku.

„Najwyższy niepokój budzić może nie tylko ewentualność powstania poważnych zastrzeżeń co do bezstronności Małgorzaty Gersdorf w niniejszym postępowaniu, lecz także ewentualność narażenia na zarzut nadużycia uprawnień sędziowskich z powodu działania w istocie we własnej sprawie, z wykorzystaniem kompetencji Pierwszego Prezesa dla wywarcia oddziaływań represyjnych względem niezawisłego sędziego Sądu Najwyższego" – czytamy w treści uzasadnienia wniosku. Zgodnie z argumentacją prof. Kamila Zaradkiewicza postępowanie prezes Gersdorf w niniejszej sprawie może „wywołać co najmniej wrażenie wpływania na działalność orzeczniczą" SN. Może również w efekcie prowadzić do podważenia konstytucyjnej zasady niezależności sądu i niezawisłości sędziego.

Postanowienie o skierowaniu pytań do TK Zaradkiewicz wydał 1 lipca. Jednak oficjalnie pytania zadać może przełożony sędziego, czyli prezes Izby Cywilnej SN Dariusz Zawistowski. Ten jednak zwlekał z reakcją. Uważany za zwolennika Małgorzaty Gersdorf Zawistowski miał blokować inicjatywę swojego podwładnego. Wobec tego Zaradkiewicz 9 lipca, na posiedzeniu niejawnym, podjął decyzję o zabezpieczeniu, wyłączając ze sprawy prezesa IC SN i upoważniając samego siebie do przekazania akt sprawy prezesowi Izby Dyscyplinarnej SN, aby ten z kolei przekazał pytania do TK. Swoją decyzję Zaradkiewicz uzasadnił potrzebą pośpiechu. Dariusz Zawistowski twierdzi, że akta zostały przekazane niezgodnie z prawem.

– Nie siedzę w głowie pana Zaradkiewicza, nie wiem, czym się kieruje. Uważam jednak, że pewnie odpłaca się sędziom związanym z opozycją totalną pięknym za nadobne. Stosuje wobec nich te same kruczki prawne, te same zabiegi proceduralne, za pomocą których oni próbowali zablokować reformę sądownictwa – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Krystyna Pawłowicz, poseł PiS zasiadająca w Krajowej Radzie Sądownictwa. Jej zdaniem Zaradkiewicz złapał niechętnych obecnej władzy sędziów w prawniczą pułapkę. – Jeżeli oni mogli kwestionować wybór nowego składu KRS, to dlaczego by nie walczyć z nimi ich własną bronią? Szczególnie że są ku temu podstawy prawne. W 2017 r. TK uznał część przepisów ustawy o KRS za niekonstytucyjną. Zgodnie z tym orzeczeniem to właśnie poprzednie składy rady były wybrane niezgodnie z ustawą zasadniczą – wskazuje prof. Pawłowicz.

– Zaradkiewicz stoi na gruncie orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego i korzysta z niego, składając swój wniosek. Natomiast sędziowie, broniący poprzedniego systemu prawnego, sprzed reformy PiS, z panią Gersdorf na czele, stawiają się nie tyle nawet ponad prawem, ile ponad zasadami demokracji. Nie potrafią bowiem uszanować ani wyniku wyborów, które wygrało Prawo i Sprawiedliwość, ani wyroków TK. To oni naginają zasady demokratycznego państwa prawa, zwracając się o pomoc w walce z polskim rządem do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, do którego kompetencji nie należy traktatowo ingerowanie w kształt wymiaru sprawiedliwości w państwie członkowskim – mówi Krystyna Pawłowicz.

ŁAD PRAWNY ZAGROŻONY?

– To precedens. Nikt wcześniej nie kwestionował prawidłowości funkcjonowania polskiego wymiaru sprawiedliwości. Nikt dotychczas nie podważał prawa do powoływania sędziów na stanowiska. Nikt nie kwestionował prawomocności składu KRS. Ten psujący prawo zwyczaj wprowadziła dopiero obecna władza – twierdzi Andrzej Zoll. – Przypomnę, że Kamil Zaradkiewicz został sędzią Sądu Najwyższego dopiero po zdecydowanej interwencji Zbigniewa Ziobry. Widać więc od razu, w czyim interesie działa. Szkoda, że minister Ziobro rozmontowuje system prawny właśnie rękami Kamila Zaradkiewicza, który był cenionym urzędnikiem Trybunału Konstytucyjnego, miał też bardzo dobrą opinię jako naukowiec – dodaje były prezes TK. Zdaniem Andrzeja Zolla prof. Zaradkiewicz celowo chce doprowadzić do całkowitego chaosu w polskim wymiarze sprawiedliwości.

– Abstrahując od racji leżących po jednej czy drugiej stronie sporu, przyjęcie poglądu prof. Zaradkiewicza powodowałoby nieobliczalne konsekwencje prawne – uważa prof. Piotr Kruszyński, adwokat.

Z kolei prof. Pawłowicz nie podziela obaw o chaos prawny, wynikający z zakwestionowania konstytucyjności poprzednich składów KRS. – Wątpię, by Trybunał Konstytucyjny wydał orzeczenie, grożące chaosem prawnym. Z pewnością, podejmując decyzję, będzie brać pod uwagę odpowiedzialność za stan państwa – mówi. – Można sobie natomiast wyobrazić sytuację, w której TK orzeka, że sędziowie, wskazani do powołania przez poprzednie składy KRS, w tym np. sędzia Gersdorf, nie zostali wybrani zgodnie z konstytucją. Natomiast, w trosce o ład i porządek prawny, nie zostaną z tego faktu wyciągnięte konsekwencje na przyszłość. Myślę, że pani Gersdorf nie powinna się martwić o dokończenie swej upływającej kadencji – dodaje.

– Opinia sędziego Zaradkiewicza jest dyskusyjną drogą rozwiązania sporu prawnego – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy" mec. Piotr Andrzejewski, sędzia Trybunału Stanu. – Pytania prejudycjalne, niezwiązane z zakresem merytorycznym rozpoznawanej przez sąd konkretnej sprawy, kierowane wcześniej przez sędziów SN do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, nosiły znamiona nie tylko niekonstytucyjności, lecz także miękkiej zdrady stanu. Natomiast pytania skierowane przez sędziego Zaradkiewicza do Trybunału Konstytucyjnego wynikają wprost z wyroku TK, a ponadto wpisują się w reformę sądownictwa, zaproponowaną przez obecną władzę ustawodawczą, a to właśnie do niej, zgodnie z ustawą zasadniczą, należy ostateczne rozstrzygnięcie kwestii wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Zgodnie z konstytucją charakter, zakres i sposób wyboru KRS określa ustawa stanowiona przez większość parlamentarną jako reprezentację narodu. Negowanie tego można uznać za negowanie treści polskiej konstytucji – dodaje mec. Andrzejewski. W jego opinii TK najpewniej umorzy sprawę. Zdaniem sędziego Andrzejewskiego nie ma podstaw do wątpienia o uprawnieniach do orzekania i kompetencjach aktualnych członków czy to KRS, czy to SN.

Wiele więc wskazuje na to, że wbrew obawom wielu prawników pytania do TK nie doprowadzą do „chaosu prawnego", że nie dojdzie do żadnego – jak ujął to jeden z tytułów prasowych – „armagedonu". Na razie trwa przepychanka pomiędzy Zaradkiewiczem a Gersdorf i jej zwolennikami. Sędziowie, nieprzychylni obecnej władzy, grożą wyciągnięciem konsekwencji. Krystian Markiewicz, prezes stowarzyszenia Iustitia, sugeruje na łamach „Dziennika Gazety Prawnej", że w grę może wchodzić odpowiedzialność karna z paragrafu za „niszczenie lub ukrywanie dokumentu przez osobę, która nie ma prawa rozporządzać nim". Tyle że pytania prawne Zaradkiewicza nie zostały ani zniszczone, ani ukryte. Czekają na rozpatrzenie przez Trybunał Konstytucyjny. Wciąż więc nie jest znana odpowiedź na kwieciście postawione na łamach jednego z portali pytanie: „Czy sędzia Zaradkiewicz rozwali system?".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

Łukasz Warzecha

Podstawą działań w sprawie odszkodowań powinno być przede wszystkim profesjonalne i rzetelne podsumowanie strat. Tymczasem raportu o polskich stratach wojennych w tej kadencji Sejmu nie będzie

FOT. EWA FARYASZEWSKA/MUZEUM WARSZAWY

Niewystawiony rachunek krzywd

Może będzie w następnej kadencji – poinformował poseł Arkadiusz Mularczyk, który z tematu reparacji zrobił sobie wehikuł polityczny. Poseł PiS wyjaśnia, że „jest to temat o charakterze fundamentalnym i dlatego powinien być rozpatrywany w spokoju". Dziwne stanowisko, wziąwszy pod uwagę, że ten właśnie temat był dotychczas używany w instrumentalny sposób głównie do podgrzewania antyniemieckich nastrojów.

SCHEDA PO PRL

Temat reparacji był przez ostatnich kilka lat jednym z najbardziej zakłamanych zagadnień. Wkomponowany w wątek germanofobii, służący mobilizacji elektoratu partii rządzącej, był przywoływany w kontekście niemal wyłącznie wiecowym. W gruncie rzeczy można powiedzieć, że polska opinia publiczna była regularnie oszukiwana, a przynajmniej mamiona możliwością ubiegania się o reparacje. Przy czym ani główny dysponent tematu, poseł Mularczyk, ani żaden inny polityk PiS nigdy nie sprecyzowali, w jaki sposób mielibyśmy się o reparacje ubiegać i jaką drogą prawną podążyć.

I nic dziwnego – bo takiej drogi w przypadku Polski nie ma. Temat został wielokrotnie rozpracowany przez historyków i specjalistów od prawa międzynarodowego. Poznański Instytut Zachodni zorganizował na ten temat kilka dyskusji z udziałem ekspertów. Wniosek zawsze był taki sam: III RP ma skutecznie zamkniętą drogę do sięgnięcia po jakąkolwiek instancję prawną w tej kwestii.

W stosunkach międzynarodowych o rozstrzyganiu sporów można bowiem decydować na dwa sposoby: albo poprzez wcześniej ustanowiony trybunał, posiadający odpowiednią kognicję, albo poprzez arbitraż, do którego muszą jednak dobrowolnie przystąpić oba państwa – doraźnie lub zawczasu na podstawie umowy. W przypadku ewentualnego sporu z Niemcami o reparacje nie zachodzi żaden z tych przypadków. Nie ma żadnego „międzynarodowego trybunału do spraw reparacji". Te powojenne – zarówno po I, jak i po II wojnie światowej – były ustalane na mocy traktatów kończących konflikt. Istnieje co prawda Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze, ale jego statut w art. 36. wyraźnie mówi, że przedmiotem jego rozstrzygnięć mogą być jedynie sprawy, które chcą poddać jego jurysdykcji państwa-sygnatariusze. Tak się zaś składa, że u zarania swojego istnienia III RP dobrowolnie ograniczyła jurysdykcję trybunału w dotyczących nas sprawach do kwestii zaistniałych po 1989 r. Co zresztą nie było głupie, wziąwszy pod uwagę, że chcieliśmy odebrać innym państwom możliwość nagabywania Rzeczypospolitej

eprasa.pl ae45b5c7b4

Polskiej o problemy, za które odpowiadała Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Zarazem jednak III RP została w 1989 r. spadkobiercą prawnym PRL. Nie było innego wyjścia, jeżeli chcieliśmy zachować w mocy między innymi rozstrzygnięcia dotyczące naszej zachodniej granicy. To jednak oznaczało także, że uznajemy decyzję Rady Ministrów PRL z 1950 r. o zrzeknięciu się pozostałych wówczas do spłaty reparacji od Niemiec (wbrew temu, co twierdzą niektórzy, ślady po tej decyzji są zarówno w archiwach kancelarii premiera, jak i w wystąpieniach polskich przedstawicieli w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ).

Z przysługującej nam sumy ok. 1,5 mld dol., która miała pochodzić z ogólnej puli przyznanej Sowietom, do tamtego momentu nie zobaczyliśmy w zasadzie nic – taki był skutek manipulacji strony sowieckiej. To Sowieci wymusili również decyzję z 1950 r. Jednak nie możemy dziś używać argumentu o braku suwerenności w momencie jej podejmowania, bo w ten sposób otworzylibyśmy drogę do zakwestionowania w zasadzie wszystkich innych decyzji, podejmowanych w sferze międzynarodowej przez rządy PRL. To nie leży w naszym interesie.

Warto też uzmysłowić sobie, że pieniądze, które do nas nie trafiły, a które przyznali nam alianci w traktacie poczdamskim, nie były bajońskimi sumami, o których dziś wspomina się nieraz w kontekście reparacji. 1,5 mld dol. miałoby dziś wartość ok. 20 mld dol., czyli – przy dzisiejszym kursie – niespełna 77 mld zł. Niby niemało, ale to raptem około jednej piątej rocznych dochodów budżetu Polski i niemal cały koszt realizacji programu „500+" tylko od jego powstania do kwietnia tego roku. Szału nie ma.

GRECY POLICZYLI STRATY

Gdy mowa o reparacjach dla Polski, często przywołuje się przykład Grecji. Jak to? Grecy mogą walczyć, a my nie możemy?! Jednak nasza sytuacja, właśnie za sprawą decyzji sprzed 69 lat, jest odmienna niż sytuacja Grecji. Gdzie zresztą temat reparacji jest również wykorzystywany politycznie. W kwietniu grecki parlament poparł skierowanie do Berlina żądania wypłaty reparacji rzędu 300 mld euro, przy czym ten postulat opiera się na przeprowadzonej pod egidą greckiego parlamentu całościowej ocenie strat wojennych. Zatem na tym, co w Polsce miał zrobić zespół parlamentarny, kierowany przez Arkadiusza Mularczyka.

Rząd Niemiec twierdzi, że zaspokoił już greckie roszczenia, wypłacając na początku lat 60. na podstawie dwustronnego porozumienia 115 mln marek (wówczas było to niespełna 28 mln dol., dziś warte ok. 243 mln dol. lub 217 mln euro). Dysproporcja między wypłaconymi pieniędzmi a obecnymi roszczeniami jest, jak widać, uderzająca.

Grecy twierdzą dzisiaj, że wypłata z 1960 r. była tylko „zadatkiem", a nie całością należnych reparacji. Z kolei niemieckie władze utrzymywały, że kwestię reparacji dla Grecji zamknął ostatecznie traktat „dwa plus cztery" z 1990 r., zatwierdzający zjednoczenie obu niemieckich państw. W tym stanowisku wyłom pojawił się dopiero w ostatnich tygodniach. Pod wpływem żądań lewicowej frakcji w Bundestagu greckie żądania przeanalizowali niemieccy eksperci parlamentarni i orzekli, że mogłyby być one rozpatrzone przez haski MTS – oczywiście bez gwarancji, że greckie stanowisko zostanie uwzględnione. Jednocześnie stwierdzili, że nie dotyczy to już żądań Polski. Te zostały uznane za bezzasadne.

III RP została w 1989 r. spadkobiercą prawnym PRL. Nie było innego wyjścia, jeżeli chcieliśmy zachować w mocy rozstrzygnięcia dotyczące naszej zachodniej granicy

Niemcy mają w tej sprawie w ręku mocne argumenty – mocniejsze niż w przypadku Grecji. Ciekawe jest też to, że greckim i polskim sojusznikiem, gdy chodzi o kwestię zadośćuczynienia w jakikolwiek sposób za wojenne zbrodnie i szkody, jest na niemieckiej scenie politycznej lewica. Również gdy chodzi o głosy ekspertów czy historyków.

REPARACJE CZY EKWIWALENT?

Czy zatem Polska jest na przegranej pozycji? Niekoniecznie. Błędem było z całą pewnością skupianie uwagi na chwytliwym politycznie, ale nierealistycznym haśle reparacji. Na nie nie ma szans. Nie znaczy to jednak, że nie należy przypominać o polskich stratach, traktując to jako instrument polityczny we wzajemnych relacjach, oraz ubiegać się o innego rodzaju odszkodowania. Problem w tym, że podstawą takich działań powinno być przede wszystkim profesjonalne i rzetelne podsumowanie polskich strat. Pozostawienie tej sprawy w rękach pojedynczego posła, dla którego był to po prostu sposób na trwanie w polityce, było zdecydowanie złym pomysłem. Wycena szkód wojennych jest zadaniem bardzo trudnym i bardzo pracochłonnym. Gdyby władza chciała potraktować ten problem poważnie, od kilku lat powinien działać nie parlamentarny zespół, ale złożona z ekspertów – rzeczoznawców, historyków, prawników – komisja z odrębnym finansowaniem i konkretną datą zakończenia kwerendy. Nic takiego jednak nie nastąpiło i na nic takiego się nie zanosi.

Poseł Mularczyk wspomina natomiast o indywidualnych odszkodowaniach – i to jest jedna z dróg, którymi możemy podążać. Trzeba jednak pamiętać, że żyjących ofiar jest z roku na rok mniej. Dlatego – zamiast powtarzać frazesy o reparacjach, których i tak nie mamy szans uzyskać – warto pomyśleć też o innych możliwościach. Skoro nie możemy uciec się do MTS lub arbitrażu, to jedyną drogą są rozmowy dwustronne. Tutaj jednak potrzebne by były wysokie umiejętności dyplomatyczne. CDU/CSU ma również swoich wyborców, z którymi musi się liczyć, i polska strona musi to uwzględniać. Gdyby Niemcy miały zacząć Polsce wypłacać jakieś pieniądze, Berlin musiałby mieć jak to sprzedać elektoratowi. A to oznacza, że postawa polskiej strony nie może być ostentacyjnie roszczeniowa. Musimy być lisem, a nie słoniem w składzie porcelany.

Nie łudźmy się, że będziemy w stanie uzyskać w ten sposób setki miliardów euro. Sensowne wydaje się natomiast rozpoczęcie rozmów o sfinansowaniu przez Niemcy projektów w jakiś sposób powiązanych ze stratami wojennymi. Jednym z nich mogłaby być odbudowa Pałacu Saskiego. Zapowiedział ją 11 listopada ubiegłego roku prezydent Andrzej Duda, ale za tą zapowiedzią nie poszły żadne konkrety i utonęła ona szybko w politycznym jazgocie.

U progu kolejnej kadencji, w której zapewne PiS będzie ponownie sprawować władzę, trzeba zapytać, czy w sprawie odszkodowań od Niemiec rządzącym zależy na tym, żeby złapać króliczka, czy jedynie na tym, żeby go gonić. Na razie wygląda na to, że chodzi głównie o to drugie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

Procenty na drodze

Łukasz Zboralski

Przypadek Kamila Durczoka nie tylko pokazuje, że mimo wielkiej kariery można bardzo nisko upaść. Jest także spektakularnym dowodem, że wobec pijanych kierowców polski system często pozostaje bezradny

Kamil Durczok, niegdyś gwiazda telewizji TVN, jechał po autostradzie A1, będąc mocno pijanym. Z późniejszych pomiarów alkomatem wyszło, że miał w organizmie aż 2,6 promila. Nikt by się o tym nie dowiedział, gdyby na remontowanym odcinku drogi Durczok utrzymał się w swoim pasie. Nie utrzymał. Wjechał w pachołki rozdzielające pasy z takim impetem, że w jego samochodzie eksplodowały poduszki powietrzne, a pachołek uszkodził auto jadące z naprzeciwka.

Jego historia to coś więcej niż smutny obrazek upadającego człowieka, który mimo błyskotliwej kariery znalazł się na dnie. Ona pokazuje też, że w Polsce mamy niewiele narzędzi, które pozwalają realnie zmniejszyć liczbę pijanych kierowców. Skupiamy się wyłącznie na kwestii karania – i ewentualnego podnoszenia tych kar. Ale i tu mamy poważne luki, nad których załataniem nikt nie chce pracować.

JAKIE NARZĘDZIA?

Po kolizji (bo o wypadku jako kwalifikacji prawnej można mówić dopiero wtedy, gdy w zderzeniu drogowym ktoś zostanie zabity lub ranny do tego stopnia, że powrót do zdrowia zajmie więcej niż siedem dni) prokuratura postawiła Durczokowi zarzut prowadzenia samochodu w stanie nietrzeźwości. Zarzuciła mu jednak również sprowadzenie niebezpieczeństwa zagrożenia katastrofą w ruchu lądowym, co łączy się z większym wymiarem kary – za taki czyn grozi aż do 12 lat więzienia. Konsekwencją takiego zarzutu był wniosek o tymczasowy areszt, bo można o niego wnioskować, gdy istnieje prawdopodobieństwo wysokiej kary.

Zarzut dotyczący katastrofy pozornie wydawać mógł się trafiony – przecież na autostradzie można spowodować naprawdę poważne zdarzenie drogowe. Tyle tylko że trudno będzie udowodnić to w przypadku remontowanego odcinka (z ograniczeniem prędkości). Do tej pory takie zarzuty stawiano raczej w przypadkach, gdy rzeczywiście łatwo było wnioskować, że zachowanie kierowcy groziło poważnym karambolem. Na przykład – gdy kierowca zachował się na tyle niebezpiecznie, że zatarasował przejazd kolejowy, na którym w ciężarówkę mógł wjechać pociąg wiozący wiele osób. Albo gdy rażąco złamał przepisy kierowca autokaru przewożącego dużą grupę osób.

Warto dodać, że co jakiś czas policja lub ITD łapią na polskiej autostradzie kierowcę wielotonowej ciężarówki, który jest w stanie nietrzeźwości, czyli ma w organizmie powyżej 0,5 promila. Takim kierowcom nie stawia się zarzutów związanych z możliwością sprowadzenia katastrofy.

Można też wspomnieć o słynnym „Frogu", wobec którego polskie prawo pozostało bezradne. Nie udało się bowiem przekuć w zarzut sprowadzenia katastrofy szalonej jazdy przez miasto, która zagrażała wielu osobom. W świetle polskiego prawa jazda, która po kolei narażać może wiele istnień ludzkich, to nie to samo co jazda narażająca wiele osób w jednym momencie.

Ciężki zarzut wobec Durczoka pokazuje nie to, że prokuratura się myli, ale to, że w polskim systemie prawnym istnieje za mało narzędzi postępowania z osobami drastycznie łamiącymi prawo drogowe, w tym również z tymi, które robią to pod wpływem alkoholu.

Doszło do tego, że śledczy coraz częściej sięgają po zarzut nieumyślnego zabójstwa wobec sprawców śmiertelnych wypadków. W takich przypadkach wskazują, że ludzie, którzy zabili na drodze, godzili się z tym, co mogą zrobić, np. ścigając się samochodami po ulicach miasta, przez które przechodzą piesi.

Taki zarzut udaje się utrzymywać w sądach. Dowodem jest choćby wyrok wydany przez Sąd Apelacyjny we Wrocławiu dotyczący wypadku w Jeleniej Górze z 2016 r. Wówczas 18-latek ukradł kobiecie samochód i pędząc przez miasto, zabił 37-letniego mężczyznę przechodzącego

eprasa.pl ae45b5c7b4

Kamil Durczok przyznał się do prowadzenia auta po pijanemu i publicznie przeprosił swoich bliskich FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/FORUM

przez przejście dla pieszych na zielonym świetle. Sąd uznał, że jazda przez miasto z prędkością momentami dochodzącą do 140 km/godz. i możliwość dostrzeżenia z daleka człowieka, którego można zabić, wskazują, że słuszny jest zarzut zamiaru ewentualnego pozbawienia życia. W dodatku kierowca odpowiedział też za sprowadzenie niebezpieczeństwa katastrofy. W sumie skazano go na 15 lat więzienia.

ŁASKAWOŚĆ PRAWA I SĄDÓW

Problem braku narzędzi spróbowali rozwiązać Włosi. W swoim systemie prawnym w 2016 r. przyjęli nową kwalifikację czynu – morderstwo drogowe. Od tego czasu sprawca wypadku śmiertelnego, jeśli miał co najmniej 1,5 promila alkoholu w organizmie (Włosi dopuszczają jazdę po drogach ludzi, którzy mają do 0,5 promila; w Polsce można mieć do 0,2 promila) albo jeśli przekroczył prędkość co najmniej o 50 km/godz., jest zagrożony karą więzienia od 8 do 12 lat. Pułap kary szybuje do 18 lat, gdy kierowca w wypadku zabije więcej niż jedną osobę.

Duńczycy od dawna mają surowy przepis dotyczący przepadku mienia. Jeśli samochodem jedzie ktoś, kto ma w organizmie co najmniej dwa promile, możliwa jest konfiskata jego samochodu. Pojazd trafia na aukcję, a pieniądze z jego sprzedaży zasilają budżet państwa.

W Polsce dolna granica kary dla nietrzeźwych sprawców śmiertelnych wypadków drogowych do niedawna wynosiła zaledwie dziewięć miesięcy. Przy tym wyrok do 12 miesięcy pozbawienia wolności można było zawiesić. I sędziowie w Polsce z tego skwapliwie korzystali. Większość kar wobec pijanych sprawców takich wypadków orzekano w dolnej granicy i prawie wszystkie wówczas zawieszano.

Dzięki nowelizacji resortu Zbigniewa Ziobry od czerwca 2017 r. nietrzeźwy sprawca wypadku, w którym ktoś zginął lub został ciężko ranny, musi pójść do więzienia na minimum dwa lata. I tej kary nie wolno zawiesić. To zmiana, ale w porównaniu z włoskim kodeksem widać, jak mało dotkliwa. W dodatku warto zauważyć, że – inaczej niż we Włoszech – w Polsce radykalne przekraczanie prędkości przy spowodowaniu wypadku nie jest zagrożone surowymi sankcjami (o ile prokuratura nie trudzi się z sięganiem po zarzut nieumyślnego zabójstwa) – a przecież mamy dowody, że jest bardziej zabójcze. Nadmierna prędkość to oficjalnie druga najczęstsza przyczyna wypadku drogowego w Polsce. Z kolei pijani kierowcy odpowiadają za ok. 7 proc. wszystkich wypadków śmiertelnych w kraju.

Należy też wspomnieć, że nowelizacja Ziobry podwyższyła górną granicę kary z trzech do pięciu lat więzienia dla tych, którzy prowadzą pojazdy mimo sądowego zakazu. Jako sankcję dla tych, którzy i tak nie dbają o zakazy jazdy, można orzekać kolejny zakaz prowadzenia pojazdów na... 15 lat. A w przypadku sądowych zakazów jazdy natrafiamy w Polsce na największy problem z pijanymi kierowcami.

KARAĆ, ALE I LECZYĆ

Jesteśmy poniżej średniej UE, jeśli chodzi o liczbę wypadków powodowanych przez pijanych kierowców. I niedawne doniesienia „Rzeczpospolitej" o większej liczbie nietrzeźwych przyłapanych przez policję w tym roku mogą być jedynie sygnałem do zbadania sytuacji – sama liczba przyłapanych w ogóle nie mówi o skali zjawiska. Wystarczy przecież, że policyjnych kontroli odbędzie się więcej, albo wybrane zostaną lepsze ich miejsca i pory dnia.

Poważny problem od lat mamy jednak z tymi, którzy po przyłapaniu przez policję oraz nawet skazaniu przez sąd nadal piją i jeżdżą. Jasno widać, że system na nich nie działa. Z danych Centralnego Zarządu Służby Więziennej z 2018 r. wynikało, że blisko 3,5 tys. ludzi siedzi w więzieniu za to, że ponownie wsiadło do samochodu po tym, gdy już wcześniej za to (lub również za spowodowanie wypadku w takim stanie) ich skazano. To więcej niż połowa z wszystkich ok. 6 tys. odsiadujących wówczas wyroki za przestępstwa drogowe. A dodajmy, że wśród nich jest jeszcze 1319 kierowców złapanych po raz pierwszy na prowadzeniu samochodu pod wpływem alkoholu czy narkotyków.

Dlaczego zapełniają polskie więzienia? Oczywiście dlatego, że łamią normy społeczne i prawo. Ale także dlatego – co potwierdziła m.in. Najwyższa Izba Kontroli – że polski system nie działa i nie daje żadnej szansy osobom z ewidentnym problemem alkoholowym. Po informacji o zatrzymaniu pijanego kierowcy starosta powiatowy ma możliwość skierowania takiej osoby na badania, co może być początkiem terapii i choćby minimalną szansą na to, że część takich kierowców ostatecznie nie trafi za kraty. Starostowie – i to jest jeden z problemów decentralizacji polskiej władzy – prawie nigdy takich decyzji nie podejmują.

I znów – w Europie mamy przykłady systemów, które wystarczy skopiować. Na Słowacji kierowca przyłapany na jeździe pod wpływem alkoholu musi się obowiązkowo poddać badaniu psychiatrycznemu. Jest diagnozowany. Jeśli jest chory, może otrzymać ofertę terapii. Ale nawet jeśli nie stwierdza się uzależnienia, to nie jest koniec interwencji państwa. Człowiek, który wsiadł po pijanemu do samochodu, musi wówczas odbyć obowiązkowe konsultacje z psychologiem transportu. To w sumie 14 godzin, na które składają się jedna indywidualna sesja i cztery grupowe.

Oprócz zastanowienia się nad sensem niepraktycznych kontroli polskiej policji, prowadzonych porankami (ze statystyk KGP wynika, że pijani kierowcy powodują wypadki wieczorami i w nocy), trzeba w Polsce zaprojektować nowy system postępowania z pijanymi na drodze, a nie tylko wtedy, gdy już wydarzy się spektakularny wypadek, w swoistych politycznych odruchach Pawłowa nieznacznie podnosić wymiary kar. Kiedy będzie nas stać na taką merytoryczną dyskusję w Sejmie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

Wyżej, dalej,

Agnieszka Niewińska

Francuz na latającej desce próbował pokonać kanał La Manche, ale wśród Polaków też nie brakuje śmiałków, którzy przez Islandię maszerują bez butów, a Bałtyk przepływają wpław. Po co światu wyczynowcy?

To futurystyczny spektakl" – emocjonowały się francuskie media po tym, jak 14 lipca podczas wojskowej defilady nad placem Concorde przeleciał człowiek na flyboardzie, czyli latającej platformie. Pochodzący z Marsylii Franky Zapata uniósł się na jednoosobowym statku powietrznym własnej konstrukcji. Nad różnymi wersjami flyboardów pracuje od kilkunastu lat. W rozwój jego wynalazku francuska armia zainwestowała już 1,3 mln euro.

PALIWO LOTNICZE W PLECAKU

Po tym, jak lot Zapaty wzbudził zainteresowanie mediów, ogłosił on, że na latającej desce przeleci nad kanałem La Manche. Próbę podjął 25 lipca. Spadł do wody mniej więcej w połowie 36-kilometrowej trasy. Nie udało mu się wylądować na łodzi służącej do uzupełnienia zapasu paliwa. Problem z jego flyboardem polega bowiem na tym, że choć pozwala na uniesienie się na 15–20 m nad ziemią i rozwinięcie prędkość do 190 km/godz., to lotniczego paliwa starcza na kilkanaście minut lotu. Zbiornik jest niewielki – umieszczony w plecaku Zapaty.

– Wszystko szło bardzo dobrze do momentu lądowania na tej przeklętej łodzi – mówił Zapata po nieudanej próbie przelotu nad La Manche. Zapowiedział kolejną próbę przelotu. Niewykluczone, że kiedy ten numer „Do Rzeczy" trafi do rąk czytelników, Zapata będzie miał ją już za sobą.

40-letni Francuz pasją do sportów motorowych zaraził się lata temu. Jest medalistą mistrzostw świata i Europy w wyścigach skuterów wodnych. Pierwsze flyboardy jego konstrukcji były połączone z motorówkami i unosiły się w powietrzu dzięki strumieniom wody pod ciśnieniem. Później za cel Zapata postawił sobie uniezależnienie flyboardu od łodzi i tak powstała latająca platforma.

– Gdyby ktoś umożliwił mi lot nad kanałem La Manche na takiej latającej desce, to chętnie bym z tego skorzystał – śmieje się psycholog społeczny, prof. Zbigniew Nęcki, i wyjaśnia, że wyczynowcy i zapaleńcy w rodzaju Zapaty to efekt tego, że żyjemy w masowym społeczeństwie. – Ludzie mają silną potrzebę bycia dostrzeżonymi, chcą się pozytywnie wyróżnić, wybić. Jedni odczuwają tę potrzebę mniej, a inni bardziej. Ci ostatni to właśnie tacy pozytywni wariaci. Wyróżniają się dzięki nadzwyczajnym osiągnięciom, łamaniu konwencji.

Nad Wisłą też nie brakuje wyczynowców. Na początku lipca Łukasz Mosak wrócił z wyprawy na Islandię. Jego trawers przez wyspę liczył 360 km. Został pierwszym człowiekiem, który Islandię przemierzył boso. – Cenię sobie naturalny styl życia. Chodzenie boso pozwala mi zachować naturalny łącznik z ziemią. Podczas długich wędrówek staram się wejść w stan medytacyjny, potrafię wyłączyć ból – opowiada „Do Rzeczy" Mosak.

Islandia nie była jego pierwszą wyprawą boso. W ten sposób zdobył już 28 szczytów należących do Korony Gór Polski. W 2011 r. jako pierwszy wszedł boso na Rysy, bez butów przeszedł też słynną Orlą Perć. – Moje stopy przystosowały się do chodzenia bez obuwia, mimo to Islandia była dla mnie dużym wyzwaniem ze względu na dzienny dystans do pokonania, który liczył 30 km, jak i na typowo wulkaniczne podłoże z ostrymi i chropowatymi kamieniami – opowiada.

Podczas marszu doznał kontuzji. – Centymetrowy kamień zrobił mi dziurę w stopie i utkwił w niej. Poczułem go dopiero po dwóch dniach marszu. Wyzwaniem była też zmienna pogoda. Podczas 12 dni wyprawy temperatury wahała się od –5 do +16 st. C – mówi Mosak.

BAŁTYK WPŁAW, MARIOTT W 37 MINUT

Polscy wyczynowcy mogą się pochwalić osiągnięciami nie tylko na lądzie, lecz także w wodzie. Przed dwoma laty pływak Sebastian Karaś – wielokrotny medalista Mistrzostw Polski – jako pierwszy prze-

eprasa.pl ae45b5c7b4

lepiej

FOT. ZAPATA/MEDIADRUMWORLD.COM/FAST NEWS

płynął Bałtyk wpław. Wystartował z plaży w Kołobrzegu. Po 28 godzinach i 30 minutach dopłynął do wyspy Bornholm, pokonując dystans 100 km. Podczas tej próby obok niego płynęła łódź. Pływak nie mógł na nią wchodzić, cały czas przebywał w wodzie. Załoga monitorowała jego stan zdrowia i za pomocą kija podawała mu napoje i posiłki.

– Chciałem zostać pierwszym człowiekiem na świecie, który pokona taki dystans w Morzu Bałtyckim. Bałtyk jest dużym wyzwaniem. W morzu walczyłem z zimną wodą, prądami, specyficzną krótką falą. Myślę, że ludzie robią to po to, aby sprawdzić swoje możliwości, walczyć ze swoimi słabościami – mówi Sebastian Karaś, kiedy pytamy o jego motywację. – W dzisiejszych czasach ciężko doceniać małe rzeczy, wszystko mamy podane na tacy. Takie przedsięwzięcia wiele nas uczą. Nie każda droga jest usłana różami i czasami warto wyjść ze strefy komfortu i spojrzeć na świat inaczej – dodaje.

Podczas ponad doby, którą spędził w wodzie, pokonując Bałtyk wpław, dużym wyzwaniem było także zapanowanie nad myślami. – Podczas pływania staram się myśleć o technice, o swoich ruchach, aby pokonywać kolejne kilometry jak najbardziej ekonomicznie. Czasami liczę, śpiewam, ale są też momenty, kiedy wchodzi się w stan „flow", gdzie nie myśli się o niczym i chyba wtedy jest najlepiej – opowiada.

Pływak przyznaje, że w tego typu wyzwaniach najtrudniejsze jest przezwyciężenie wielu przeciwności naraz: – Czyli dystansu, zimnej wody, fali dochodzących do 1,5 m, obtarć od pianki, którą ma się na sobie, problemów żołądkowych podczas przyjmowania posiłków. Walczy się również z ciemnością. W trakcie tych 28 godzin wiele rzeczy przeszkadza i należy mentalnie sobie z tym poradzić. Jeżeli pomimo tych wszystkich przeciwności poradzimy sobie i wygramy tę wewnętrzną walkę, to satysfakcja jest nie do opisania – mówi Karaś.

Długodystansowym pływaniem na otwartym akwenie zainteresował się w 2012 r. W 2015 r. poprawił rekord Polski w przepłynięciu kanału La Manche wpław (8 godzin i 48 minut). Trasę Hel – Gdynia – Hel (ok. 38 km) pokonał w czasie 9 godzin i 3 minut.

Niecodziennego wyczynu dokonał także Leszek Naziemiec z Siemianowic Śląskich. W listopadzie ubiegłego roku w samym czepku i kąpielówkach przepłynął kilometr w lodowatych wodach Antarktydy. Wziął udział w pierwszym takim wyścigu w historii. Zajął piątą lokatę z czasem poniżej 15 minut. Woda miała –1,2 st. C. Po próbie Naziemiec mówił, że „ciął wodę jak rakieta, nie odczuwając zimna".

Nad uczestnikami antarktycznego wyścigu czuwali nie tylko lekarze, lecz także przyrodnicy. Zadaniem tych ostatnich było zabezpieczenie pływaków przed drapieżnikami, takimi jak np. lamparty morskie.

Nie brakuje też wyczynowców, którzy igrają z wysokością. Marcin Banot, wspinacz builderingowy ze Świętochłowic, od 2016 r. na swoim kanale na YouTube zamieszcza filmy, w których pokazuje m.in., jak wspina się na wysokie obiekty bez asekuracji.

W czerwcu było głośno o jego wspinaczce na warszawski hotel Mariott. Wejście na dach 170-metrowego wieżowca zajęło mu 37 minut i 45 sekund. Żeby przygotować się do tej próby, stworzył symulator wieżowca, na którym trenował. Jego wspinaczka na Mariott nie przeszła niezauważona. Zgromadziła pod hotelem gapiów, którzy wezwali straż pożarną i policję. Kiedy wspinacz stanął na dachu wieżowca, zebrani na dole obserwatorzy wiwatowali. – Nawet nie wiem, czy twarde narkotyki są w stanie dać takiego endorfinowego kopa – mówił w filmie na YT „człowiek pająk" ze Śląska.

Mrożący krew w żyłach film z tej wspinaczki ma już w sieci 2,1 mln odsłon. Banot ostrzega jednak w filmie, by nie powtarzać jego wyczynów, bo ryzykuje się utratą życia i problemami z prawem. Po wspinaczce na Mariott usłyszał zarzut z art. 51 par. 2 Kodeksu wykroczeń dotyczący zakłócania porządku publicznego.

Hotel w stolicy nie był jego pierwszym celem. Wspiął się już m.in. na 117-metrowy hotel Sky Melia w Barcelonie. Na koncie ma też 363-metrowy maszt radiowy w Niemczech. Na jego szczycie stanął na rękach.

KROK NAPRZÓD

Łukasz Mosak już myśli o kolejnej wyprawie bez butów. – Mam pewne plany, ale jeszcze zostawię je dla siebie – mówi tajemniczo. Na razie przemierza rosyjskie góry, bo odkąd zaraził się tą pasją w 2005 r., wchodzi coraz wyżej.

Sebastian Karaś: – W tym momencie startuję w zawodach triathlonowych, ale nie ukrywam, że powoli przychodzi głód zrobienia czegoś wielkiego.

Pływak promuje pływanie poprzez różne wydarzenia sportowe, m.in. Gdynia i Extreme Baltic Challenge, a także prowadzi szkołę pływania w Warszawie, gdzie pasją do pływania zaraża dzieci i dorosłych. W sierpniu mijają dwa lata od przepłynięcia przez niego Bałtyku. Z tej okazji 1 września zaprasza fanów długodystansowego pływania na otwartych wodach na zawody Gdynia Baltic Challenge 2019 by Aquawave.

– Ci, którzy podejmują trudne do sprostania wyzwania – o ile oczywiście nie chodzi o absurdalne konkurencje, takie jak jedzenie pączków na czas – pchają świat do przodu. Ich wyczyny niosą ze sobą wartości intelektualne, emocjonalne, społeczne – ocenia prof. Nęcki. – Dzięki działaniom wyczynowców powstają innowacyjne pomysły, rekordy sportowe pokazują, jak dalece możemy przesunąć granice wytrzymałości ludzkiego organizmu. Jednak to nie rozwój jest wartością. Ważne, na co jest ukierunkowany. Z nieporównanie większą sympatią patrzę na wyczyny sportowe niż na mistrzów w produkcji broni czy kierowców, którzy chcąc się wyróżnić, jadą z zawrotną prędkością – kwituje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

Zemsta na

Marcin Makowski

„Na cały głos" pokazuje Rogera Ailesa tak, jak chcieliby go widzieć jego wrogowie. Szkoda, że tak ciekawą historię spisano na straty poprzez nieumiejętność wyjścia poza własne uprzedzenia

W amerykańskich konserwatywnych mediach przełomu wieków nie było bardziej wpływowej figury niż Roger Ailes. Doradca w kampaniach czterech prezydentów i twórca potęgi Fox News z własnej telewizji odchodził jednak w niesławie i w cieniu oskarżeń o molestowanie seksualne. Dwa lata po jego śmierci, gdy nie mógł już (do czego przywykł) odpowiedzieć atakiem na atak, show-biznes dokonał dekonstrukcji wszystkiego, co zbudował.

Serial „Na cały głos" („The Loudest Voice") to modelowy przykład hollywoodzkiej ślepoty na jedno oko. Republikanie – nawet jeśli osiągają oszałamiający sukces – są przy okazji źli, chciwi, cyniczni i brzydcy. Grany przez Russella Crowe'a Ailes jest każdym po trochu. A wraz z nim, co twórcy serialu mówią z łopatologiczną prostotą, również najchętniej oglądana telewizja w kraju. Ta, która dała liberałom wroga numer jeden – populizm i jego dziecko, Donalda Trumpa. „Na cały głos" stanowi ich zemstę.

TWÓRCA PREZYDENTÓW

Zanim jednak przyjdzie się zmierzyć z produkcją stacji Showtime, którą współtworzył m.in. Tom McCarthy odpowiedzialny za „Spotlight", trzeba zrozumieć, ile faktycznie znaczył Roger Ailes, skoro postanowiono uderzyć w niego z taką siłą. Na świat przyszedł i dorastał w przemysłowym Warren w stanie Ohio – jak sam uwielbiał powtarzać – mieście przypominającym „Amerykę w mikroskali". W życiu rodzinnym właściwie nigdy nie zaznał ciepła – zdarzało się, że jego ojciec bił matkę, ich małżeństwo

eprasa.pl ae45b5c7b4

Fox News

Rogera Ailesa, pierwszego szefa Fox News i doradcę w kampaniach czterech prezydentów, gra w „Na cały głos" Russell Crowe FOT. MATERIAŁY PRASOWE

rozpadło się, gdy miał 20 lat. Niemal wszystko – od dorastania w rejonie stanowiącym zaplecze demokratów przez studia na kierunku dziennikarskim do pracy w telewizji – powinno z niego zrobić liberała. A jednak stronił od rautów, celebrytów i bywania na salonach mimo tego, że przed trzydziestką odebrał swoją pierwszą nagrodę Emmy. Przyznano mu ją za wyciągnięcie z lokalnej stacji na scenę krajową formatu „The Mike Douglas Show" – programu popularyzującego ideę talk-show w całej Ameryce.

To właśnie tam, podczas jednej z dyskusji o roli mediów w polityce, posprzeczał się z Richardem Nixonem, który uważał, że telewizja jest mało istotna z perspektywy zwycięstwa w wyborach. „Jeśli nie zrozumie pan jej siły, to pan nigdy tych wyborów nie wygra" – odpowiedział mu młody Ailes, któremu niedługo później zaproponowano posadę spin doktora w sztabie kandydata republikanów. Przyjmując ofertę, przeniósł się do świata polityki, którego na dobre nie opuścił do końca życia. W bestsellerze Joe McGinnissa „The Selling of the President 1968" to właśnie Ailesowi przypisano kluczową rolę w spopularyzowaniu i „sprzedaniu" trudnego wizerunku Nixona, który pokonując Huberta Humphreya, został 36. prezydentem USA.

Od tego czasu późniejszy szef Fox News doradzał i współtworzył kampanię Ronalda Reagana, George'a H.W. Busha oraz Donalda Trumpa. Nikomu przed nim nie udało się powtórzyć podobnego wyczynu, przy okazji przemodelowując (czasami na gorsze) standardy debaty publicznej. Do klasyki marketingu politycznego przeszła jego „teoria orkiestronu", którą da się zamknąć w pytaniu: „Jeśli podczas debaty wyborczej jeden z kandydatów powie: »Mam plan rozwiązania kryzysu bliskowschodniego«, a drugi wpadnie przez przypadek do kanału dla orkiestry pod sceną, jak myślisz, o którym będzie głośno w wiadomościach następnego dnia?".

NARODZINY FOX NEWS

Nie bez powodu właśnie umiejętność przemawiania do emocji odbiorców, która przełamała monopol liberalnych mediów w Ameryce, jako cel obrali sobie twórcy „The Loudest Voice". Już w pierwszym odcinku serialu nie pozostawiają widzowi wątpliwości, że wszystko, co robi demoniczny mistrz propagandy, de facto ma swoje źródło w dwóch napędzających go cechach charakteru: pragmatyzmie i cynizmie. „Telewizja ma dawać ludziom to, czego chcą, nawet jeśli nie wiedzą, że tego chcą" – mówi do swoich podwładnych Ailes. „Ludzie nie chcą być poinformowani. Ludzie chcą czuć się poinformowani" – dodaje, aby w kolejnej scenie postawić kropkę nad i. „Nie obchodzi mnie, co wypada, a co nie. Chcę zbudować stację, którą ludzie będą oglądać" – słyszymy, za każdym razem z sugestywnym zbliżeniem na błyszczącą się łysinę oraz wielki podbródek ucharakteryzowanego nie do poznania gwiazdora „Gladiatora".

Kolejne kroki tworzenia podwalin pod Fox News dodają jedynie pikanterii z góry nakreślonemu obrazowi. Oczywiście nie ma on nic wspólnego z genezą stacji, którą sam Ailes zdefiniował w jednym ze swoich ostatnich wywiadów. „Odkryłem, że Amerykanie nie lubią, gdy im się mówi, co mają myśleć o informacjach, które otrzymują z mediów, dlatego wyszliśmy z formułą: my relacjonujemy, ty decydujesz" – stwierdził w programie Petera Robinsona. Dodał przy okazji, że jeżeli istnieje jakiś sekret stojący za przejęciem palmy pierwszeństwa od CNN na rynku newsowym, to polega on na „byciu bliżej Amerykanów". Oddaniu głosu „milczącej większości", czyli niespełna połowie społeczeństwa, która do tej pory swojej reprezentacji na rynku zdominowanym przez jedną wizję świata po prostu nie miała. „Gdyby wszystkie media w USA przechyliły się na prawo, byłbym największym liberałem w Nowym Jorku" – twierdził, pytany, czy w jego własnej stacji nie ma zbyt wielu konserwatystów. W tym sensie obecny spór na rynku medialnym w Polsce przypomina debatę, którą Amerykanie

eprasa.pl ae45b5c7b4

przerobili ok. 20 lat temu. Detali mających skompromitować Ailesa jako człowieka jest znacznie więcej.

Przykłady? Gdy dochodzi do zamachów na wieże World Trade Center, szef Fox ukazany jest jako ten, który pomimo sprzeciwu zespołu podejmuje decyzje o pokazywaniu „skoczków", którzy w akcie desperacji rzucali się na ulice z okien płonących budynków. Widząc, że to szansa na wzmożenie patriotycznego ducha telewidzów, nakazuje wszystkim prowadzącym noszenie w klapie marynarki amerykańskich flag, które wcześniej polecił kupić jednemu z asystentów w sklepie z pamiątkami. Scena chaotycznego rozsypania ich na stole oraz potraktowania jako gadżetu oddaje rodzaj „subtelności", którą w całej swojej narracji posługują się scenarzyści. Wszędzie, gdzie można było mieć wątpliwości, co faktycznie zrobił Ailes, są one przedstawiane na jego niekorzyść. Wojna w Iraku? Działanie na smyczy administracji Busha. Kandydatura Baracka Obamy? Aktywna i brutalna walka, nazywanie rasistą i ręczne dokręcanie śruby odnośnie do przekazu stacji. Roger podnosi telefon i mówi do reżyserki, aby prezenter za każdym razem akcentował jego muzułmańskie korzenie, dodając drugie imię – Hussein. Pięć sekund później prezenter stosuje się do polecenia z góry bez mrugnięcia okiem. Prawdziwy szef Fox w wywiadach podkreślał, że choć z Obamą w wielu kwestiach się nie zgadza, to „nadal ma szansę, aby zostać wielkim prezydentem". Jest różnica, prawda?

ZŁY, BRZYDKI, OBLEŚNY

„Nie mogę tego oglądać. Znałam Rogera, to zbyt bolesne. On nie był takim człowiekiem" – powiedziała mi w rozmowie Georgette Mosbacher, ambasador USA w Polsce, gdy zapytałem ją, czy Ailes faktycznie był tak zły, jak go przedstawiono. Co ciekawe, właśnie na ten aspekt – jednowymiarowej opowieści o człowieku, którego nie sposób polubić – zwróciła uwagę większość recenzentów czołowych mediów, od „Guardiana" do „Thrillista". Nie znając jego biografii, z samego serialu trudno wywnioskować, co naprawdę motywuje bohatera, z jakich powodów toczy swoją prywatną wojnę z establishmentem, jak, mimo swojej staroświeckości, odświeżył format telewizji śniadaniowej na podstawie programu „Fox and Friends", już w latach 60. wiedząc, że przyszłość telewizji to miks informacji, polityki i rozrywki. Zamiast tego widz otrzymuje serię wyrazistych scen erotycznych z podwładnymi, jednoznacznych sugestii, lubieżnych spojrzeń, szpiegowania własnych pracowników i łamania im kręgosłupów moralnych. Trudno przy tym nie odnieść wrażenia, że cały siedmioodcinkowy serial zbudowany jest wokół dwóch rzeczy: propagandy i seksu. Historia powstawania telewizji jest tylko tłem aktorskich popisów Russella Crowe'a, bo to serial zbudowany wokół niego, gdzie reszta aktorów (m.in. grana przez Naomi Watts molestowana przez Ailesa dziennikarka Gretchen Carlson) siłą rzeczy wypada blado i przeciętnie.

Wraz z odsłanianiem kolejnych epizodów z życia głównego bohatera okazuje się również, po co właściwie ten serial powstał. Przecież nie po to, aby pognębić i tak mającego zszarganą reputację martwego przeciwnika, ale aby za pośrednictwem opowieści o jego zepsutym życiu pokazać, że to on utorował drogę Donaldowi Trumpowi. W ten sposób liberalne media ukazują siebie samych jako grające honorowo, a w związku z tym pozbawione szansy w starciu z wyzbytymi skrupułów populistami. Nie bez powodu jedyne sceny odwołujące się do życia rodzinnego Ailesa to te, w których kupuje żonie lokalną gazetę, aby za jej pomocą prowadzić prywatne wojenki, oraz gdy wraca do Ohio. Właśnie tam widzi na własne oczy, jak biała klasa średnia wegetuje pod rządami Obamy, który „wyprowadza amerykański biznes za granicę" oraz wygłasza przemówienie brzmiące jak wyjęte z narracji obecnego prezydenta. „Uczyńmy Amerykę znowu wielką" – mówi Ailes, jeszcze zanim pomyśli o tym Donald Trump. On sam jest zresztą wymieniony w serialu jako ten, „którego należy częściej zapraszać", ponieważ przydaje się do walki z aktualną głową państwa.

PIĘKNI DEMOKRACI

Szkoda, że tak ciekawą historię w tak prosty sposób spisano na straty poprzez nieumiejętność wyjścia poza własne uprzedzenia. Mam wrażenie, że „Na cały głos" pokazuje jednak coś więcej niż tylko portret Rogera Ailesa, który chcieliby widzieć jego wrogowie. On również pokazuje ich samych w krzywym zwierciadle stereotypów politycznych zakorzenionych w Hollywood. Nie bez powodu produkcja serialu zbiegła się w czasie z sukcesem filmu „Vice", w którym odpowiednio ucharakteryzowany Christian Bale odgrywa rolę wiceprezydenta Dicka Cheneya. W serialu obaj panowie nawet ze sobą rozmawiają, wymieniając się uwagami na temat dostosowania narracji Foxa do idei wojny z Irakiem, która ma na celu przejęcie pól ropy naftowej będących w rękach Saddama Husajna. Obaj są biali, grubi, obleśni, aspołeczni i żądni władzy. Wystarczy jednak odwrócić perspektywę, aby się okazało, że te same wady u polityków demokratycznych mogą uchodzić za zalety. Romans?

W „The Front Runner" z 2018 r. ukazana jest taka historia. Oto liberalny i postępowy senator Gary Hart bierze udział w demokratycznych prawyborach w 1988 r. Chociaż ma największą szansę na desygnowanie go na kandydata swojej partii, to ostatecznie „pada ofiarą plotek" jednej z lokalnych gazet, która „pomawia go" o zdradzanie żony z kampanijną asystentką. Przystojny polityk grany przez szczupłego i szarmanckiego Hugh Jackmana honorowo rezygnuje ze startu tylko po to, aby film zakończył się następującym morałem: gdyby nie tabloidy, które zaszczuły człowieka, mielibyśmy fajnego prezydenta, a tak wygrał ten zły Bush senior. Ba, nawet nowe seriale sensacyjne „Designated Survivor" czy komedie romantyczne „The Long Shot", gdy traktują o amerykańskiej polityce, powtarzają ten sam, obecny w „Na cały głos" schemat: dobrzy – atrakcyjni i młodzi demokraci, źli – szpetni i starzy republikanie. Nie bez powodu w tym drugim filmie prawicowego magnata medialnego, dławiącego niezależność dziennikarską, gra aktor, który we „Władcy Pierścieni" udawał Golluma. Mimo wszystko polecam obejrzeć „Na cały głos". Paradoksalnie nie przez Ailesa, ale bijący z tego serialu protekcjonalizm establishmentu, Donald Trump wygrał wybory.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REŻ. KARI SKOGLAND, STEPHEN FREARS
„NA CAŁY GŁOS" („THE LOUDEST VOICE")
USA 2019, DYSTR. HBO

wyst. Russell Crowe, Naomi Watts, Sienna Miller, Josh Charles, Seth MacFarlane, Annabelle Wallis

eprasa.pl ae45b5c7b4

Monika Małkowska

Uszyty przekaz

Dwie londyńskie wystawy są dowodem na to, że w wielu aspektach bytu wróciliśmy do XIX stulecia

Nigdy nie spotkali się w rzeczywistości: Dior, geniusz haute couture, i Quant, czołowa przedstawicielka mody popularnej. Jednak gdyby nawet do tego doszło, raczej nie znaleźliby wspólnego języka. Trudno bowiem o bardziej kontrastowe poglądy dotyczące wyglądu, ze szczególnym uwzględnieniem aparycji pań.

Rzadko kiedy zdarza się taka sytuacja – w jednej instytucji spotykają się dwa światy na równych prawach… eksponatów. Tak właśnie zdarzyło się w londyńskim Victoria & Albert Museum, gdzie spotykają się ubraniowa arystokracja i ciuchowa klasa średnia. Dla brytyjskiego kastowego społeczeństwa powinien być to wstrząs porównywalny z tym, który przeżyła Francja w 1789 r. Powie ktoś – to chyba normalne po upływie 230 lat i serii przewrotów, których doświadczyła Europa przez ten miniony czas. Przeciwnie.

Dwie wystawy, o których będzie poniżej, są dowodem na to, że w wielu aspektach bytu wróciliśmy do XIX stulecia. Tak twierdzi wielu ekonomistów i analityków społecznych. Skończył się czas „kapitalizmu z ludzką twarzą", powróciła ostro zarysowana klasowość, w mniejszym stopniu będąca wynikiem urodzenia, za to uzależniona od stanu konta.

A w świetle obecnych podziałów obydwie prezentacje należą do jednej sfery – marzeń.

Z jednej strony mamy sny o pięknie idealnym; z drugiej – mrzonki o wizualnej demokracji. Utopie, które odzwierciedlają się w ubraniu.

IMPERIALNY ROZMACH

Próba bodaj pobieżnego obejrzenia zbiorów londyńskiego Victoria & Albert Museum za jednym podejściem może zakończyć się szokiem poznawczym oraz załamaniem fizycznym: stała kolekcja – wedle jednych źródeł – liczy ponad 4,5 mln eksponatów. Inne podają milion mniej, co i tak wywołuje zawrót głowy choćby w porównaniu z paryskim MAD (zalednie 150 tys.). Cóż, imperium brytyjskie miało możliwości poszerzania zasobów…

Oprócz stałych działów, wciąż reorganizowanych i modernizowanych, dzięki czemu w V&A nie oddycha się kurzem przeszłości, muzeum przygotowuje znakomite wystawy czasowe, po trzy–cztery jednocześnie. W nich też można wybierać, przebierać.

À propos przebierania – w ofercie V&A zawsze znajdują się pokazy związane z historią mody. Tym razem sąsiadują ze sobą dwie ekspozycje, które, choć dotyczą oblekania tkaninami damskiej

Mary Quant wprowadziła do mody długość mini

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

epresa.pl ae45b5c7b4

(głównie) sylwetki, mają się do siebie jak rewers i awers. Nie chodzi tylko o różnice w formie i materii, przede wszystkim chodzi o podejście do sensu, znaczenia i przeznaczenia mody. Czy projektowanie ubrań to sztuka przez duże „S", czy działalność na swój sposób usługowa?

Czy nadrzędnym celem jest olśniewanie (niedostępnym pięknem) czy udostępnianie (dostępnej powszechnie estetyki)?

I tak oto w ogromnej przestrzeni V&A widownia – a często są to ci sami ludzie – przeżywa skrajne emocje. Na szczyty ubraniowego luksusu prowadzi ją fantazmat „Christian Dior: Designer of Dreams"; w rejony ciuchowego utylitaryzmu wiedzie rzeczowo-informacyjny pokaz poświęcony Mary Quant.

MARZENIA JAK SUKIENKI

Christian Dior dokonał przewrotu w modzie dzięki temu, że pozwolił kobietom zapomnieć o wojnie i latach przymusowej oszczędności. Nie działał długo, tylko dekadę (1947–1957), jednak jego dom mody, finansowany przez potentata przemysłowego Marcela Boussaca, błyskawicznie zyskał światową renomę. Rozgłos Diorowi przyniosła słynna kolekcja Corolle, która do historii przeszła jako New Look. Rozrzutność, z którą król haute couture projektował kreacje, stała się znakiem rozpoznawczym także jego siedmiu następców. Listę modowych geniuszy zatrudnionych u Diora (po jego śmierci) otwiera Yves Saint Laurent, a zamyka pierwsza kobieta – szefowa kreatywna, Włoszka Maria Grazia Chiuri (od 2016 r.).

Do prezentacji wybrano ponad 200 arcydzieł krawieckich pogrupowanych tematycznie, z fantazją i wykwintem godnym tytułowego bohatera. Nie wydzielono prac Diora, lecz wymieszano je ze strojami innych projektantów, jednak w taki sposób, by zauważyć inspirującą rolę mistrza. On też miał swoje fascynacje, jak choćby egzotyka i przeszłość, od Egiptu do Chin.

Sponsorowany przez krezusów – jubilerską markę Swarovski i przedsiębiorstwo finansowe American Express – dostarcza bajkowych wrażeń. Trochę jak pokaz noworocznych fajerwerków. Od razu wiadomo – to nie są rejony dostępne zwykłemu śmiertelnikowi. Poprzeczka została ustawiona wysoko na modowym nieboskłonie.

Zmienne oświetlenie, ruchome podia, komputerowo generowane iluzyjne obrazy, dekoracje z piór i kryształów; balkony, okna, gigantyczne witryny, lustra na całe ściany, kolumnady, kandelabry… Na szczęście to wizualne bogactwo jest zarazem eleganckie, w żadnym momencie nie odnosi się wrażenia zbędnego skumulowania efektów.

Christian Dior z modelką

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Apogeum wystawności stanowi przestrzeń imitująca salę balową, gdzie zaprezentowano najpiękniejsze suknie, szyte na specjalne okazje. W jednym miejscu pokazano na zdjęciach szczęściary, którym dane było zabłysnąć sukniami od Diora, oczywiście w sytuacjach, gdy spoczywały na nich miliony oczu, podczas otwarcia festiwalu w Cannes lub na reklamach perfum.

Oprócz gotowych ubiorów w jednej z sal pokazano ich wstępne, całkowicie białe wersje – żeby docenić rzeźbiarskość form. Rzeźbami są również manekiny, na których wyeksponowano kreacje. Nie udają realistycznych figur. Są czarne, bezwłose, z twarzami o ledwo zaznaczonych rysach, ustawione w niemal identycznych, pełnych wdzięku pozach. Jak afrykańskie księżniczki. Nie odwracają uwagi od strojów, biżuterii i butów. Idealnie kontrastują z bogactwem faktur i kolorów.

Co do tego, co na nich: to w całości ręczna robota (takie są wymagania haute couture). Czasem jeden haft pochłania miesiące pracy, co przekłada się na koszty obiektu.

Na tym spektaklu odbiorcy przesuwają się powoli, w nabożnym skupieniu, ale… jakby trochę upokorzeni? Zdumieni? Własnym banalnym wyglądem odbijającym się w lustrach. A może w ogóle nie zauważają tego kontrastu?

eprasa.pl ae45b5c7b4

Mary Quant z modelkami podczas pokazu nowej kolekcji butów w 1967 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Bo czy naprawdę te olśniewające krawieckie twory były bądź są marzeniem większości kobiet? Pomijając cenę, ich noszenie wymaga poświęceń. Jak mawiał Dior, „nie ma mody bez gorsetu". I wcale nie była to przenośnia, francuski dyktator zakuł płeć piękną w utrudniającą oddychanie bieliznę, z której Chanel i sufrażystki je wyzwoliły.

To nie mogło się upowszechnić. Musiał przyjść ktoś, kto wywoła kolejną modową rewolucję.

DEMOKRATYCZNE CIĘCIA

Pół wieku temu wysokie krawiectwo dotknął kryzys, rzec można, dubeltowy: mentalny i estetyczny. Modni młodzi ludzie postawili na luz, taniość, wygodę. Szło to w parze z przeobrażeniami obyczajowymi, a także – w mniej lub bardziej uświadomionym stopniu – było reakcją na ówczesną politykę.

Na scenie brytyjskiej mody końca lat 50. i początku 60., niezbyt liczącej się w świecie w porównaniu z francuską, pojawiła się dziewczyna, która odcięła się od wystawności i zwróciła ku swym rówieśnikom z klasy średniej. Miała porządne projektanckie wykształcenie, temperament i dobrze ustawionego męża. Co najważniejsze, była kreatywna i nie bała się ryzyka: Mary Quant.

Victoria & Albert Museum oddaje hołd 85-letniej dziś projektantce, w pewien sposób stawiając znak równości między nią i Diorem.

Można rzec – zabieg uprawomocniony: książę mody spotyka się z damą (tytuł „dame" to żeński ekwiwalent męskiego „sir"), który to honor Mary Quant otrzymała z rąk królowej w 2015 r. Po raz pierwszy w pałacu Buckingham pojawiła się w 1966 r., by odebrać Order Imperium Brytyjskiego. Godność przyjęła ubrana „niegodnie", bo w minispódniczkę. Jednak królowa wybaczyła, bo to nie była obraza majestatu, lecz prezentacja największego osiągnięcia nobilitowanej osoby.

Quant uchodzi za wynalazczynię minispódniczki, równolegle do Francuzów André Courrèges'a i Pierre'a Cardina. Trzeba jej przyznać – to ona ochrzciła krótkie łaszki mianem mini, idąc tropem jej ulubionego samochodu – mini morrisa. Brytyjska designerka była też jedną z pierwszych propagatorek jaskrawych rajstop, plastikowych botinek w szokująco ostrych kolorach, peleryn i torebek z PCV, biżuterii z tworzyw sztucznych, „niewidocznej", nieingerującej w kształt ciała bielizny, wodoodpornego tuszu do rzęs i wielu innych wynalazków, które współtworzyły wizerunek nowoczesnej, wyzwolonej kobiety.

Torebki zaprojektowane przez Quant
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W dużej mierze jej zasługą było odebranie Paryżowi prymatu w modzie – na korzyść Londynu.

Działo się to ze wsparciem muzyki, filmu i sztuki. Jednak bodaj najważniejszy stał się styl życia – swobodny, trochę wyzywający, odrzucający snobizmy oraz klasowe podziały. I właśnie ten swingujący, demokratyczny Londyn przywołuje wystawa dedykowana Mary Quant, królowej mody lat 60. ubiegłego stulecia.

Proponowała stroje dostępne cenowo klasie średniej, produkowane masowo, ale na swój sposób ekskluzywne, sprzedawane w jej butiku Bazaar.

Ich krój był prosty, konstrukcja geometryczna, a cały strój i ozdoby skomponowane na podobieństwo opartowskich obrazów, z gładkich, kontrastowych barw (Quant zamawiała tkaniny u lokalnych producentów, ostro targując ceny).

Nowoczesny image dopełniała fryzura, którą Mary nosiła – włosy przystrzyżone z tyłu bardzo krótko, z przodu za to długa grzywka – wykonana przez głośnego w tamtej epoce fryzjera innowatora, Vidala Sassoona. Takie samo uczesanie lansowali trendy chłopcy, z Beatlesami na czele. Zaczynał się czas wizualnego biseksualizmu, czego Mary Quant także okazała się pionierką, tytułując jedną z kolekcji „Dziewczyna jak chłopak".

Zabawnie było zwiedzać ten pokaz wśród tłumu pań, które spontanicznie reagowały na eksponaty. „O, to miałam, to nosiłam, to pamiętam!" – padały dookoła wykrzykniki.

To właśnie były przedstawicielki klasy średniej, których poglądy ukształtowała rewolucja obyczajowa lat 60., na ich zaś wybory w kwestii ubioru miała zasadniczy wpływ Mary Quant. Dzisiaj to już historia. Może trochę szkoda…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Victoria & Albert Museum, Londyn
„Christian Dior: Designer of Dreams" (do 1 września 2019 r.);
„Mary Quant – retrospektywa" (do 16 lutego 2020 r.).

eprasa.pl ae45b5c7b4

FOT. ADOBESTOCK

Pierwsi w boju

Piotr Gociek

„Invictus" to najlepsza dotychczas książka Marcina Ciszewskiego. Brawurowe skrzyżowanie powieści historycznej i wojennej, z niewielką domieszką fantastyki

Lipiec roku 1941, ku wybrzeżom Stanów Zjednoczonych płynie z Europy olbrzymia flota inwazyjna. Nie niemiecka jednak, lecz sowiecka, bo znajdujemy się w alternatywnym nurcie historii. Punktem zwrotnym była przegrana przez Polaków Bitwa Warszawska w 1920 r. „Nic nie było w stanie powstrzymać zwycięskiej Armii Czerwonej. Stolica broniła się jeszcze przez tydzień, po czym skapitulowała, z symbolu niezłomności stając się ofiarą orgii zniszczenia, gwałtów i rabunku. Tuchaczewski atakował dalej. Padła Łódź, Poznań, Kraków. W końcu upadła Polska" – pisze Ciszewski.

Potem było jeszcze gorzej: wojny domowe w kolejnych krajach Europy Zachodniej, rewolty, bunty i nieustanny marsz Sowietów dalej, na zachód, aż do chwili, kiedy proklamowano powstanie Portugalskiej Republiki Socjalistycznej. Powiedzmy wprost, to nie tylko fantazje polskiego pisarza. Z książek historycznych o Związku Sowieckim lat 30. XX w. wiemy, że Stalin zamierzał rozniecić ogień rewolucji proletariackiej na całym świecie. A dowództwo Armii Czerwonej całkiem serio zastanawiało się, jaki kraj zostanie przyłączony na końcu do Światowej Republiki Rad. Jedni uważali, że Chile, inni stawiali na Nową Zelandię.

SZPIEG I DYPLOMATA

W świecie wymyślonym przez Marcina Ciszewskiego Sowietom dwie kolejne dekady zajęło skonsolidowanie swej władzy na całym kontynencie, a potem zbudowanie potężnej machiny wojennej. Potężniejszej niż ta, którą w naszym świecie stworzył Stalin, bo w alternatywnym nurcie historii na potrzeby Armii Czerwonej pracują „przymusowi sojusznicy" – Niemcy, Skandynawowie, Francuzi, Grecy. Zapewniają nie tylko mięso armatnie, lecz także nowoczesną myśl techniczną (szczególnie Niemcy, których laboratoria wypluwają kolejne modele samolotów, czołgów i bomb). W tym czasie Anglosasi tracą czas. Wielka Brytania wegetuje przygnieciona uchodźcami z kontynentu. Stany Zjednoczone pogrążają się w kryzysie, a elity nie mogą dojść do zgody, w jaki sposób zareagować na wzrost nowej światowej potęgi.

W powieści „Invictus" poznajemy wszystkie te szczegóły w licznych retrospekcjach. Głównie dzięki wspomnieniom głównego bohatera – wiceadmirała Franka Brattena, który zdążył w ciągu tych dwóch dekad być zarówno szpiegiem, jak i dyplomatą, a także walczyć z Sowietami na lądzie i na morzu. O tym, czego sam nie był świadkiem, opowiada, streszczając relacje innych. Składają się na smutny i tragiczny obraz świata, który rozsypuje się pod ciosami czerwonych barbarzyńców.

Na tym nie koniec, już z pierwszych rozdziałów „Invictusa" dowiadujemy się, że będzie gorzej. Sowiecka flota inwazyjna (4 tys. transportowców i potężne wsparcie okrętów wojennych) została wzmocniona przez japońskie pancerniki. Japonia tymczasem zaatakowała wyspy na Pacyfiku, zajmując m.in. Hawaje. Siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej wylądowało na Alasce i maszeruje ku Kanadzie. W dodatku na wieść o rychłym „wyzwoleniu" uaktywniają się w Ameryce sowiecka agentura oraz pożyteczni idioci. Ci pierwsi to sabotażyści, snajperzy i podżegacze, ci drudzy nie rozumieją, że walka o prawa związkowe albo emancypację kobiet raczej nie powinna się odbywać w chwili, kiedy

eprasa.pl ae45b5c7b4

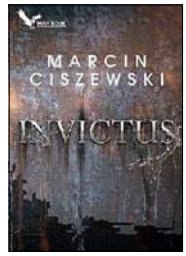

★★★★★★
MARCIN CISZEWSKI „INVICTUS" WARBOOK 2019

kolejnemu kontynentowi grozi katastrofa.

Dochodzimy wreszcie do tytułu tej historii: „Invictus" to termin, którym określany jest przez niektórych najnowszy amerykański okręt wojenny, największy pancernik w dziejach: USS „George Washington". „Tak wielki, że zdaje się należeć do świata baśni, bo na zdrowy rozum żadna ludzka moc nie jest władna stworzyć niczego podobnego. Myśl, że już niebawem ten kolos ożyje, w jego trzewiach popłynie prąd elektryczny, maszyny dadzą moc śrubom, dziób rozetnie fale, siłowniki uruchomią tysiąctonowe wieże i podniosą armatnie lufy, wydaje mi się nierealna" – opisuje swe wrażenia powieściowy adm. Bratton, który ulega urokowi stalowej bestii, choć sam był przeciwny jej budowie. Argumentował swego czasu, że rozsądniej byłoby wydać pół miliarda dolarów na flotę 50 okrętów podwodnych.

Godzina próby nadeszła i teraz superpancernik wyrusza w swój pierwszy bój, wspomagany przez niedobitki amerykańskich sił. Zostało tylko „na dnie z honorem lec" albo… zrobić wszystko, by to nie Churchill, lecz amerykański prezydent mógł powiedzieć: „Jeszcze nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym".

ŚWIATOWY POZIOM

Śledzę od dekady pisarskie dokonania Marcina Ciszewskiego i nie mam wątpliwości, że to jeden z najlepszych polskich twórców literatury popularnej. Ma w dorobku powieści historyczne z elementami fantastyki, fantastyczne z elementami thrillera, sprawną sensację, kryminały retro skrzyżowane z powieścią szpiegowsko-historyczną (cykl „Kruger"). Jest utalentowany, pracowity i z książki na książkę coraz lepszy. „Invictusa" mam za jego najlepsze dotąd dokonanie. Jest to wzorowy przykład opowieści historyczno-militarnej z dodatkiem fantastyki, książka wymyślona i napisana na światowym poziomie. Gdyby ukazała się po angielsku, w kolejce po prawa do tłumaczeń staliby wydawcy z całego świata.

Niemal wszystko mi się w niej podobało: znawstwo, z którym autor stworzył swego stalowego potwora, i pasja, z jaką zbudował alternatywny świat. Sugestywny klimat morskich pojedynków, inwencja w obmyślaniu intryg militarnych, szpiegowskich i wojskowych, wreszcie wstawki na tematy polityczne. Ciszewski nie ma złudzeń, jego książka jest zaciekle antykomunistyczna, ale gorzkie słowa padają także pod adresem liberalnej demokracji, którą gubi niemożność dojścia do kompromisu w najważniejszych dla jej istnienia sprawach. W której granice wolności naciągają albo ci, którzy chcą jej zaszkodzić, albo ci, którzy interesują się jedynie wypełnieniem własnych kieszeni.

Mimo że kostium fikcji jest podwójny (nie dość, że to rzecz o świecie sprzed ośmiu dekad, to jeszcze o świecie alternatywnym), słyszymy więc w „Invictusie" przestrogi jak najbardziej współczesne. Gdy czyta się fragmenty o tym, jak Sowietom łatwo udaje się uśpić czujność Zachodu, proponując wspólne robienie interesów: dostarczanie surowców czy zboża, trudno nie przypomnieć sobie cierpkich słów Trumpa pod adresem Niemiec (choćby o finansowaniu wroga za pomocą inwestycji w rosyjskie gazociągi, które posłużą do ekonomicznego zaduszenia Europy). Irytując się politycznym tchórzostwem i błędnymi kalkulacjami waszyngtońskich polityków z innego strumienia czasu, trudno nie wspominać, ile razy już współcześnie amerykańskie imperium pakowało się z powyższych powodów w kłopoty.

FOT. ADOBE STOCK

Główny bohater „Invictusa", adm. Frank Bratten, człowiek trzeźwych ocen i dobrej roboty, stanowi więc kolejną postać w długiej galerii świetnych wojskowych, których talenty nie są odpowiednio wykorzystywane przez tępych lub skorumpowanych przełożonych. Znamy ten motyw z książek Toma Clancy'ego czy Nelsona DeMille'a, znamy z literatury wojennej. Ciszewski ma dobrych mistrzów i podpatruje ich należycie: wyciąga to, co dobre, i przetwarza po swojemu. Świetne sceny bitew na Atlantyku wskrzesiły w mej pamięci czasy, gdy z wypiekami na twarzy czytałem powieść „HMS Ulysses" Alistaira MacLeana albo wojenne opowiastki Zbigniewa Flisowskiego czy „Dziękuję ci, kapitanie" Arkadego Fiedlera. A dwie sceny, w których z losem adm. Brattona spleciono znane z prawdziwej historii nazwiska Polaków (nie zdradzę czyje, czytajcie i wzruszajcie się sami!), sprawiły, że oczy mi się nieco zaszkliły. Wszystko to Ciszewski zmiksował tak, że uzyskał pełną wiarygodność świata przedstawionego.

POLAK TŁUCZE WROGA

Polaków bowiem na pokładzie amerykańskiego giganta nie brakuje. Podobnie jak za sterami samolotów sprawiających krwawą łaźnię sowieckiemu lotnictwu. Gdzież indziej mieliby bowiem być? Czy w tym, czy w alternatywnym świecie jedno się nie zmienia: przedstawiciele niezbyt liczebnego, ale zadziornego i bitnego narodu byli i są „first to fight". U Ciszewskiego uniknęli klęski września 1939 r. i horroru hitlerowskiej okupacji, ale byli pierwszą ofiarą sowieckiej agresji, a potem gdzie mogli, stawiali zacięty opór, od Francji do Anglii, tłukąc wroga ile wlezie – tak jak w prawdziwym świecie tłukli Niemców.

Dużo dyskutowało się w ostatnich latach na temat tego, jak ważna jest popkultura w polityce historycznej, w odbudowie narodowej dumy, odkłamywaniu historii. W przypominaniu, że Polacy to nie „naród sprawców", tylko tych, którzy nie poddali się dwóm totalitaryzmom, a wcześniej przetrwali grubo ponad wiek zaborów, i których nigdy nie brakowało tam, gdzie trzeba było bić tyranów wszelkiej maści. Chociaż większość powieści Marcina Ciszewskiego kwalifikuje się do historycznej fantastyki, to nie kostium jest tu ważny, lecz duch. I tego polskiego ducha jego bohaterowie uosabiają. Dla mnie to ważniejsze osiągnięcie od niejednej kinowej historycznej superprodukcji za grube miliony. A swoją drogą, superprodukcji na podstawie jego książek życzę Marcinowi Ciszewskiemu z całego serca. Mili państwo, jakiż z „Invictusa" byłby pyszny film!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Czy bóg jest w domu?

Kiedyś w sezonie ogórkowym kina wyświetlały głównie horrory, tego lata rozhulali się też dokumentaliści. Widzowie znudzeni amerykańskimi superprodukcjami o wydumanych superbohaterach mogą posmakować dramatów non-fiction. W menu: historia wzlotu i upadku Diego Maradony, dziewoi żeglujących przez ocean, który „stale próbuje je zabić", kulisy intronizacji Putina oraz postsowiecka trauma Ormian, Ukraińców, Gruzinów i Abchazów (patrz: s. 53).

Na deser dostajemy biografię najsłynniejszego tenora XX w., wyreżyserowaną przez trochę mniej znanego, lecz solidnego Rona Howarda. Nie da się ukryć, że jest to klasyczna success story. Pavarotti, syn piekarza i początkujący nauczyciel, w 1961 r. ośmielił się wystartować w lokalnym konkursie. Dwa lata później śpiewał już na scenie Covent Garden. Objechał cały glob, podbił trudny rynek chiński, 200 tys. ludzi oklaskiwało go na stadionie w Buenos Aires. Popularnością przebił Carusa, który nie posiadał takiej tuby jak telewizja.

Hiperaktywność „boskiego Luciana" miała wyrwać operę z zaklętego kręgu snobów i uczynić ją na powrót rozrywką plebsu. Cel ten udało mu się po części osiągnąć. Sprzedano ponad 100 mln płyt z ariami Pavarottiego. Puryści sarkali, że zachowuje się niczym gwiazda rocka, z wieloma szarpidrutami zdołał się zresztą zaprzyjaźnić. W perfidny sposób skłonił do współpracy Irlandczyków z U2. Wydzwaniał do gosposi Bono, Włoszki, pytając: „Czy bóg jest w domu?". Po uzyskaniu odpowiedzi twierdzącej zapukał do drzwi wokalisty w asyście kamerzystów.

Takich anegdot jest w filmie sporo i trudno mieć o to do Howarda pretensje. Gorzej, że poszedł na łatwiznę, przyjmując punkt widzenia bohatera i jego klakierów. „Opera to oszustwo, które na scenie staje się prawdą" – mawiał Luciano. Podobnie wyglądało jego życie – odgrywał prostaczka, nawet gdy był już zmanierowanym celebrytą. Wizerunek perfekcjonisty, wiecznie walczącego z tremą, lecz zawsze z sercem na dłoni, życzliwego ludziom łakomczucha, dowcipnisia, wzorowego męża i ojca pomógł Pavarottiemu w karierze.

Zaczął szkodzić, gdy wyszło na jaw, że jest – tak jak każdy Włoch – kobieciarzem. Będąc w wieku emerytalnym, stracił głowę dla młodszej o 34 lata Nicoletty. Porzucił dla niej żonę i trzy córki. Przez Italię przetoczyła się wtedy fala oburzenia, nawet w rodzinnej Modenie stał się persona non grata. Kilka lat później „najwspanialszy głos na planecie" zamilkł na zawsze. Jeśli Bóg lubi operę, na Sądzie Ostatecznym potraktuje grzesznego Luciana równie łagodnie jak twórcy jego filmowej biografii. ©℗

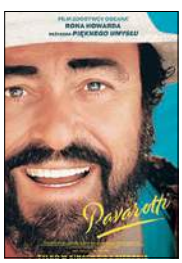

★★★★☆☆
REŻ. RON HOWARD
„PAVAROTTI"
USA/WIELKA BRYTANIA 2019

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „TOY STORY 4"

Pierwsze trzy filmy z cyklu „Toy Story" zarobiły łącznie niemal 2 mld dol., najnowszy – czwarty – w miesiąc dorzucił do tego niespełna miliard. Historia zaczyna się tam, gdzie skończyła się część trzecia: zabawki są u nowej właścicielki, małej Bonnie, i wszystko wygląda cudownie dopóty, dopóki nasz ulubieniec, kowboj Chudy, nie będzie musiał się zaangażować w podwójną misję ratunkową. Po pierwsze – pomóc Bonnie, po drugie – oswoić nową zabawkę, dziwacznego Forky'ego. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Toy Story 4", reż. Josh Cooley, wyst. Tom Hanks, Tim Allen, Annie Potts, USA 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Upiorne opowieści po zmroku" („Scary Stories to Tell in the Dark"), reż. André Øvredal, USA 2019***
- ***„Głos Pana" („His Master's Voice"), reż. György Pálfi, Węgry/Francja/Kanada 2018***
- ***„Maiden", reż. Alex Holmes, dokumentalny, Wielka Brytania 2018***

eprasa.pl ae45b5c7b4

Wrócić do domu

Trzy historie, dwóch scenarzystów, jeden czarny charakter. Co prawda nie żyje już od 66 lat, lecz jego widmo wciąż krąży nad postsowiecką częścią świata. Stalin, bo o nim mowa, narodowościowe problemy Kraju Rad rozwiązywał od ręki. Podejrzanym o nielojalność aplikował masowe deportacje, rusyfikację i wymianę elit. W spokojniejszych czasach wystarczała polityka „dziel i rządź", polegająca na szczuciu jednych nacji przeciw drugim. Z Moskwą jako jedynym arbitrem.

Współcześni naśladowcy czerwonego cara są za słabi, by siłą odzyskać wszystko, co zostało utracone w wyniku rozpadu ZSRS. Mogą jednak uczynić życie zbuntowanych sąsiadów nieznośnym. Kamera towarzyszy 26-letniemu raperowi rodem z Górskiego Karabachu. Aleksiej uciekł przed wojną do Donbasu, czyli wpadł z deszczu pod rynnę. Raz na rok odwiedza rodziców i zastanawia się nad powrotem w ojczyste strony, choć nie ma tu pracy, odbudowa postępuje w żółwim tempie, zaś młodym ludziom grozi wcielenie do armii.

Timur z Krymu i Aleksander, weteran wojny afgańskiej, który znalazł w Gruzji drugą ojczyznę, też marzą o trwałym pokoju i zniknięciu granic, odcinających ich od ukochanych miejsc i ludzi. Miliony zakładników geopolitycznej rozgrywki liczą, że dożyją kolejnej zmiany. Nadzieja, jak wiadomo, umiera ostatnia. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆
REŻ. KAROL STARNAWSKI
„CIENIE IMPERIUM"
POLSKA 2019

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W IMIĘ BRATA

★★★★★☆
REŻ. JACQUES AUDIARD
„BRACIA SISTERS"
FRANCJA/ HISZPANIA 2018, FILMOSTRADA

wyst. John C. Reilly, Joaquin Phoenix, Jake Gyllenhaal

„Bracia Sisters" to western nietypowy, przypominający o nietypowych dla westernu sprawach. Na przykład o tym, że uciekając od toksycznej rodziny, zwykle wpada się w objęcia podobnej. Albo że jedynym wyjściem z zamkniętego kręgu czynienia zła może się okazać przelew krwi na jeszcze większą skalę. Opowieść o osobliwej parze zabójców do wynajęcia powstała na podstawie powieści Kanadyjczyka Patricka deWitta i trochę przypomina dokonania braci Coen czy Quentina Tarantino. Ci pierwsi byliby zapewne dla swych bohaterów surowsi, z tym drugim opowieść łączy fakt, że obracając po swojemu typowe motywy opowieści o Dzikim Zachodzie, twórcy filmu jednak składają westernowi hołd. W rolach głównych znakomicie wypadają John C. Reilly i Joaquin Phoenix, równie dobrze sekundują im Jake Gyllenhaal i Riz Ahmed. To jeden z najlepszych filmów ubiegłego roku, nagrodzony czterema Cezarami, wyróżniony na festiwalu w Wenecji. Plus ostatni epizod zmarłego niedawno Rutgera Hauera.

POD OBCYM BUTEM

★★★☆☆☆
REŻ. RUPERT WYATT
„REBELIA"
USA 2019, MONOLITH

wyst. John Goodman, Ashton Sanders, Jonathan Majors

Niejeden obraz okupowanej przez obcych Ziemi pozostanie w pamięci widza na długo. Szkoda, że niewiele więcej – może jeszcze imponujące minuty wprowadzenia w akcję. I zbolała twarz Johna Goodmana. Potem zaczynają się kłopoty. Thriller SF o ludzkim oporze wobec wyzyskujących nas bezlitośnie okupantów (zwanych Legislatorami) okazuje się mało emocjonujący. Zanim dotrzemy do finału, czeka nas godzina opowieści o nieszczególnie interesujących postaciach przeżywających nieszczególnie interesujące perypetie. Reżyser Rupert Wyatt mierzył wysoko, ale poniósł porażkę. Szkoda, bo mogła to być fascynująca rzecz o moralnych rozterkach kolaborantów i buntowników w obliczu kosmicznego zagrożenia. Nasz autor fantastyki, Janusz Zajdel, robił to o niebo lepiej. Może w USA trudniej wymyślić pewne rzeczy, bo nikt i nigdy tego kraju nie okupował naprawdę? ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „BEYOND: DWIE DUSZE"

★★★☆☆☆

Cztery lata po premierze na PlayStation wreszcie i gracze pecetowi dostali możliwość wcielenia się w losy 15-letniej Jodie Holmes (w tej roli Ellen Page), od dzieciństwa związanej z towarzyszącą jej tajemniczą istotą – Aidenem. Produkcja, prowadzona w charakterystycznym dla studia Quantic Dream stylu, pozwala przeżyć przygodę na pograniczu gry i filmu. W podróży pomiędzy światami bohaterce pomaga ekspert od zjawisk paranormalnych Hathan Dawking (odtwarzany przez Willema Dafoe). Czy „Beyond" broni się przed upływem czasu? Jeśli chodzi o fabułę: tak. Niestety, za mało w tej grze elementów... grywalnych. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Przygodowa*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Quantic Dream*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl ae45b5c7b4

MOJA PÓŁKA

Proza Swena Czachorowskiego

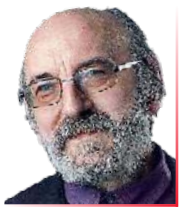

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Państwowy Instytut Wydawniczy przypomniał zmarłego w 1994 r. Stanisława Swena Czachorowskiego, poetę swego czasu wymienianego jednym tchem z Mironem Białoszewskim, z którym w młodości się przyjaźnili, w czasie okupacji tworząc wspólnie konspiracyjny Teatr Swena. Między poetami zaiskrzyło później, poetycką rywalizację wygrał Białoszewski, niemniej jednak pozostawał Swen twórcą cenionym, choć może nie w stopniu, na jaki zasługiwał.

Wydawca przypomina go jednak nie poezją, lecz prozą, wyjątkową i w dorobku autora, i w literaturze polskiej, w jej nurcie awangardowym, szczególnie lingwistycznym. „Pejzaż Gnojnej Góry", bo o nim mowa, nazwać można zbiorem trzech dłuższych opowiadań, kompozycją nieskończoną, odkurzającą świat sprzed wojny i Holokaustu. Wczytując się w te opowiadania, odnajdujemy w nich, przynajmniej w części, rzeczywistość dobrze nam znaną. Na przykład z takiego opisu Zaduszek na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie:

„Najpierw szło się koło fabrycznego komina, potem drogą wśród przybyszewskich ogródków, znów koło fabrycznego komina i ścieżką aż w sam środek ulicy Świętego Wincentego. Między tysiące straganów, w nieprzeliczony tłum, w miliardy gwizdów, skrzeków, skrzypów, ciastowych i glinianych bab, szklanych domków, krzyżyków, modlitewek, dwojaków, garnuszków, piłek, kółek, świec, lampek stearynowych, ceramiki, chorągiewek, kolorowego szkła, wianków dla świętej pamięci Wal, świętej pamięci Wieńczysławów, Staś et cetera, dla eś pe, dla i tak dalej, itede. Skroś domów, chałupek, pomników, do samego cmentarza, przez góry, przez ocean chryzantem, mrozów, dziadów, kalek, kramarzy… Tramwaje, jak skrzynki ze szprotami, przyjeżdżały, odjeżdżały jak ze szprotami…".

FOT. WIKIPEDIA

Inaczej dzieje się z ul. Dziką na Muranowie, przez Żydów Murdzielem zwaną: „…była szeroka, magistrala. I miała interes z interesem na wszystkie branże i zapotrzeby, co by istniała kwestia niechcenia stąd wychodzić. I za wystawą stały wszystkie kolory, co o sobie mówiły. Bo napisane w Talmudzie: »Milczenie przystoi mądremu, a jeszcze bardziej głupiemu« – to każdy interes mówił wszystko, bo po co on ma być głupi?".

Ta żydowska Warszawa jest w książce Swena bodaj najbardziej widoczna. Motto przed jednym z rozdziałów jej części trzeciej – „Świecznikiem Golemowym" – przynosi wyznanie: „Chodziłem Lesznem na Karmelicką. Jadałem bób na Granicznej. Przedłubywałem się przez mury. Widziałem śpiewające przejście martwych. Słyszałem ciężarne brzuchy matek trzaskające płodem do ognia".

Przebrnięcie przez język „Pejzażu Gnojnej Góry" nie jest zadaniem łatwym. Oczywiście można znaleźć liczne analogie, np. do prozy Leopolda Buczkowskiego, ale to jest jednak piętro wyżej. „Język ludowy – pisze w posłowiu Karol Samsel – wulgaryzmy, łacino-greka naraz, wskrzeszanie martwych języków, parodiowanie stylu romansów rycerskich typu chanson de geste przez Rabelais'go – wszystko to zostaje przez Czachorowskiego (w jego soczewce mazowieckiej wsi i warszawskich Woli, Targówka, Szmulowizny) świadomie lub mimowolnie odzwierciedlone".

Napisany w latach 1953–1954 „Pejzaż…" ukazał się drukiem dopiero po 15 latach. Ciekawe, że piszący o nim wtedy recenzenci, m.in. Władysław Terlecki i Zbigniew Irzyk, utyskiwali na niski nakład książki, który sprawił, że trafiła ona tylko do wybranych. Nakład był trzytysięczny; dziś uznalibyśmy go za godny, co świadczy z jednej strony o regresie czytelniczym, w którym się znaleźliśmy, z drugiej zaś dowodzi przeceniania przez krytykę możliwości intelektualnych tych, którzy po to eksperymentalne dzieło sięgali.

Jacek Łukasiewicz nazwał kiedyś celnie Swena „jarmarcznym królem życia". Taka właśnie, rodem z jarmarku, była też jego poezja. Jeśli zaś chodzi o jego życie, to na pewno warto przypomnieć odbywające się w jego domu w Kobyłce, w latach przed 1956 r., spotkania twórców odrzucających oficjalną linię kultury, takich jak: Jan Józef Lipski, Lech Emfazy Stefański, Jerzy Ficowski, oczywiście Miron Białoszewski. W 2004 r. ukazały się „Poetyckie światy Stanisława Swena Czachorowskiego" Michała Siewkowskiego. Z kolei w wydanych przed ośmiu laty „Katastrofach odmieńców" poświęcił mu rozdział Tomasz Kaliściak, eksponując jego homoseksualizm i podtrzymując tezę o białym małżeństwie autora „Pejzażu…". Głośne stało się jego okaleczenie przez innego poetę – Romana Śliwonika, który wybił Swenowi oko i zapłacił za to wyrokiem sądowym i więzieniem. Powoli, bo powoli twórczość Swena odkrywa przed nami swoje tajemnice. ©℗

★★★★☆

STANISŁAW SWEN CZACHOROWSKI „PEJZAŻ GNOJNEJ GÓRY"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY 2019

eprasa.pl ae45b5c7b4

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kurt is back

Gdy byłem nastolatkiem, czytałem książki Vonneguta, bo były ekscentryczne. Potem wracałem do nich, by odkryć, jak zręcznie są napisane. Czy dziś robię to tylko dlatego, że zakochałem się w nich za młodu? Dziś oceniam książki surowiej, ale najlepsze powieści amerykańskiego ironisty obroniły się w dobrym stylu. Właśnie wznawia je – w przepięknej szacie graficznej – wydawnictwo Zysk i S-ka.

Zacznijmy od najwcześniejszej: „Syren z Tytana". To rzecz w tym zestawieniu najbardziej nierówna. Partie fantastyczno-spiskowe są świetne, tyrady finansowo-społeczne – mniej. Jednak mamy już fundamentalne u Vonneguta pytania o wolną wolę człowieka i powracający motyw bohatera, który wypadł ze swego czasu, by bezsilnie obserwować tok wydarzeń.

Teraz najpóźniejsza z wielkich książek Vonneguta: „Śniadanie mistrzów". Samotność życia współczesnej Ameryki, niemal dickowskie paranoje i rozważania na temat, co czyni nas ludźmi i czy naprawdę nimi jesteśmy, skoro rzeczy na naszej planecie toczą się takim, a nie innym torem. Humor jest tu już bardziej zgryźliwy.

I wreszcie dwa z trzech arcydzieł Vonnegutowskich (trzecim jest „Matka noc"), czyli powieści „Rzeźnia numer 5" oraz „Kocia kołyska". „Rzeźnia" to jedna z wielkich książek XX w. Tragikomedia o wojnie, a właściwie ludzkiej bezsilności w obliczu wydarzeń, które paradoksalnie sami puściliśmy w ruch. „Kocia kołyska" zaś to najoptymistyczniejsza z powieści apokaliptycznych, jakie czytałem. Snując opowieść o końcu świata, Vonnegut przypomina bowiem o sile miłości, religii (nawet jeśli fałszywej) i o tym, że powinniśmy się wspierać nawzajem w obliczu tego, co nieuniknione.

Na koniec dwa słowa o książce, którą przegapiłem: rok temu ukazał się polski przekład jedynej bajki dla dzieci w dorobku Vonneguta. „Słońce Księżyc Gwiazda" to cudownie minimalistyczna i pięknie zilustrowana przypowieść ewangeliczna o Ziemi widzianej oczami dopiero co narodzonego Dzieciątka Jezus. Wzruszająca, przepełniona miłością. I jak tu wierzyć, że Vonnegut był zatwardziałym ateistą? ©℗

★★★★★☆
KURT VONNEGUT JR.
„RZEŹNIA NUMER PIĘĆ"
ZYSK I S-KA 2019

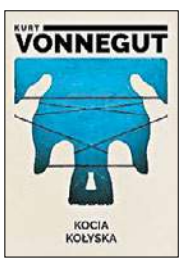

★★★★★☆
KURT VONNEGUT JR.
„KOCIA KOŁYSKA"
ZYSK I S-KA 2019

★★★★★☆
KURT VONNEGUT JR., IVAN CHERMAYEFF
„SŁOŃCE KSIĘŻYC GWIAZDA"
WYDAWNICTWO MAMANIA 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Były szef Polskiej Agencji Kosmicznej snuje wizje dalszego podboju przestrzeni, skupiając się na wyzwaniach nadchodzących dekad. Optymizmu nigdy za wiele. Wywiad rzekę przeprowadziła Ewelina Zambrzycka.

GRZEGORZ BRONA
„CZŁOWIEK, ISTOTA KOSMICZNA"
ZNAK

Więcej o cieniach niż o blaskach brazylijskiego futbolu. Nie bez powodu Brazylia ostatnio nie odnosi sukcesów. Przyczyn jest wiele, od polityki i gospodarki do świata przestępczego i zmieniającej się struktury biznesu.

BARTŁOMIEJ RABIJ
„PODCIĘTE SKRZYDŁA KANARKA"
SQN

Opowieść o znakomitym aktorze Bogumile Kobieli, której trzonem są jego listy, fragmenty dziennika prowadzonego na „Batorym" podczas rejsu do USA, wspomnienia bliskich. Kobiela zmarł pół wieku temu, w lipcu 1969 r.

MACIEJ M. SZCZAWIŃSKI
„ZEZOWATE SZCZĘŚCIE"
MANDO

Trzeci album w serii wskrzeszającej słynnych bohaterów Janusza Christy, ale już piórami i pędzelkami jego następców. Poprzednie były antologiami, „Królewska konna" to pełny album. W pełni udany, zabawny i niegłupi. ©℗

poleca Piotr Gociek

„KAJKO I KOKOSZ. KRÓLEWSKA KONNA"
EGMONT

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Blanka Lipińska „365 dni" (Edipresse) – sukces sequela*** *(patrz: miejsce drugie zestawienia)* ***przywrócił na listy bestsellerów powieść sprzed roku.***
2. ***Blanka Lipińska „Kolejne 365 dni" (Agora) – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego produkcji polskiej, wkrótce niestety także film.***
3. ***Rachael Lippincott „Trzy kroki od siebie" (Media Rodzina) – o dziewczynie bez układu odpornościowego – melodramatyczna love story. Film w kinach.***
4. ***Andrzej Pilipiuk „Karpie bijem" (Fabryka Słów) – nowy tom opowiadań mistrza krótkiej formy. Ekscytujący fanów, bo powraca Jakub Wędrowycz!***
5. ***Christel Petitcollin „Jak mniej myśleć" (Wydawnictwo Feeria) – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych" – głosi podtytuł poradnika.***

(Najchętniej kupowane tytuły w sieci salonów Empik od 8 do 21 lipca 2019 r.)

eprasa.pl ae45b5c7b4

Szeptuchy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Na wydanie debiutanckiej płyty duet Mehehe zbierał pieniądze na platformie crowdfundingowej. Mimo że do wyznaczonego celu trochę zabrakło – cel zbiórki określono na 15 tys. zł, internauci wpłacili łącznie blisko 10,5 tys. zł – to płyta „Ciemnienie" trafiła do słuchaczy. Projekt to przedziwny, wymyślony i stworzony przez dwie artystki – Basię Songin i Helenę Matuszewską związane wcześniej z kilkoma folkowymi, choć nie tylko, grupami (Sutari, Same Suki, InFidelis, Kuso). „Ciemnienie" inspirowane jest dawnymi wierzeniami i zabobonami. „Mehehe w niekonwencjonalny sposób nawiązuje do tradycji szeptuch i magii ludowej. […] Próbuje przywołać tę ulotną chwilę, kiedy nadchodząca burza budzi lęk i każe nam się skryć gdzieś bezpiecznie, kiedy mgła o poranku budzi zachwyt, którego nie da się opisać słowami, kiedy nasze brzydsze i ciemniejsze ja każe komuś złorzeczyć i wyklinać" – wprowadzają w klimat nagrań artystki. „Muzyka duetu opowiada historie, które zachowały się w wyliczankach, tekstach kupalnockowych, zdaniach magicznych" – dodają. Na równi z instrumentarium z różnych stron świata (m.in. złóbcoki, kaszgar, kankle, drumla, bęben) duet wykorzystuje szepty, szelesty, krzyki, wycie... Tytuły niektórych utworów („Woda", „Deszcz", „Wiatr") nie pozostawiają wątpliwości, że inspiracją do tworzenia dźwięków dla Basi Songin i Heleny Matuszewskiej – podobnie jak przed wiekami dla ludzi do tworzenia kultów i zaklęć – jest siła przyrody. Czy to możliwe, by można było opowiedzieć, „jak brzmi dojrzewająca wilcza jagoda, gasnący ogień, wąż zrzucający skórę, woda w gardle topielca, kołysany wodą śryż, szadź na gałęziach drzewa, mech porastający kamień?". Duet, który zadebiutował na Festiwalu Folkowym Polskiego Radia Nowa Tradycja 2018 (na którym otrzymał III nagrodę), podjął taką próbę i próba ta – choć nie trafia w szerokie gusta – ze względu na swoją oryginalność warta jest zauważenia. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Hospodi znaczy Bóg

Pierwszy album zreformowanego białostockiego zespołu (są dwie grupy o tej nazwie) jest obecnie najpopularniejszą płytą w kraju. Co więcej, sama Batushka jest fenomenem w skali światowej.

Tworząc w ramach gatunku black metal, grupa zamiast sławić Szatana, wielbi Boga. I to tego staro-cerkiewno-słowiańskiego, stąd utwory śpiewane są właśnie w tym języku. „Cały album to koncepcja oparta na Liturgii Śmierci, modlitwach za zmarłych, ortodoksyjnych obrzędach pogrzebowych i pieśniach żałobnych" – podkreśla Batushka.

Połączenie black metalu i tradycyjnych pieśni liturgicznych Kościoła prawosławnego rzeczywiście robi piorunujące wrażenie. Zgodnie z czarną konwencją utwory przypominają dźwiękowe tornado wzmocnione przez męskie chóry. Przerażający wokal przemieszany ze starymi, często zapomnianymi pieśniami i elegiami stanowi mieszankę iście wybuchową.

Największe wrażenie robi finałowa „Liturgiya". Zaczyna się fragmentem prawosławnej mszy, po czym wchodzi spowolniona, metalowa ściana dźwięku, którą wzbogaca potężny męski chór. W końcu wszystko wygasa, pozostaje jednostajny rytm wybijany na perkusji, a po jego zamilknięciu słyszymy odgłos ziemi spadającej na trumnę.

Na świecie płytę wydała renomowana wytwórnia Metal Blade. ©℗

★★★★★★

BATUSHKA
„HOSPODI"
MYSTIC

★★★★★★

BEYONCÉ
„THE LION KING: THE GIFT"
PARKWOOD

Soundtrack do czwartego „Króla Lwa" zawiera kros-atlantycki afro pop. Dialogi mieszają się z piosenkami i ze słownymi interludiami. Beyoncé śpiewa solo, w duetach, a nawet tercetach. Do tego usłyszymy wykonawców z Nigerii, Ghany, Gujany i RPA.

★★★★★★

ED SHEERAN
„NO.6 COLLABORATIONS PROJECT"
ATLANTIC

Czwarty album wielce popularnego Brytyjczyka przypomina serwis streamingowy. Utwory, tak jak „kolaborujący" goście, płynnie przechodzą z popu przez hip-hop i R&B do ballad dla dorosłych. Przyjemna muzyczka idealna do centrów handlowych. ©℗

eprasa.pl ae45b5c7b4

Spod Wiednia do Nieborowa

Na wystawie zobaczyć można m.in. obraz, który Jan III Sobieski przywiózł spod Wiednia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Joanna Bojańczyk

Warto zajrzeć do Nieborowa, by zobaczyć wystawę „Sobiescy i Radziwiłłowie. Strażnicy wizerunku maryjnego"

Po 1945 r. wymazano z historii Polski nie tylko arystokrację, lecz także pamięć o niej. Teraz, po dziesięcioleciach, w zmienionych okolicznościach i czasach historycy i sami arystokraci próbują nadrabiać lata strat. Z dóbr materialnych odzyskać można niewiele, ale dla pamięci i wiedzy wciąż da się dużo zrobić. Trudne do przecenienia zasługi na obu tych polach ma Maciej Radziwiłł z szydłowieckiej linii rodu, biznesmen i filantrop. Działając w fundacji Trzy Trąby, opiekuje się polskimi zabytkami na Białorusi, wspomaga szkoły i mieszkających tam Polaków.

Otwierając w pałacu w Nieborowie wystawę „Sobiescy i Radziwiłłowie. Strażnicy wizerunku maryjnego", zorganizowaną przy współpracy fundacji Trzy Trąby, Radziwiłł przypomniał historię jej głównego bohatera i jednocześnie, jak powiedział, najcenniejszego obiektu znajdującego się w zbiorach rodziny. Jest nim płótno znalezione w czasie wyprawy wiedeńskiej w okolicach pola bitwy pod Wiedniem przez hetmana wielkiego koronnego, Stanisława Jana Jabłonowskiego. To XVII-wieczny, prawdopodobnie włoski obraz Matki Boskiej Loretańskiej z aniołami. Sobieski, głęboko wierzący katolik, uznał obraz za symbol interwencji opatrzności, która pomogła zwyciężyć nad Osmanami. Wspomina o nim w liście do Marysieńki. „Obraz tu jeden cudownym dosyć sposobem dostał mi się". Od 1740 r. był on własnością Radziwiłłów i znajdował się w kaplicy zamku w Nieświeżu.

Kolejne pokolenia rodu opiekowały się obrazem. We wrześniu 1939 r. przed Sowietami uratowała go Anna Engelgard, opiekunka dzieci ostatniego ordynata nieświeskiego, Leona Radziwiłła, która jak wiele niań dzieci arystokracji była niezwykle przywiązana do swoich chlebodawców. Po wojnie przywiozła obraz do Warszawy i przekazała go bratanicy Leona, Izabelli Radziwiłłowej. – Jesteśmy tylko strażnikami tego obrazu i wizerunku maryjnego – powiedział wzruszony Maciej Radziwiłł.

Przywracając pamięć historyczną i korzystając z okazji nieborowskiej wystawy, Maciej Radziwiłł prostował również mity, które narosły wokół króla Jana Sobieskiego. – Wódz bez skazy, ikona polskości, miłość do żony, królowej Marysieńki, to wszystko zyskało Janowi III wielką, niesłabnącą do dziś popularność, mówił Radziwiłł. I wskazywał, że słynna bitwa pod Wiedniem nie była najważniejszym zwycięstwem Polaków w 1683 r. podczas wojny z Turcją. – Dramatyczna bitwa pod Parkanami miała znacznie większe znaczenie dla zniszczenia potęgi Osmanów – zauważył. – Sobieskiemu zapomnieliśmy służbę po stronie szwedzkiej w czasie potopu, zapomnieliśmy kosztowne i co najmniej kontrowersyjne wyprawy mołdawskie – wyliczał i dodawał: – Kto pamięta, że z wyprawy pod Wiedniem wróciła połowa polskiej armii?

Na wystawie poza obrazem znajduje się ponad 50 obiektów związanych z bitwą wiedeńską 1683 r. oraz jej najważniejszymi protagonistami po stronie polskiej – rodziną Sobieskich i ich najbliższymi krewnymi, Radziwiłłami. To m.in. portrety króla Jana Sobieskiego pędzla malarza z kręgu dworu Jana III. Jednym z ciekawszych obiektów jest skorupa żółwia o niesprecyzowanym przeznaczeniu. Raczej nie była przedmiotem militarnym, bo brak na niej uszkodzeń, a nawet śladów ewentualnego mocowania.

Warto to wszystko zobaczyć, a przy okazji zwiedzić cudowny park i pałac w Nieborowie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa czynna będzie do 15 września 2019 r.

eprasa.pl ae45b5c7b4

FOT. ADOBE STOCK

Ukrainopolonia

Przemysław Załuska

Polska stoi obecnie wobec perspektywy stania się państwem dwunarodowym, w którym suwerenność na obecnym terytorium Rzeczypospolitej dzielić będziemy z Ukraińcami

Nie tylko obecność ponad miliona Ukraińców w Polsce potwierdzają liczne źródła, lecz także o obecności tej przekonać się można w większości naszych miast, po prostu wychodząc na ulicę. Najlepsze dane, które mamy, określają ich liczebność w naszym kraju na od ok. 1 mln do 1,5 mln.

Dla porównania – przez kilkanaście lat od wstąpienia do Unii Europejskiej w 2004 r. łączna pula emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii wynosi według tamtejszych źródeł 1 mln osób. W liczącej 63 mln mieszkańców Wielkiej Brytanii odpowiada to proporcjonalnie ok. 600 tys. osób w Polsce. W stosunku do populacji gospodarzy Ukraińców w Polsce jest więc dwu-, trzykrotnie więcej niż Polaków w Wielkiej Brytanii, gdzie są oni znaczącą i zauważalną grupą imigrantów.

W Niemczech liczba osób o polskim pochodzeniu to ok. 2 mln, co odpowiadałoby mniej niż 1 mln imigrantów w Polsce. Jednak tak liczna społeczność to skutek imigracji obejmującej cały okres powojenny, rozłożonej na wiele dziesięcioleci, co stwarzało warunki dla stopniowej integracji przybyszów.

Polska emigracja w Anglii była budowana w ciągu 15 lat od 2004 r. Ów milion osób, które napłynęły w ciągu 15 lat, to oczywiście dużo i tempo tego napływu było wysokie, ale całkowicie

eprasa.pl ae45b5c7b4

blednie ono w porównaniu z napływem 1,5 mln Ukraińców do nas – którzy „teleportowali się" tutaj w ciągu ledwie ostatnich czterech–pięciu lat.

Te porównania pozwalają nam zrozumieć, że liczba obecnych w Polsce Ukraińców jest już teraz niezwykle wysoka jako procent (ok. 3–4 proc.) populacji kraju. Nawet w państwach nawykłych do masowej imigracji od dziesięcioleci bardzo rzadko zdarza się, aby pozwolono na taką koncentrację przybyszów z jednego kraju i jednej narodowości.

Dlaczego liczba migrantów oraz tempo ich napływu mają znaczenie? Są to czynniki, które obok innych determinują możliwość asymilacji. Co do liczby sprawa jest intuicyjnie zrozumiała: kilka tysięcy migrantów zniknie wśród miejscowych, kilka milionów nie tylko nie zniknie, lecz także stworzy własne przestrzenie, dzielnice. Przy odpowiednio licznej obecności danej diaspory powstają możliwości normalnego życia prawie bez związku z autochtonami, ich kulturą i językiem. Odpowiednio liczna mniejszość otwiera własne sklepy, tworzy szkolnictwo, organizacje społeczne, miejsca kultu itp. Niektóre grupy tworzą wręcz hermetyczne dzielnice.

Relatywnie niskie tempo napływu migrantów, rozłożenie procesu na dziesięciolecia, powoduje, że minimalizowana jest szansa na powstawanie etnicznych gett. Pomyślmy o 2 mln naszych rodaków w Niemczech: emigrowali oni tam przez cały okres PRL i następnie przez 30 lat istnienia III RP. Dzisiaj tych ludzi są 2 mln, ale jest to wynik wielu dekad imigracji. Kolejne tysiące przyjeżdżały, osiedlały się wśród obcych, powoli się integrowały i dopiero w trakcie tego procesu pojawiały się tysiące innych. Jest chyba jasne i łatwe do uprzytomnienia sobie, że nagłe przeniesienie 2 mln praktycznie z dnia na dzień miałoby całkiem inne skutki dla ich asymilacji.

EKSPERYMENT Z PRZESZCZEPIANIEM

Temat ten nie jest przedmiotem publicznej debaty, choć masowy charakter obecności Ukraińców w Polsce okazuje się rzeczywiście mieć nieomal bezprecedensowy w historii współczesnych migracji europejskich charakter. Można powiedzieć, że jako społeczeństwo jesteśmy obiektem eksperymentu polegającego na nagłym przeszczepieniu jednolitej, zwartej grupy etnicznej – prawdziwego importu nie pojedynczych imigrantów, ale całej „gotowej do użycia" zorganizowanej mniejszości. Bardzo ostrożnie możemy stwierdzić, że jest to eksperyment, którego skutków co prawda nie jesteśmy w stanie w 100 proc. przewidzieć, ale który na pewno jest bardzo ryzykowny.

Mamy już chyba wszyscy świadomość, że obecność tak licznej społeczności ukraińskiej na różne sposoby wpływa na nasze zawodowe, czasami też prywatne życie w przeróżnych sferach. Warto w tym miejscu postawić pytanie: Czy ktokolwiek z czytelników przypomina sobie ten moment, gdy jego i nas jako zbiorowość pytano o zdanie w tej sprawie przed podjęciem decyzji o nieograniczonym otwarciu naszego rynku pracy na Wschód? Albo w którym to programie wyborczym – nieważne, czy naszych ulubieńców politycznych, czy śmiertelnych wrogów – ów postulat był zawarty?

Przykra, a może straszna prawda jest taka, że nikt o tak fundamentalnej zmianie w naszym życiu społecznym z nami nie dyskutował, nie przekonywał nas do niej, nie obiecywał jej ani nie konsultował się z nami co do jej wprowadzenia. Co więcej, rozluźnienie przepisów, które dziś już skutkuje tym, że 3–4 proc. ludności w Polsce to Ukraińcy, nie tylko nie jest efektem realizacji obietnic wyborczych ani wielkiej i głośnej debaty parlamentarnej, ale zmiany jakichś trzeciorzędnych przepisów. Proces ten jest całkowicie wyjęty spod kontroli demokratycznej, a suweren, czyli my, nie jest w tej sprawie nawet konsultowany.

Oto stan obecny, który sam w sobie u każdej osoby o jakiejkolwiek orientacji w historii I i II Rzeczypospolitej oraz historii powszechnej powinien wywołać co najmniej zaniepokojenie, jeśli nie alarm. Jednak to naprawdę tylko początek tego, co może się stać.

PAŃSTWO DWUNARODOWE

Jak wygląda realny scenariusz Ukrainopolonii, który może się urzeczywistnić choćby jutro? Jest to perspektywa przyznania owemu 1,5 mln Ukraińców długookresowego prawa stałego pobytu z możliwością ściągnięcia najbliższej rodziny lub przyznania im obywatelstwa.

Odpowiednie decyzje co do np. szybkiej i na długi okres ważnej legalizacji pobytu mogą zapaść w każdej chwili. Sytuacja byłaby wtedy jeszcze ciągle (teoretycznie) do odwrócenia, a prawdziwym punktem bez odwrotu byłoby przyznanie im obywatelstwa. W praktyce byłby to jednak milowy krok do przekształcenia Polski w państwo dwunarodowe, ze wszystkimi tego politycznymi, społecznymi, religijnymi, kulturowymi konsekwencjami.

Duża część, zapewne większość, obecnie przebywających u nas Ukraińców pracuje na podstawie oświadczeń i zezwoleń wydawanych na kilka miesięcy. W praktyce krążą między swym rodzinnym domem a Polską. W momencie powstania możliwości długotrwałego, legalnego pobytu w naszym kraju zapewne większość z nich ze względu na lepsze warunki socjalne, bytowe itp. zdecydowałaby się na przywiezienie do Polski także swoich rodzin.

Ukraińska demografia nie jest co prawda lepsza od naszej, ale wielu w takiej sytuacji sprowadziłoby współmałżonka, dzieci, może nawet starszych wiekiem rodziców. Ilu by ich było? Przyjmijmy bardzo ostrożnie, że każdy dziś pracujący przywiózłby zaledwie jedną osobę lub dwie – np. tylko współmałżonka i jedno dziecko lub rodzica. W takim bardzo minimalistycznym scenariuszu nadanie prawa pobytu obecnie pracującym w Polsce skutkowałoby stałą obecnością w naszym kraju od 3 do 4,5 mln Ukraińców. A to byłby dopiero początek, gdyż owa mniejszość przyciągałaby niczym magnes kolejnych imigrantów. Biorąc pod uwagę poziom rozwoju Ukrainy i doświadczenia krajów, które wstąpiły do Unii Europejskiej w latach 2004 i 2007, można ostrożnie oceniać potencjał migracyjny Ukrainy na minimum 5 mln osób. W rezultacie z pozoru błahej decyzji Polska mogłaby w bardzo krótkim czasie dorobić się mniejszości etnicznej stanowiącej 8–12 proc. populacji (i to z potencjałem wzrostu tego odsetka).

Podkreślmy – nie chodzi o to, że przez to udział migrantów w całym społeczeństwie byłby u nas wyjątkowo wysoki – wyższy mają np. Niemcy czy Wielka Brytania – ale o fakt, że należeliby oni do jednej grupy etnicznej, że stanowiliby faktycznie drugi naród w państwie. Z taką sytuacją stworzoną przez migrację we współczesnej Europie nie mieliśmy jeszcze do czynienia. Niewątpliwie po części właśnie dlatego, że kraje przyjmujące imigrantów

eprasa.pl ae45b5c7b4

starają się przyjmować ich z różnych krajów, tak aby nie prowadzić do powstania problematycznej sytuacji.

Co oznacza 8–12-procentowy udział mniejszości narodowej w ludności kraju? Można to zilustrować przez odwołanie się do doświadczeń naszych sąsiadów. Polacy na Litwie stanowią ok. 6 proc. populacji, a razem z Rosjanami – kolejną bardzo liczną mniejszością – właśnie ok. 12 proc. Mniejszości węgierskie na Słowacji czy w Rumunii to 7–10 proc., a wokół ich obecności trwa ciągły konflikt. W Finlandii, chociaż historyczna mniejszość szwedzka liczy „zaledwie" 5 proc. populacji, język szwedzki ma status drugiego oficjalnego.

Przy całej życzliwości dla Ukraińców jako ludzi i zrozumieniu roli geopolitycznej tego państwa dla naszego bezpieczeństwa – czy naprawdę chcemy, by już nie tylko polski, lecz także ukraiński był naszym językiem oficjalnym? Aby nasze ulice miały wszędzie dwujęzyczne napisy? Aby Ukraińcy jako współgospodarze decydowali, jakie pomniki postawić, a jakie usunąć z placów naszych miast? Jakaż to konieczność dziejowa zmusza nas do tego, byśmy od teraz musieli żyć z sublokatorami w naszym własnym domu?! Jakie to hipotetyczne korzyści taki wybór – jak to w sytuacji dzielenia wspólnego lokalu z obcymi – wielce niewygodny i krępujący usprawiedliwiają?

Mniejszość licząca ok. 10 proc. ludności kraju to własne partie polityczne mające realny wpływ na kierunek polityki kraju, z czasem własne szkolnictwo, dwujęzyczność, po prostu wszystko to, co powoduje, że tempo asymilacji i integracji spada bardzo silnie, a obecność mniejszości staje się na dobre i złe trwałym elementem krajobrazu kraju. Kto sądzi, że takie współistnienie i współgospodarzenie jest proste, ten nie zna ani historii, ani nawet teraźniejszości mniejszości narodowych w Europie.

HISTORIA CIĄGŁYCH KONFLIKTÓW

Mniejszość ukraińska stanowiłaby ponadto naturalną „piątą kolumnę" w ewentualnych sporach z Ukrainą (gdzie aktywne są środowiska wysuwające pod adresem Polski roszczenia terytorialne). Byłaby też obiektem rozgrywek zarówno naszych wschodnich sąsiadów, jak i zachodnich. Każdy, kto wątpi, że tak by się właśnie działo, powinien przyjrzeć się niedawnemu casusowi pani Ludmiły Kozłowskiej – Ukrainki uznanej przez nasze władze za osobę niepożądaną ze względu na bezpieczeństwo państwa, a w związku z tym hołubionej i wpieranej przez Berlin i Brukselę.

Obecność tak licznej i w związku z tym praktycznie nieasymilowalnej mniejszości to kłopot i olbrzymie polityczne ryzyko, nawet gdyby była to ludność kulturowo bliska i przyjaźnie nastawiona. Problem staje się jednak o wiele większy, gdy uświadomimy sobie mentalną i cywilizacyjną przepaść między naszymi narodami. Dzięki fizycznemu podobieństwu oraz językowej bliskości zapominamy, że ludzie ci pochodzą z innego kręgu kulturowego, innej cywilizacji, o czym zaświadcza nie tylko Feliks Koneczny w książce „O wielości cywilizacji", lecz także bardziej współcześnie Samuel Huntington w swoim „Zderzeniu cywilizacji".

Warto uświadomić sobie, że obraz naszej wspólnej historii z Ukraińcami od czasów wcielenia tych ziem do Korony Polskiej w roku 1569 przez ostatniego z Jagiellonów to historia ciągłych konfliktów, których cechą wyróżniającą jest niespotykane okrucieństwo. Rzezie, których kulminacją był 1943 r., nie są tu wyjątkiem, ale częścią historycznej reguły. Barbarzyństwo zbrodni wołyńskiej ma swoje korzenie w samej kulturze ukraińskiej. Taras Bulba, tytułowy bohater powieści Gogola, pisarza uważanego przez Ukraińców za ich rodaka, zabija własnego syna za związki z Polakami. Taras Szewczenko, uważany za największego ukraińskiego poetę, opiewa i sławi w poemacie „Hajdamacy" rzezie Polaków czasu koliszczyzny XVIII w. Oto gleba i zapowiedź zbrodni UPA.

PRZEMYSŁAW ZAŁUSKA „21 MILIONÓW. DWIE DROGI DLA POLSKI" WYDAWNICTWO ASSERTIO 2019

Co więcej, dzisiejsza Ukraina i ci sami ludzie, którzy dziś do nas przyjeżdżają i zachowują pozory dobrego nastawienia, u siebie prowadzą całkiem inną narrację. We Lwowie na budynku szkoły polskiej umieszczona jest tablica upamiętniająca Romana Szuchewycza – jednego z organizatorów ludobójstwa Polaków. Kamienne lwy na Cmentarzu Orląt we Lwowie są przez Ukraińców umieszczone w pudle – dosłownie i w przenośni – za swoją symboliczną polskość. Szczątki Polaków na Ukrainie nie mogą być chowane. Są one zakładnikami ukraińskiej polityki historycznej i trzeba je z powrotem wrzucać do nieoznakowanych dołów. Oto polityka historyczna dzisiejszej Ukrainy i bardzo Polsce nieprzychylny klimat, w którym wychowywani są młodzi Ukraińcy. Tak ukształtowani ludzie, z takim nastawieniem przyjeżdżają teraz do nas. Swoistym memento i uosobieniem obaw, o których tu mowa, jest sprawa polskiego ucznia, którego rodzicom grozi utrata praw rodzicielskich (!) w związku z jego rzekomym „nacjonalizmem". Jego „wina" to polemika ze swoim ukraińskim kolegą, który w polskiej szkole gloryfikował Banderę. Oto w pigułce obraz naszej przyszłości w Ukrainopolonii.

Nabycie na własne życzenie bardzo licznej mniejszości narodowej, nawet gdyby była to historycznie przyjazna i kulturalnie bliska ludność, to krok ryzykowny, wręcz szalony. Ze względu na odmienną mentalność, cywilizację i kulturę przybyszów oraz z powodu antagonistycznego historycznie stosunku Ukraińców do Polski i Polaków stajemy wobec niezwykle niebezpiecznej dla naszego kraju i narodu sytuacji. Czas, byśmy sobie to uświadomili i podjęli na ten temat debatę.

Realny scenariusz Ukrainopolonii to perspektywa przyznania 1,5 mln Ukraińców prawa stałego pobytu

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Przemysław Załuska – absolwent Wydziału Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, ekonomista, przedsiębiorca.

eprasa.pl ae45b5c7b4

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

PGNiG

PARTNERZY

KGHM POLSKA MIEDŹ

TOTALIZATOR SPORTOWY

Poczta Polska

GRUPA CEDROB

HM Inwest S.A.

eprasa.pl ae45b5c7b4

Stefan Sękowski

Dają – bierz, biją – uciekaj

Według badań filozofia polityczna przeciętnego Kowalskiego jest głównie konserwatywna, republikańska i katolicka. Od państwa wiele wymagamy, choć traktujemy je jako byt zewnętrzny. Jakie konsekwencje mają nasze poglądy?

Doktryna Polaków. Klasyczna filozofia polityczna w dyskursie potocznym" napisana przez Zbigniewa Rau, Macieja Chmielińskiego, Katarzynę M. Staszyńską i Krzysztofa Zagórskiego, wydana ledwie w ubiegłym roku zdążyła się już wyprzedać. Co więcej, wyprzedał się także dodruk. Oczyma wyobraźni widzę już rzesze nie tylko filozofów i socjologów, którzy chcą dowiedzieć się, który to klasyk najbardziej odpowiada Polakom, lecz także polityków i spin doktorów, którzy na co dzień takimi błahostkami jak teoria sprawiedliwości czy wyobrażone państwo idealne nie zaprzątają sobie głowy. Pozycja ta obiecuje nam bowiem odkrycie kamienia nomen omen filozoficznego polityki: zrozumienie, jakie są najgłębiej zakorzenione poglądy Polaków na rzeczywistość.

Zadanie to jest bardzo trudne. Przeciętny Kowalski nie ma niewolników ani chłopów, którzy mogliby na niego pracować, podczas gdy on będzie oddawał się rozmyślaniom, nie ma stałej pensyjki od księcia ani grantu na uczelni. Z reguły sprawy, o których piszę, rozważa w niewielkim stopniu – bo nie ma na to czasu ani być może ochoty. Jego myśli nie układają się w spójny i zamknięty system. Naszą „doktrynę" autorzy książki musieli z ankietowanych i wywiadowanych dopiero wyciągnąć – nie jest wykluczone, że wiele poglądów krystalizowało się dopiero w trakcie badania.

Wyszedł z tego miszmasz, głównie konserwatywny, republikański i katolicki, choć nie brakuje w nim także wątków liberalnych i socjalistycznych. Widać w nim jednak pewne prawidłowości. Nasza doktryna jest w dużej mierze umiarkowana, hołduje specyficznie rozumianemu zdrowemu rozsądkowi, jest sceptyczna wobec konstruowania idealnych, utopijnych światów. Jak piszą autorzy, „gdyby próbować określić ją w odniesieniu do palety klasycznych doktryn politycznych, należałoby stwierdzić, iż pozostaje daleko od tych autorstwa Platona, Hobbesa czy Marksa. Znacznie bliżej jej do powszechnie akceptowanych przesłanek i zasadniczo wyważonych rozwiązań wskazywanych przez Arystotelesa, Locke'a czy Webera".

RODZINA PRZEDE WSZYSTKIM

Zacznijmy od Arystotelesa. „Do Polski ciągnie. Że Polskę przekroczysz na lotnisku, to taki jesteś szczęśliwy człowiek, że to już Polska jest" – mówiła jedna z respondentek. Jesteśmy istotami społecznymi, wzrastamy i realizujemy się we wspólnocie. Najważniejszym punktem odniesienia dla nas jest rodzina – aż 86,9 proc. ankietowanych stwierdziło, że nie ma od niej nic ważniejszego. Ważną wspólnotą dla Polaków jest wspólnota lokalna czy narodowa. Naród jest przede wszystkim wspólnotą kulturową i polityczną – o tym, czy ktoś do niego należy, decydują przede wszystkim przekonanie, że się jest jego członkiem, wspólna historia czy wspólna kultura, a także to, że jest się podporządkowanym temu samemu państwu. Jednak widać też odwoływanie się większości Polaków (choć rzadziej niż w poprzednim przypadku) do koncepcji narodu etnicznego – o przynależności decyduje bowiem też wspólna rasa czy religia.

Jednak już relacje z państwem można opisać jako „skomplikowane". Polacy nie są anarchistami, ale nie dlatego, żeby kochali państwo, tylko dlatego, że nie wyobrażają sobie świata bez niego i nawet nie interesują ich takie spekulacje. Władza była zawsze i zawsze będzie, co jednak nie znaczy, że darzymy ją gorącymi uczuciami. Dla części respondentów państwo to „złodziejstwo, bandytyzm, prywata. […] Naród, ojczyzna to jest coś dużego, coś wzniosłego, natomiast gdy mówimy »państwo«, to myślimy »polityka«, »rząd«. Dla mnie państwo to jest Urząd Skarbowy i ZUS".

Te same osoby potrafią jednak za chwilę powiedzieć, że „państwo powinno być, żeby dbało o swoich obywateli. Żeby dawało pracę. Nie tylko pracę, jak mi da jedzenie, to ja nie muszę pracować. Zapewnić człowiekowi potrzeby. Niezbędne do życia". Aż 88 proc. ankietowanych stwierdziło, że państwo powinno

eprasa.pl ae45b5c7b4

FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

zaspokajać jak najwięcej potrzeb swoich obywateli. Większość uważa też, że państwo powinno pomagać słabym przedsiębiorstwom – zarówno państwowym, jak i prywatnym. Wyłącznie wspólne powinny być w zasadzie te przedsiębiorstwa i zasoby, które już dziś rządzący uznają za strategiczne, takie jak sieci przesyłowe, energetyka czy kopalnie. Jednocześnie Polacy niemal jednogłośnie odrzucają wtrącanie się państwa w takie kwestie jak wolność wypowiedzi czy wyznania, kontrola rozmów telefonicznych czy korespondencji. Władza nie powinna „gryźć w prywatność, jak w Chinach, że można mieć jedno dziecko i więcej nie. Takie rzeczy. Przemieszczanie się z regionu do regionu, wyjazdy z kraju".

ZAWSZE MOŻNA WYJECHAĆ

Wydawałoby się, że ludzie tak ciepło myślący o narodzie i ojczyźnie, wymagający od państwa „jak najwięcej", będą nieprzychylnie patrzeć na to, że ktoś kraj opuszcza. Nic podobnego. Wyjazdy są traktowane jako zło, ale czasem konieczne; ci sami ludzie, którzy uważają, że „emigrant nigdy nie będzie u siebie", bardzo często twierdzą także, iż „nie można mieć pretensji do ludzi, że emigrują, kiedy w swoim państwie nie mogą zaspokoić swoich potrzeb". Tylko 8,8 proc. respondentów twierdzi, jakoby „emigrowali tylko tacy, którzy nie czują się członkami swojego narodu". Nie mamy za złe wyjeżdżającym, że najpierw wykształcili się „za nasze wspólne pieniądze", a potem wyjechali, a tylko 13,6 proc. ankietowanych uważa, że mają w związku z tym jakiś dług do spłacenia.

Może to być wyraz osobistego doświadczenia: większość z nas, jeśli nie wyjechała w ostatnich latach przynajmniej na jakiś czas za granicę, ma kogoś takiego w rodzinie lub w gronie znajomych. Wiemy, że przeprowadzka jest często trudną decyzją. Nasza ojczyzna jest naszym miejscem na ziemi, państwo zaś usługodawcą, którego, gdy nie spełnia naszych wymagań, można wymienić na lepszy model, głosując nogami. „Człowiek stanowi aksjologiczny punkt wyjścia dla postrzegania wszelkich instytucji życia społecznego i politycznego, a istnienie tych instytucji czerpie swoje uzasadnienie z ochrony jego praw, realizacji jego interesów, zaspokajania jego potrzeb. [...] Kiedy zatem państwo nie okazuje tej troski w efektywny sposób, obywatel może uznać, że tym samym traci ono wynikające z jego zgody legitymację i autorytet". Tutaj najmocniej widać odniesienie do Johna Locke'a i innych klasycznych liberałów.

Gdy czyta się tę rekonstrukcję „doktryny Polaków", łatwo zrozumieć, dlaczego Prawo i Sprawiedliwość cieszy się tak wielkim poparciem. Słowa „rodzina", „ojczyzna", „naród" niemal nie schodzą z ust jej polityków, podobnie zresztą jak „państwo", które ma realizować jak najszerszy katalog zadań. PiS – przynajmniej deklaratywnie – leży na sercu mała i średnia własność, jednocześnie przypisuje dużą rolę przedsiębiorstwom państwowym. Nawet umiarkowany konserwatyzm w kwestiach obyczajowych obecnej ekipy rządzącej staje się zrozumiały, skoro zakaz aborcji w każdej sytuacji popiera raptem 11 proc. badanych, a stosunek do związków homoseksualnych mamy dość niejednoznaczny. Nie powinno dziwić, że opozycja licytuje się z PiS na obietnice, podobnie jak to, że w głównym nurcie brak partii wyraźnie wolnorynkowej, skoro „klasycznie liberalne wizje zadań państwa, które można zredukować do zapewnienia obywatelom czy to samego osobistego bezpieczeństwa, czy też bezpieczeństwa prawnego obrotu, znajdują się na stosunkowo odległym marginesie polskiej opinii publicznej".

IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE

Całkiem spójne systemy będące dziełem tęgich głów potrafiły skończyć się katastrofą, by wspomnieć choćby o komunizmie. Jakie konsekwencje mogą mieć idee Polaków? Zrekonstruowana „doktryna" broni się jako próba odnalezienia się w rzeczywistości. Państwo jako instytucja jest faktem, przynosi nam pewne korzyści, a obawa przed chaosem jest zbyt wielka, by próbować tu coś zmieniać. Nie chcemy jednak, by się ono nadmiernie wtrącało w nasze życie, choć z efektów jego działania chętnie skorzystamy – zawsze ostatecznie można wyjechać i korzystać z usług innego państwa.

Takie rozpisanie zasady „jak dają, to bierz, jak biją, to uciekaj" może się sprawdzić jako indywidualna strategia przetrwania, jednak nie jako zasada ustrojowa. ZUS i urząd skarbowy będą zawsze rewersem opiekuńczej roli państwa. Zbyt długiej listy życzeń nie będzie ono w stanie spełnić. Nie jest też powiedziane, że inne państwo, o bardziej rozbudowanym i sprawnym „socjalu", będzie chciało nas przyjąć. A nawet jeśli, to polskie państwo pozbawione aktywnych obywateli się zwyczajnie posypie.

Przyczyną takiej sytuacji może być przeświadczenie, że państwo jest czymś zewnętrznym wobec nas. Nie tworzymy go, nie wpływamy na jego kształt (Jak wielu obywateli ma poczucie podmiotowości w demokracji?), w związku z czym także trudno oczekiwać od nas odpowiedzialności za jego stan. Nasze poglądy są w jakiejś mierze odbiciem sytuacji społecznej, w jakiej jesteśmy, a doktrynę – także diagnozę – stanowi to, czego brakuje w relacjach państwo-obywatel.

ZBIGNIEW RAU, MACIEJ CHMIELIŃSKI, KATARZA M. STASZYŃSKA, KRZYSZTOF ZAGÓRSKI „DOKTRYNA POLAKÓW. KLASYCZNA FILOZOFIA POLITYCZNA W DYSKURSIE POTOCZNYM" WYDAWNICTWO SCHOLAR

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u „Nowa Konfederacja".

eprasa.pl ae45b5c7b4

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Nie dotykać, bo strzelam!

Im jestem starszy, tym bardziej lubię zwiedzać muzea. No cóż, liczba przyjemności w moim zasięgu z każdym rokiem się zmniejsza.

Z najdziwniejszym personelem muzealnym zetknąłem się w Rangunie, o czym kiedyś tu wspominałem. Otóż w tamtejszym muzeum kamieni szlachetnych (Birma jak na tak bardzo biedny kraj jest bardzo bogata) każdemu zwiedzającemu przydzielany jest jego własny przewodnik, który za wszelką cenę usiłuje wkurzyć turystę, opowiadając dyrdymały bardzo łamaną angielszczyzną. Czy to efekt taniości siły roboczej czy raczej niezbyt dyskretny nadzór mający chronić drogocenne zbiory – trudno orzec.

Zaraz po Birmie najbardziej zapadających w pamięć pracowników muzeów spotykamy w Polsce. A dokładniej – w Bardzo Ważnych Muzeach Państwowych. Poza Polską raczej są niedostrzegalni albo zostali zastąpieni przez systemy monitoringu. Jednak w naszej ojczyźnie są – całkiem słusznie – ubrani w paramilitarne uniformy. I traktują powierzone im dzieło ochrony dóbr kultury poważnie jak cholera.

Zwiedzający to dla nich nie źródło dochodu czy konsumenci kultury. To raczej wrogowie, którym trzeba dać odpór. W najlepszym przypadku zagrożenie. Gorliwość, z jaką wykrzykują swoje „Nie dotykać!" i „Tu nie wolno robić zdjęć!", zawsze mnie zastanawiała. Wszak nie są nadzwyczajnie opłacani, więc bardziej robią to dla idei niż dla pieniędzy. A może płaci im się nie za godzinę, lecz za liczbę ofuknięć? Podobnie zawsze dziwiło mnie, jak rzadko w placówkach kultury, i to tej najwyższej, można usłyszeć słowa uchodzące za jej przejaw. Przecież apel, by czegoś nie dotykać, brzmi zupełne inaczej, gdy doda się do niego „proszę", a w zestawie z uśmiechem to już w ogóle wszyscy byliby szczęśliwi.

Ponure skupienie, które maluje się na twarzach personelu muzealnego, przepoczwarza się w jawną niechęć, gdy na horyzoncie pojawią się jakieś dzieci. Dzieci, z muzealnego punktu widzenia, to zło wcielone. Ponieważ nieletnich trzeba wpuszczać do obiektów kultury (acz warto byłoby rozważyć delegalizację tego procederu), trzeba im dać przynajmniej odpowiedni nadzór. Oznacza to groźne lustrowanie młodocianych, prewencyjne – i dość obcesowe – pouczanie rodziców oraz robienie szczególnie niezadowolonych min. Nie wiem, jak na dzieci, ale na mnie to działa. Mam ochotę czmychać czym prędzej.

Zapytałem mojego syna, którego torturuję rozmaitymi muzeami, czy też ma wrażenie, że w polskich placówkach jest osobą niezbyt mile widzianą. Zastanowił się chwilę i przytaknął. Ale potem zaprotestował: „Nie, w Muzeum Powstania Warszawskiego jest inaczej! Jest super!".

Ponieważ wiem, jak bardzo tradycyjnych muzealników wkurza MPW, z tym większą przyjemnością zostawię to jako puentę. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Papież i nierządnice

Zaskoczeniem przyjąłem wiadomość, że papież napisał przedmowę do książki o prostytucji pt. „Kobiety ukrzyżowane". Jeszcze bardziej zdziwiło mnie to, co tam napisał: „Wszelka forma prostytucji to zniewolenie, czyn przestępczy, obrzydliwy nawyk, który myli uprawianie miłości z rozładowaniem własnych instynktów, poprzez torturowanie bezbronnej kobiety".

Znam zjawisko jedynie teoretycznie oraz z opinii praktyków (wcale ich niemało i są tam naprawdę ciekawe nazwiska) i wydaje mi się, że wszelka generalizacja w stosunku do pań uprawiających najstarszy zawód świata nie sprzyja zrozumieniu problemu. Nikt nie neguje, że w branży tej istnieją patologie, przemoc, terror, wykorzystywanie człowieka przez człowieka – konkretne przypadki należy piętnować, a przestępstwa zwalczać! – ale istnieje przecież odwrotna strona medalu. Pracownice tego sektora to nie wyłącznie niewolnice zmasakrowane fizycznie i psychicznie, trzymane w przyczepach i sprzedawane kierowcom tirów.

Całkiem sporo wśród prostytutek jest osób świadomie wybierających ten rodzaj zarobkowania, nie kryjmy – bardziej opłacalny niż praca w zakładzie włókienniczym. W dodatku wielu z nich dostarczający zawodowej satysfakcji. Od mężatek-cichodajek do studentek z czterema regularnymi sponsorami, o „galeriankach" nie wspomnę.

To przykre, że ludzkie ciało okazuje się towarem, ale taki jest ten świat – każdy kupczy tym, co ma, jedni umysłem, inni mięśniami, inni… Jeśli jest popyt, to jest podaż.

Prostytucja istniała od zarania dziejów. Nie zwalczyli jej chrześcijaństwo ani moraliści, ani nawet totalitaryzmy – nazizm i komunizm. Represje sprawiały jedynie, że cena rosła, a obie strony kontraktu schodziły do coraz głębszego podziemia. Toteż w epokach, w których triumfował rozsądek, była to działalność legalna, kontrolowana, rejestrowana. Wtedy także przemocy było mniej i element przymusu słabszy. Szkoda tylko że głowie Kościoła udziela się retoryka feministek, którym nawet do głowy nie przychodzi, iż seks za pieniądze jest ostatecznie lepszy niż żaden. ©℗

eprasa.pl ae45b5c7b4

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

– Eksplozja na Kilińskiego
– Wstrząsający wywiad z żołnierzem AK
– Dodatek specjalny na 75. Rocznicę Powstania '44

Reynald Secher – **Wolność, równość, ludobójstwo**
Piotr Semka – **Męczeństwo Ludwika XVI**
Marcin Bartnicki – **Rebelia w Wandei**
Piotr Zychowicz – **Jak Węgrzy ratowali Polaków na Wołyniu**
Tomasz Stańczyk – **Niesamowite wyczyny lotników II RP**
Yunte Huang – **Szokująca historia braci syjamskich**
Marian Zacharski – **Gestapo porywa oficera Abwehry**
Sławomir Cenckiewicz – **Zwalczać bolszewizm!**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl ae45b5c7b4

Rysunek do artykułu „Nowości Ilustrowanych" o zamachu na podkomisarza carskiej policji Nikołaja Konstantinowa dokonanym 14 maja 1906 r. w Warszawie FOT. BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA

Niepodległość nie spadła nam z nieba

Z Wacławem Holewińskim, pisarzem, wydawcą
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

„DO RZECZY": Pański „Pogrom" jasno wskazuje, że niepodległość Polski w roku 1918 wzięła się nie tylko z korzystnego układu geopolitycznego, który powstał w następstwie konfliktu zbrojnego między naszymi zaborcami.

WACŁAW HOLEWIŃSKI: Rewolucja przedstawiona w moim tryptyku przygotowała pod nią grunt. Rok 1906 stanowił apogeum walki. Proszę sobie uświadomić, że w Kraju Nadwiślańskim przeprowadzono wtedy 1840 akcji zbrojnych! W ciągu trzech miesięcy w Warszawie dokonano 300 zamachów! Czyli, mówiąc obrazowo, trzy razy dziennie w tym czasie na ulicach padały strzały albo wybuchały bomby.

Belfast wysiada! Strach było wychodzić na dwór!

Gdyby taka sytuacja zaistniała teraz gdziekolwiek – w Rosji, USA, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Australii, Japonii, Chinach – to byśmy o takim państwie powiedzieli, że ono nie funkcjonuje, panują w nim totalny chaos i anarchia. Że go po prostu nie ma. Tymczasem wtedy toczyło się w Warszawie normalne życie.

eprasa.pl ae45b5c7b4

Większość mieszkańców, jak to zwykle bywa, pragnęła spokoju, a na stokach Cytadeli ginęli bohaterowie walki z caratem. Ich legenda przyświecała tym, którzy kilkanaście lat później chwycili za broń, by walczyć o wolność ojczyzny i kształtować jej granice.

Zamachy na dygnitarzy carskich inspirowały też polskich konspiratorów podczas II wojny światowej. Ten najsławniejszy miał miejsce właśnie w roku 1906.

Generał-gubernator Gieorgij Skałon, bo to on był celem, to postać z piekła rodem. Realizował pomysł uśmierzenia buntu – tak widziano wydarzenia z lat 1905–1907 z perspektywy Petersburga – wprowadzając w Królestwie Polskim stan wojenny, umożliwiający karanie ludzi śmiercią bez wyroku sądowego. Skałon przeżył zamach dokonany przez trzy kobiety: Wandę Krahelską, Albertynę Helbert i Zofię Owczarek, ale wcale nie złagodził represji. Co ciekawe, zarzucono mu korupcję. Nawet komisja śledcza, która specjalnie przybyła z Petersburga, badała tę sprawę. Swoją drogą łapówki dla urzędników carskich stanowiły chleb powszedni. Myślę, że to dziedzictwo, niestety, po części przejęliśmy.

Ścianę sędziwej kamienicy przy ul. Ogrodowej w Warszawie zdobią pokryte patyną czasu medaliony Stefana Okrzei, Józefa Mireckiego i Henryka Barona – goszczących także w pańskiej prozie.

W międzywojniu pielęgnowano ich pamięć, w PRL zostali przemilczani, chociaż działali w Polskiej Partii Socjalistycznej, ale tej niepoprawnej politycznie, ponieważ współtworzyli jej organizację bojową, której nie było po drodze z rewolucjonistami rosyjskimi. Kompletnie zapomniany jest także Baruch Szulman. W gruncie rzeczy polskość wybrał sobie sam; wprawdzie nie urodził się w rodzinie ortodoksyjnej, niemniej przestrzegającej tradycji judaistycznych. Bardzo wcześnie go aresztowano – za posiadanie broni – a po uwolnieniu z pełną determinacją dokonał samobójczego zamachu na Nikołaja Konstantinowa, okrutnego podkomisarza policji carskiej. W II RP Szulmana stawiano za wzór patriotyzmu. Potem trafił do lamusa – staram się to zmienić.

Pisałem powieść z zamiarem przywrócenia naszej świadomości wykluczonych z niej bohaterów. Musimy wiedzieć, komu zawdzięczamy niepodległość. Ona nam z nieba nie spadła. Wiele osób na bardzo różne sposoby na nią zapracowało.

Chciałem też pokazać, że „Polska" – biorę Polskę w cudzysłów, gdyż de facto nie istniała – była na początku zeszłego stulecia wielonarodowa. A Warszawa, gdzie z Polakami sąsiadowali Żydzi, Rosjanie oraz Niemcy, wyglądała kompletnie inaczej. Zajmowała znacznie mniejszą powierzchnię, ale gęściej zabudowaną. Układ ulic i placów mocno się zmienił, nie mówiąc już o tym, że niektóre znikły, wiele nosi inną nazwę, względnie ma nowego patrona. Pamiętajmy o tym, że to było miasto już w dużej mierze zrusyfikowane. Każdy szyld w nim musiał być dwujęzyczny – rosyjski widniał nad polskim, co miało znaczenie symboliczne.

Nawiasem mówiąc, dziś na niektórych stołecznych dworcach czy bazarach też widnieją dwujęzyczne witryny, z tym, że polsko-ukraińskie. Jednak pieczołowita rekonstrukcja syreniego grodu sprzed ponad wieku jest jednym z atutów pańskiego cyklu: „Pogromu 1905", „Pogromu 1906" i kończącego tę trylogię tomu „Pogrom 1907", na który czekamy.

> **Pisałem powieść z zamiarem przywrócenia naszej świadomości wykluczonych z niej bohaterów**

Mamy to szczęście, że znaczna część prasy z tamtego okresu została zdigitalizowana. Każdy może do niej zajrzeć, nie wychodząc z domu. W olbrzymim stopniu korzystałem z tego, nie tylko ze stołecznych gazet, lecz także np. z wydawanego w Petersburgu tygodnika „Kraj". Pozostały też bogate zbiory fotograficzne. Na czarno-białych zdjęciach utrwalono wizerunki kamienic, pałaców, targowisk, sklepów, pojazdów, mody etc. To również było mi niezmiernie przydatne w opisach.

Tysiące poległych, straconych i zesłanych na Sybir. Były jakieś pozytywy tej rewolucji?

W jej efekcie powstały związki zawodowe, zmniejszono liczbę godzin pracy robotników – z 14, a niekiedy nawet 16!, do 10 na dobę – oraz – co bodaj najważniejsze – przywrócono język polski w szkolnictwie. Bo od zdławienia powstania styczniowego – dla mnie kluczowej rebelii w dziejach ojczystych, ponieważ zastopowała rusyfikację, a pamięć o niej hartowała kolejne pokolenia, utrwalając w nich poczucie polskości – w szkołach i urzędach Priwislanskiego Kraju obowiązywał wyłącznie język okupanta. Po polsku rozmawiano jedynie w kościołach i prywatnie.

Józef Piłsudski początkowo sprzeciwiał się zamachom...

W „Pogromie 1906" opisuję spotkanie czołowych bojowców PPS pod Warszawą. Towarzysz „Wiktor" – pod takim pseudonimem wtedy funkcjonował w szeregach Polskiej Partii Socjalistycznej – forsował tezę, że strzelanie czy rzucanie bomb powoduje kolosalne represje i do niczego nie doprowadzi. Większość jednak wyraziła pogląd odmienny i Piłsudski – co nieczęsto mu się zdarzało – zmienił zdanie, akceptując działania terrorystyczne, w których zresztą później sam uczestniczył.

Naród polski także wtedy był podzielony...

Nawet bardziej niż obecnie. Masa rodaków wysokiego szczebla doskonale odnalazła się w realiach zaboru rosyjskiego, zbijając fortuny liczone w carskich imperiałach. Niepodległość uważali za miraż, snując co najwyżej mgliste marzenia o jakiejś autonomii.

Ponadto mamy też różnice na tle socjalnym. Przywołuję w książce scenę strajku w fabryce na Woli, gdzie dochodzi do awantury pomiędzy robotnikami w obronie miejsc pracy. Dominują tam członkowie Narodowego Związku Robotniczego – silnej partii wywodzącej się ze środowiska endecji, funkcjonującej w latach 1905–1920 – której bojówki walczyły na dwa fronty: z caratem i socjalistami.

Czytelnicy znajdą między innymi w „Pogromie" ciekawe omówienie poglądów Henryka Sienkiewicza na kwestię rewolucyjnego terroru i możliwości odzyskania niepodległości. Zresztą Bolesława Prusa również.

Wykształciliśmy sobie wyidealizowany obraz przeszłości z funkcjonującymi w niej bez mała mesjaszami i prorokami, którzy potrafili przewidzieć nadchodzące wydarzenia. To nieprawda. Ludzi, którzy w ogóle dopuszczali możliwość, że za kilka czy najpóźniej kilkanaście lat Polska będzie wolna, nie było. Przyjmowano znacznie bardziej rozległą i dłuższą

eprasa.pl ae45b5c7b4

perspektywę historyczną. Przy czym w ramach tych samych orientacji politycznych były ogromne różnice. Często mówimy o socjalistach z PPS, ale była przecież także Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, ściśle współpracująca z rosyjskimi robotnikami oraz daleka od walki o niepodległość Polski. Zupełnie odmienne były też wybory bojowców rosyjskich i polskich. Ci pierwsi rzucali bomby czy strzelali, następnie czekali na aresztowanie, proces – jakby przyjmując tę kolej rzeczy za naturalną, często zresztą wychodząc z tych procesów w aureoli męczenników, czasami nawet byli przez sądy uniewinniani. Polacy zaś starali się ratować życie, ukrywali się, konspirowali, dalej tocząc walkę o Polskę, która musiała się odrodzić, wszystko jedno kiedy.

Daty w tytule pańskiego tryptyku są oczywiste. Jednak skąd wziął się sam „Pogrom"?

Dosłownie z wydarzeń o charakterze kryminalnym, a mianowicie ataków na żydowskie burdele w Warszawie w 1905 r., na sutenerów i prostytutki, co do pewnego momentu było wewnętrzną sprawą żydowską, później jednak w napaściach na swoje „przybytki rozkoszy" wzięli udział także Polacy. A w tle wydarzeń narastało wrzenie rewolucyjne. Drugi tom „Pogromu" dotyczy już wyłącznie rewolucji widzianej ze strony zarówno ludzi, jak byśmy powiedzieli – z pierwszych stron gazet, jak i zwykłych obywateli. Tom trzeci chciałbym poświęcić głównie następstwom rewolucji, w tym represjom, które spadły na polską społeczność.

Możemy więc także odnieść tytułowy „Pogrom" zarówno do akcji zbrojnych wymierzonych przeciw Moskalom, jak i do antypolskich działań zaborcy.

A działy się wówczas rzeczy straszne. W Łodzi na przykład, w trakcie demonstracji socjalnej, która dopiero w jej trakcie przerodziła się w narodową, zabitych zostało 200 osób.

W Warszawie 1 maja było podobnie. Ale też nie zapominajmy, że od 1905 do 1908 r. na terenie Priwislanskiego Kraju zaborca wykonał ok. 1 tys. wyroków śmierci. W samej Warszawie 300.

WACŁAW HOLEWIŃSKI „POGROM 1905" ZYSK I S-KA 2018

WACŁAW HOLEWIŃSKI „POGROM 1906" PIW 2019

Pana „Pogrom" ukazuje się wśród wielu innych książek, wyróżniających się, poza wszystkim innym, swą objętością. W pańskim przypadku ta potężna objętość jest uzasadniona, spod pańskiego pióra wyszedł bowiem – a można to stwierdzić już po dwóch tomach – prawdziwy fresk historyczny. Mniej istotni są w nim nawet bohaterowie i ich perypetie niż problemowe ujęcie niezwykle istotnego procesu dziejowego.

Bohaterów w każdym z tomów „Pogromu" jest 12; tak sobie to umyśliłem. A w trakcie pisania zależało mi najbardziej na jednym – edukacji czytelnika. Trudno nie zauważyć, że wydarzenia I i II wojny światowej w społecznej percepcji kompletnie przykryły to, co było wcześniej i co w związku z tym ulega zapomnieniu. Chciałbym swoją trylogią, chyba zresztą w ogóle wszystkim, co piszę, powstrzymać tę niebezpieczną tendencję.

Rewolucja lat 1905–1907 jest właściwie nieobecna w literaturze, wyłączywszy pokryte naftaliną „Pokolenie Marka Świdy" Andrzeja Struga czy „Oziminę" Wacława Berenta...

Mnie się wydaje, że Polacy w ogóle słabo dziś znają swoją historię. Ale to się powoli zmienia. Dziejopisarstwo stanowi istotny segment rynku księgarskiego, ukazuje się niemało periodyków czy też prasowych dodatków, pod patronatem Klio, a organizowane rokrocznie Targi Książki Historycznej cieszą się olbrzymim powodzeniem. Przeszłość ponownie staje się dla nas ważna i ciekawa – zwłaszcza że niemało jest jeszcze w niej sekretów.

Niemało w tej materii może też zdziałać film. W kinematografii polskiej rok 1905 zapisał się głównie przedwojennymi „Dziesięcioma z Pawiaka", będącymi ekranizacją wspomnień Jana Jura-Gorzechowskiego, męża Zofii Nałkowskiej. Można by jeszcze tu wspomnieć „Młody las" i „Na Sybir", ale po wojnie – poza wybitnie nieudanymi produkcjami – jedynie „Gorączkę" Agnieszki Holland z 1980 r., naręconą według scenariusza Andrzeja Struga i – uwaga! – Krzysztofa Teodora Toeplitza.

Z mojego „Pogromu" powstanie serial telewizyjny. Są już gotowe scenariusze dwóch pierwszych odcinków, trzeci jest w pisaniu. Scenariusz, jak się przekonuję, mając prawo do ingerencji w jego kształt, idzie w nieco innym niż u mnie kierunku, eksponując rolę kobiet w ukazywanych wydarzeniach.

O Boże!

Proszę nie uprzedzać się na wyrost. Moim zdaniem rzecz zapowiada się ciekawie. A kobiety w rewolucji 1905 r., także w ruchu socjalistycznym i anarchistycznym, odegrały wybitną rolę.

Praca nad „Pogromem" wypełniała panu ostatnio – jak sądzimy – większość czasu, ale pewnie ma pan i inne plany pisarskie.

Ściśle określonych tematów starczyłoby mi na ponad 20 lat, przy założeniu, że – jak dotąd – co roku wydawałbym jedną książkę. Mam gotową rzecz o bardzo ciekawym, a zapomnianym kolekcjonerze sztuki i awanturniku Ignacym Korwin-Milewskim, a w następnej kolejności chętnie napisałbym o synu Jana Sebastiana Bacha – Carlu Philippie Emanuelu Bachu, też muzyku i kompozytorze, w swoim czasie uważanym za wybitnego.

Dość dalekie to tematy od historii Polski, której rewolucja 1905 r. jest ważnym ogniwem, ale – rzeczywiście – już wcześniej napisał pan obok książek o naszych najnowszych dziejach taką np. „Drogę do Putte", o XVII-wiecznym malarzu Jacobie Jordaensie.

Mam tę książkę w swoim dorobku, o którego ocenie decydują jednak zgoła inne pozycje. Na pewno więc wrócę do pewnych postaci z czasów II wojny światowej, choćby takich jak Stanisław Jeute czy Teodora Żukowska ps. Milena, napiszę też scenariusz filmu o „Łupaszce". Właściwie już siadam do jego pisania, tym chętniej, że postać mjr. Zygmunta Szendzielarza należy do tych, które mają dla mnie wartość wyjątkową.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wacław Holewiński – pisarz, wydawca (współzałożyciel Przedświtu, czołowej oficyny drugiego obiegu); autor powieści: „Lament nad Babilonem", „Za późno na modlitwę", „Przeżyłem wszystkich poetów", „Droga do Putte", „Choćbym mówił językiem ludzi i aniołów", „Szwy", „Honor mi nie pozwala", „Pogrom 1905", zbioru opowiadań pt. „Nie tknął mnie nikt" i dramatów zebranych w tomie „Nic się nie stało".

Laureat Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza za książkę „Opowiem ci o wolności".

eprasa.pl ae45b5c7b4

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl ae45b5c7b4

„Czarny Diabeł” rewolucji

Łukasz Czarnecki

Syn zdegenerowanego arystokraty i czarnoskórej niewolnicy z Haiti zrobił fantastyczną karierę, błyskawicznie awansując z szeregowego dragona na generała

Tomasz Aleksander Dumas

FOT. MUZEUM ALEKSANDRA DUMASA

Pod koniec XIX stulecia wśród paryskiej inteligencji zrodziła się idea ustawienia na pl. Malesherbes pomników trzech wybitnych Francuzów noszących nazwisko Dumas: rewolucyjnego generała i przedstawicieli dwóch kolejnych generacji jego rodziny, czyli pisarzy: Aleksandra Dumasa ojca i Aleksandra Dumasa syna. Monumenty wzniesiono w roku 1912 i wtedy „zaczęły się schody” – wizerunki literatów nie budziły kontrowersji, ale zgody na odsłonięcie pomnika ich czarnoskórego przodka nie udało się uzyskać. I tak pomnik generała, którego za życia wrogowie nazywali z mieszaniną trwogi i szacunku „Czarnym Diabłem”, stał latami zasłonięty płachtą aż do II wojny światowej, kiedy to okupujący Paryż Niemcy zniszczyli rzeźbę. Do dziś we Francji nie ma pomnika jednego z jej najwybitniejszych synów.

WYRODNY OJCIEC

Tomasz Aleksander Dumas przyszedł na świat 25 marca 1762 r. w osadzie Jeremie, leżącej we francuskiej części wyspy znanej dziś jako Haiti. Jego ojcem był potomek markizowskiego rodu Davy de La Pailleterie Aleksander Antoni, a matką niewolnica Marie-Cessette Dumas. Rodzina, z której wywodził się rodziciel przyszłego generała, należała do starej normandzkiej arystokracji. Pechowo dla niej lista jej wierzycieli była jednak dłuższa niż wykaz szacownych przodków, w związku z czym ród Davy de La Pailleterie nieustannie balansował na krawędzi bankructwa. Stryj małego Tomasza Aleksandra – Karol – chcąc podreperować rodzinny budżet, wyemigrował do francuskiej kolonii na Haiti, gdzie ożenił się z bogatą Kreolką, która jako wiano wniosła mu plantację trzciny cukrowej.

Dzięki zyskom płynącym z produkcji cukru Karolowi udało się postawić rodzinę na nogi. Z Haiti do Francji regularnie płynęły sumy pozwalające żyć jego krewnym na odpowiednim poziomie. Skuszony wieściami o powodzeniu brata, Aleksander Antoni zdecydował się również wyemigrować na Karaiby i zamieszkać na plantacji braciszka. Szybko jednak się okazało, że pierworodny rodu Davy de La Pailleterie bynajmniej nie zamierzał sobie brudzić rąk pracą i wolał pędzić żywot pasożyta żywiącego się braterską krwawicą. W roku 1748 doprowadził swą arogancją i nieróbstwem Karola do takiej

eprasa.pl ae45b5c7b4

wściekłości, że ten kazał go wybatożyć niczym niewolnika.

Aleksander Antoni zbiegł z plantacji i przepadł w haitańskiej dżungli. Jako że wszelki ślad po nim zaginął, rodzina uznała go za zmarłego i gdy zmarł stary markiz Davy de La Pailleterie, tytuł odziedziczył Karol. Nie dane mu było jednak długo się nim cieszyć, gdyż po krótkim czasie umarł, a niedługo potem zmarł też najmłodszy z braci – Ludwik. Wtedy stał się cud – rzekomy nieboszczyk, Aleksander Antoni, „zmartwychwstał" i upomniał się o dziedzictwo przodków. Okazało się, że żył w osadzie Jeremie z czarnoskórą niewolnicą Marie-Cessette Dumas, która urodziła mu czworo dzieci. Chcąc zdobyć pieniądze na podróż do Francji, Aleksander Antoni bez mrugnięcia okiem sprzedał konkubinę i troje potomków, zostawiając przy sobie jedynie swojego ulubieńca – Tomasza Aleksandra. Kiedy jednak się okazało, że uzyskane w owej plugawej transakcji pieniądze wciąż nie wystarczają na bilet, pretendent do markizowskiego tytułu oddał syna w zastaw i podreperowawszy w ten sposób budżet, popłynął do Normandii, gdzie przejął rodzinne włości.

FRANCJA

Miał na tyle przyzwoitości, że zwrócił wypłacone mu w zamian za wolność syna pieniądze i wykupiwszy Tomasza Aleksandra z niewoli, sprowadził go do Francji, gdzie zainwestował poważne sumy w to, by przekształcić młodego Mulata w arystokratycznego przedstawiciela złotej młodzieży. Opłacił synowi naukę szermierki i zapewnił edukację odpowiednią dla młodego szlachcica.

Tomasz Aleksander zdecydował się ostatecznie wstąpić do wojska. Zamiast jednak jak większość młodych arystokratów kupić sobie patent oficerski, zaciągnął się jako szeregowy żołnierz do oddziału dragonów. Aleksander Antoni wściekł się i zabronił synowi kalania nazwiska. Tak więc, uzupełniając dokumenty werbunkowe, nasz bohater w rubryczce z danymi osobowymi wpisał miano swej matki niewolnicy.

Służba w szeregach IV Pułku Dragonów Królowej przebiegała dość spokojnie. Największymi problemami, z którymi musiał mierzyć się młody kawalerzysta, były kończące się niejednokrotnie pojedynkami (pewnego dnia Dumas stoczył aż trzy starcia jedno po drugim) utarczki słowne z żołnierzami należącymi do Dragonów Króla oraz nieprzyjemności wynikające z rasistowskich uprzedzeń. Pewnego dnia, gdy Tomasz Aleksander bawił w teatrze z pewną młodą damą, został nazwany „lokajem" przez oficera wojsk kolonialnych, któremu wpadła w oko jego towarzyszka. Skończyło się straszliwą awanturą, ucieczką kobiety i rękoczynami między mężczyznami. Z reguły jednak czarny kolor skóry nie wywoływał agresji, ba, czasem pomagał nawet w zdobywaniu serc niewieścich.

REWOLUCJA I MIŁOŚĆ

Dwa lata po wstąpieniu Dumasa do wojska wiatr historii zaczął wiać z taką mocą, że francuskim elitom najpierw pospadały z głów peruki, a później same głowy też zaczęły spadać z karków. W roku 1789 wybuchła rewolucja francuska. W tym czasie jednostkę Dumasa przeniesiono się do miasteczka Villers--Cotterêts. Dla Tomasza Aleksandra miejsce to okazało się szczęśliwe – zakochał się w dziewczynie imieniem Maria, której ojciec prowadził oberżę, a po godzinach udzielał się jako komendant tutejszych sił Gwardii Narodowej. Karczmarz nie protestował, gdy jego córka zaręczyła się z czarnoskórym żołnierzem, postawił tylko warunek, by przed ślubem będący kapralem przyszły zięć awansował na sierżanta.

Wymagania ojca ukochanej Dumasa szybko zostały spełnione z nawiązką. Młodemu kawalerzyście zaproponowano bowiem wstąpienie do tworzonej właśnie ochotniczej formacji – Legionu Amerykańskiego. Oddział ten miał w zamyśle jego twórców umożliwić służbę wojskową czarnoskórym Francuzom. Na jego czele stanął dawny nauczyciel fechtunku młodego kawalerzysty – Józef de Saint Georges, najlepszy ówczesny szermierz Europy, będący podobnie jak nasz bohater Mulatem. Słynny fechmistrz zaproponował byłemu uczniowi rangę pułkownika i stanowisko swego zastępcy. Dumas nie myślał ani chwili i zaciągnął się pod legionowy sztandar. Tym samym spełnił warunki przyszłego teścia i pokonawszy tę jedyną przeszkodę na drodze do szczęścia, wziął ślub z Marią.

Służba w Legionie Amerykańskim miała być dopiero początkiem zawrotnej kariery wojskowej Tomasza Aleksandra. Formacja czarnoskórych rewolucjonistów nie przetrwała co prawda długo, ale gdy ją rozwiązano, Dumas został awansowany najpierw na generała brygady, a następnie dywizji, po czym powierzono mu dowództwo nad Armią Zachodnich Pirenejów. Żona Dumasa i jej ojciec dosłownie puchli z dumy – w swoich listach do znajomych teść zawsze podkreślał wysoką rangę zięcia.

Tymczasem sztab generalny przerzucał młodego Mulata z frontu na front, a ten wszędzie, gdzie się pojawił, odnosił sukcesy i zdobywał uwielbienie swoich żołnierzy. Tomasz Aleksander zawsze kierował się zdrowym rozsądkiem i humanitaryzmem. Wydawać by się mogło, że to niewiele, ale warto pamiętać, iż wokół trwało rewolucyjne szaleństwo. Dowodząc Armią Alp, Dumas – wbrew płynącym z Paryża instrukcjom – nie parł na ślepo przez zalegający w górach śnieg w kierunku nieprzyjaciela, lecz czekał na nadejście dogodnych warunków atmosferycznych. Owo zwlekanie i ignorowanie nadchodzących z samej góry ponagleń mogło zaprowadzić naszego bohatera na gilotynę, szczęśliwie odnoszone przez niego zwycięstwa osłabiły jednak gniew Komitetu Ocalenia Publicznego na tyle, by tęga głowa czarnoskórego generała pozostała na karku.

O szlachetnym sercu Dumasa najlepiej świadczą działania, które podjął, gdy po zakończeniu alpejskiej kampanii został przeniesiony do operującej w Wandei Armii Zachodu. Prowincja, w której dopiero co stłumiono monarchistyczne powstanie, była terenem, gdzie francuskie wojsko dokonywało pierwszego ludobójstwa ery nowożytnej, wyrzynając w pień nie tylko powstańców, lecz także ludność cywilną. Gdy Tomasz Aleksander przekonał się, jak wyglądają tu sprawy, natychmiast wziął się za ukrócenie żołdackiego bestialstwa. To, że rewolucyjny generał zamiast mordować mieszkańców Wandei, bierze ich w obronę, niezbyt przypadło do gustu Paryżowi, który szybko go odwołał i przeniósł najpierw do Armii Renu, potem zaś skierował na front włoski. Tutaj właśnie przesądni austriaccy żołnierze, w których egzotyczny wygląd Dumasa budził zabobonny lęk, ochrzcili go przezwiskiem Czarny Diabeł.

DUMAS I BONAPARTE

W czasie włoskiej kampanii Tomasz Aleksander po raz pierwszy zetknął się z Napoleonem Bonaparte. Ci dwaj ludzie różnili się jak ogień i woda –

eprasa.pl ae45b5c7b4

przyszły cesarz Francuzów myślał wyłącznie o zdobyciu osobistej chwały, podczas gdy Mulat zupełnie dosłownie brał rewolucyjne hasło „Wolność, równość, braterstwo" i był gotów oddać życie w jego obronie. Pechowo dla Dumasa Napoleon cechował się niesamowitą charyzmą, która zaczadzała wszystkich wokół. Tomasz Aleksander był jednym z niewielu otaczających Bonapartego oficerów, którzy pozostali trzeźwi. Pozostałych Napoleon otumanił do tego stopnia, że za jedno jego dobre słowo byli w stanie wskoczyć w ogień.

Wrogość między dwoma generałami narastała z każdym dniem. Pechowo dla Dumasa to Bonaparte był wyższy rangą i to do niego należało decydowanie, kto z jego podwładnych zasłużył na odznaczenia. Mimo że Dumas dawał w każdej bitwie dowody szaleńczej odwagi, zwierzchnik celowo pomijał jego osiągnięcia w raportach słanych do Paryża. W ślad za nim szli podwładni.

Gdy po bardzo ciężkim starciu z Austriakami Dumas dowiedział się, że kosztujące go dużo krwi utrzymanie zajętej pozycji zostało opisane w raporcie przez jednego z zauszników Napoleona jako „obserwacja", wściekły napisał do owego generała list, w którym stwierdził, że gdyby ten oficer musiał prowadzić taką obserwację, „to by się zes...ał".

Konflikt między Dumasem a Napoleonem miał tlić się przez następne lata i eksplodować w roku 1798, w czasie wyprawy do Egiptu. Pomysł inwazji na kraj nad Nilem od początku nie podobał się generałowi, który jednak zgodził się wziąć w niej udział. Na czas kampanii powierzono mu stanowisko głównodowodzącego kawalerii Armii Orientu.

Podczas egipskiej misji Tomasz Aleksander ponownie dał się poznać jako utalentowany dowódca. Rychło pomiędzy mamelukami zaczęły krążyć opowieści o straszliwym czarnoskórym wodzu zza morza. Dość częstym błędem popełnianym przez Egipcjan było branie naszego bohatera za przywódcę ekspedycji. Dumas cieszył się dużym szacunkiem towarzyszy broni, szybko zaczęli skupiać się wokół niego ci, których raziła ambicja Napoleona. Pewnego dnia opozycjoniści zebrali się w namiocie Tomasza Aleksandra i odbyli długą rozmowę, w której dali upust swym żalom. Ktoś doniósł o niej głównodowodzącemu, co spowodowało, że ten zapłonął do Dumasa straszliwą nienawiścią.

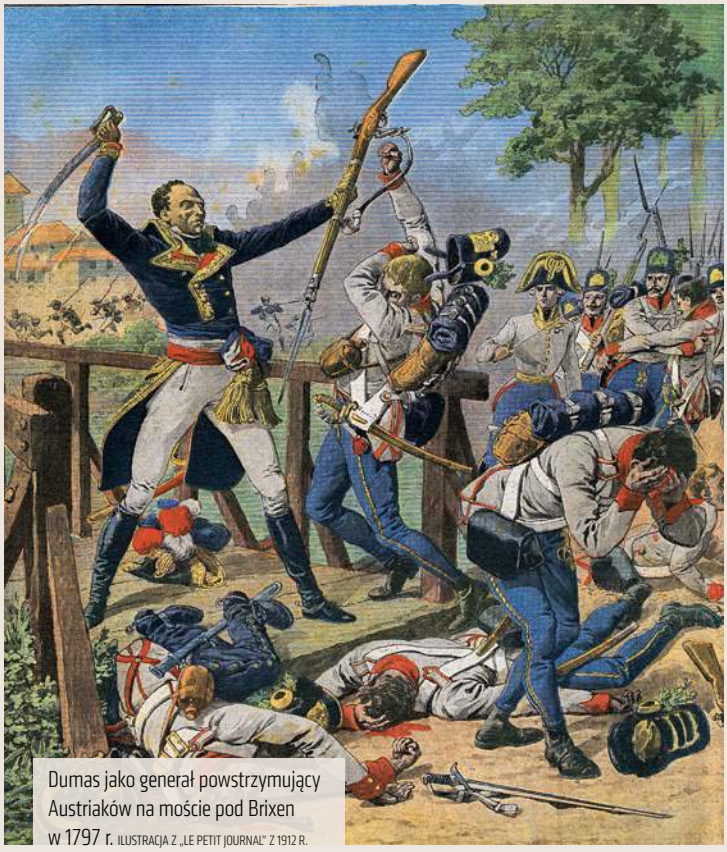

Dumas jako generał powstrzymujący Austriaków na moście pod Brixen w 1797 r. ILUSTRACJA Z „LE PETIT JOURNAL" Z 1912 R.

SMUTNY EPILOG

Egipska awantura skończyła się, jak wiemy, tragicznie. Z początkiem sierpnia 1798 r. adm. Nelson zniszczył stacjonującą u ujścia Nilu francuską flotę, a wkrótce potem Napoleon czmychnął do Europy. Rozczarowany biegiem wydarzeń Dumas złożył rezygnację ze swego stanowiska i razem z przyjacielem – gen. Janem Chrzcicielem Manscourtem – wsiadł na statek mający przewieźć ich do Francji.

W trakcie przeprawy przez Morze Śródziemne statek zaczął przeciekać i jego kapitan, chcąc ocalić jednostkę, przybił do brzegu Królestwa Neapolu. Gorzej nie mógł trafić – w kraju tym toczyła się właśnie wojna domowa między popieranymi przez Francuzów republikanami a tzw. Armią Świętej Wiary walczącą w obronie króla. Ta ostatnia formacja mimo szczytnej nazwy i tego, że na jej sztandarach widniał krzyż, z chrześcijaństwem miała niewiele wspólnego, służący w niej siepacze w zdobytych miastach palili zwolenników demokracji na stosach usypanych z francuskich książek i mordowali Żydów.

Pechowo dla Dumasa port, do którego przybiła wioząca go jednostka, był pod kontrolą owej krwiożerczej bandy i nasz bohater został natychmiast aresztowany.

Następne dwa lata przesiedział w lochu. W tym czasie szalejąca z niepokoju żona pisała do wszystkich francuskich oficjeli, błagając ich o uratowanie męża. Nastał jednak czas konsulatu i wszystkie sznurki władzy zaczęły się zbiegać w rękach Napoleona. Ten zaś nie miał najmniejszej ochoty pomagać człowiekowi, który śmiał się mu przeciwstawiać.

Gdy gen. Dumas ostatecznie wyszedł na wolność w roku 1801 i wrócił do domu, był cieniem samego siebie. W trakcie długotrwałego uwięzienia stracił wzrok w jednym oku, wychudł i osłabł. Mimo to chciał nadal służyć Francji, ale pamiętliwy Bonaparte nie pozwolił mu wrócić w szeregi armii.

Resztę życia Tomasz Aleksander miał spędzić odstawiony na boczny tor. Reżim, który w roku 1804 przemienił się w nową monarchię, systematycznie rugował generała z ludzkiej pamięci. W publikacjach o historii najnowszej starannie umniejszano jego rolę, jako jedyny z rewolucyjnych generałów nie dostał też Legii Honorowej. Dawni przyjaciele trzymali się od niego z daleka, nie chcąc popaść w niełaskę Napoleona.

Tymczasem zdrowie Dumasa stopniowo się pogarszało, aż w końcu okazało się, że cierpi na raka. Złamany zmarł 26 lutego 1806 r., osieracając zaledwie czteroletniego synka – Aleksandra, który w przyszłości miał stać się słynnym autorem powieści z gatunku płaszcza i szpady.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Brytyjska opcja niemiecka

Sojusz między III Rzeszą a Wielką Brytanią był wymarzonym sojuszem Adolfa Hitlera. Przywódca narodowych socjalistów uważał, że dwa „wielkie nordyckie narody" powinny podzielić między siebie świat. Niemcy miały rządzić na kontynencie, a Wielka Brytania – na morzach. Londyn powinien dać Berlinowi wolną rękę w Europie, a Berlin dać wolną rękę Londynowi w koloniach. Scenariusz odwrotny – czyli wojnę niemiecko-brytyjską – Hitler uważał za największe nieszczęście.

Jak wiadomo, Hitlerowi nie udało się zrealizować marzenia. Wojna między Rzeszą a Wielką Brytanią wybuchła. Nie oznacza to jednak, że nie było Brytyjczyków, którzy podzielali wizję Führera. Wprost przeciwnie – było ich całkiem sporo. To właśnie oni są bohaterami nowej książki Radosława Golca „Lordowie Hitlera".

Tytuł jest oczywiście nieprzypadkowy. Większość wpływowych zwolenników „opcji niemieckiej" na Wyspach wywodziła się bowiem z arystokracji. Ludzie ci – jak podkreśla autor – największe niebezpieczeństwo widzieli w bolszewizmie. Niemiecki narodowy socjalizm wydawał im się jedyną siłą, która może powstrzymać dalszy marsz komunizmu w Europie.

W Polsce oczywiście również byli ludzie, którzy tak myśleli. Między brytyjskimi a polskimi germanofilami występowała jednak zasadnicza różnica. Polscy zwolennicy sojuszu z III Rzeszą uważali go za geopolityczną konieczność, za mniejsze zło. Nie byli zwolennikami Hitlera, jego metod ani jego ideologii. Brytyjscy germanofile przeciwnie – byli hitleryzmem zafascynowani. Egzaltowane brytyjskie arystokratki kochały się w wodzu III Rzeszy, a arystokraci uczyli swoje dzieci hajlować. Jest to bez wątpienia różnica bardzo frapująca.

Książka Radosława Golca napisana została na podstawie nieznanej w Polsce brytyjskiej literatury przedmiotu i dokumentów archiwalnych. Nie jest to jednak nudna, naukowa rozprawa, ale napisana z werwą książka popularnonaukowa. Jej największą zaletą – oprócz oryginalnego tematu – jest wiele anegdot. Na przykład ta mówiąca o pewnym młodym brytyjskim szlachcicu, który wybrał się do Monachium. Tam potrącił samochodem przechodnia. Obrażenia okazały się niewielkie. Przechodzień wstał, przyjął przeprosiny i poszedł dalej. Przechodniem tym był… Adolf Hitler.

Szkoda, że młody Anglik nie jechał szybciej. ©℗

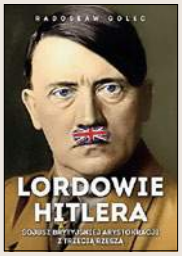

★★★★★★
ROBERT GOLEC
„LORDOWIE HITLERA"
ZONA ZERO

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kopiec Unii Lubelskiej

W 1869 r. przypadała 300-letnia rocznica uchwalenia unii lubelskiej. Wówczas Franciszek Smolka – późniejszy prezydent parlamentu austriackiego – rzucił hasło usypania we Lwowie kopca na cześć tego wydarzenia. Pomysł spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem i 12 sierpnia tego roku położono kamień węgielny pod inwestycję na terenie Wysokiego Zamku.

„Po nabożeństwie u ojców dominikanów – opisywał Kazimierz Schleyen – nieprzejrzane tłumy, mimo niepogody, ruszyły na szczyt góry, gdzie w najniższym poziomie od strony wschodniej, pod wzgórzem, na którym dawniej stała wieża zamkowa, położono kamień węgielny z wyrytymi herbami i napisem: »Wolni z wolnymi, równi z równymi – Polska, Litwa i Ruś zjednoczone unią lubelską 12 sierpnia 1569«. W miarę postępu robót wzrastała wysokość kopca. Dla wzmocnienia sypkiego materiału, jakim był piasek do budowy użyty, stoki kopca zaraz od dołu ujęto obramowaniem z kamienia ciosowego, który uzyskano przeważnie z murów i skał zamkowych".

Usypanie kopca było zadaniem obliczonym na całe lata, a potrzebni byli ochotnicy, zapał i finanse. Wszystko to zapewniał niezmordowany Smolka, który osobiście woził taczki z ziemią, a proponującemu mu inną pracę oficerowi austriackiemu wyjaśnił, że robi to „tylko w wolnych chwilach, a pracę ma", gdyż jest prezydentem austriackiego parlamentu.

Franciszek Smolka był Polakiem z wyboru, synem Niemca i Węgierki, ale ten człowiek, bez kropli naszej krwi w żyłach, zawsze jawnie demonstrował polski patriotyzm. Po upadku powstania styczniowego demonstracyjnie nosił narodowy strój – chodził w czamarze, szerokich szarawarach, butach z cholewami i w rogatywce.

Ostatnie lata życia spędził w zaciszu domowym przy ul. Słowackiego 18, gdzie zmarł w grudniu 1899 r., w wieku 89 lat. Informacja o jego śmierci poruszyła monarchię austro-węgierską i całą Polskę pod zaborami. Pogrzeb Smolki (na koszt państwa) był „wielką i podniosłą manifestacją żałobną, godną pamięci tego, dla którego była przeznaczona", pochowano go na cmentarzu Łyczakowskim.

Lwowianie w 1912 r. uhonorowali Franciszka pomnikiem, niestety niezachowanym do dzisiaj. Postać z brązu, w surducie (po lwowsku w szluzroku) stała na wysokim cokole u zbiegu dzisiejszych ulic Hnatiuka i Listopadowego Czynu. Przed 1939 r. plac nazwano imieniem Smolki, teraz patronem jest gen. Hryhorenka.

Synem Franciszka był Stanisław Smolka – jeden z najwybitniejszych polskich historyków, profesor uniwersytetów we Lwowie i w Krakowie, przedstawiciel krakowskiej szkoły historycznej. ©℗

eprasa.pl ae45b5c7b4

Laurent Wauquiez (podaje rękę Marine Le Pen) po ostatniej wyborczej porażce zrezygnował z kierowania partią Republikanie

FOT. AFP/EAST NEWS

Agonia francuskiej centroprawicy

Olivier Bault

Upadek centroprawicy we Francji jest wyjątkowo brutalny. Francuscy komentatorzy próbują dziś na nowo zdefiniować główne linie podziału na krajowej scenie politycznej

Wybory do Parlamentu Europejskiego były prawdziwym trzęsieniem ziemi na francuskiej scenie politycznej. Partia, która do początku 2017 r. była pewna, że niebawem odzyska urząd prezydenta i większość w Zgromadzeniu Narodowym, i która pomimo kompromitacji jej ówczesnego kandydata François Fillona wciąż jest najliczniejszą partią opozycyjną w parlamencie, zdobyła 26 maja br. dopiero czwarte miejsce z wynikiem poniżej 9 proc. głosów!

PRAWICA „NOWOCZESNA"

Pomimo z pozoru konserwatywnego, prawicowego dyskursu centroprawicowej partii Republikanie (fr. Les Républicains, LR) konserwatywne skrzydło elektoratu tej partii nie poszło na wybory lub wolało zagłosować na Zjednoczenie Narodowe (fr. Rassemblement national, RN) Marine Le Pen. Liberalnej, progresywnej części elektoratu LR nie podobała się z kolei jedynka na liście tej partii: katolik, deklarujący konserwatywne, patriotyczne poglądy. Tej części elektoratu zresztą nie podobał się już od dawna sam szef partii, Laurent Wauquiez. Próbując powielać strategię Nicolasa Sarkozy'ego z 2007 r., Wauquiez mówił rzeczy podobne do tych, które usłyszeć można z ust liderów Zjednoczenia Narodowego, choć zarzekał się, że nigdy ze „skrajną prawicą" nie pójdzie na żadną współpracę. Tak więc niemała część lewicowego skrzydła elektoratu LR zagłosowała w wyborach europejskich z 26 maja na liberalno-lewicową listę LREM prezydenta Macrona. Tym samym Macron powtórzył operację wysysania centroprawicowych wyborców, którą przećwiczył z sukcesem już w 2017 r. na potężnej niegdyś, a dziś mało znaczącej Partii Socjalistycznej (PS), z której sam się wywodzi.

Laurent Wauquiez po rezygnacji z przewodnictwa partii powiedział 2 czerwca, że „problemem nie jest linia polityczna, ale to, że ludzie nam już nie wierzą". Jak zauważyła była posłanka RN Marion Maréchal (znana wcześniej jako Marion Maréchal Le Pen), problemem było także to, w jaki sposób Republikanie głosowali w Parlamencie Europejskim, będąc członkiem Europejskiej Partii Ludowej razem z socjalistami i liberałami. Chodzi o głosowania zarówno w sprawach związanych z imigracją, jak i w sprawach liberalizacji światowego handlu. Również wówczas, gdy pojawiały się rezolucje w duchu postulatów lobby LGBT, z którymi oficjalnie partia się nie zgadzała, i tak głosowała razem z grupą EPL i lewicowymi formacjami zasiadającymi w Strasburgu. Nic dziwnego zatem, że tradycyjni wyborcy centroprawicy odpłynęli do liberałów Emmanuela Macrona lub do „populistów" Marine Le Pen, w zależności od swoich przekonań.

Sprzeczne tendencje w obozie centroprawicy stały się jeszcze bardziej jaskrawe już kilka dni po porażce, kiedy szef kampanii Republikanów opublikował w lewicowej gazecie „Le Monde" tekst, w którym krytykował konserwatyzm obyczajowy swojej partii i nawoływał ją do poparcia in vitro dla lesbijek (które partia Macrona chce właśnie zalegalizować), aby w ten sposób stać się wreszcie już oficjalnie prawicą „nowoczesną" i „otwartą". Tym samym szef kampanii LR do Parlamentu Europejskiego prezentował poglądy całkiem

eprasa.pl ae45b5c7b4

sprzeczne z poglądami lidera tej samej listy. Jak zauważyła Marion Maréchal, obecność na liście LR osób o tak odmiennych poglądach w sprawach zasadniczych z całą pewnością wzmocniła u wyborców obraz formacji mało wiarygodnej.

Problem centroprawicy we Francji polega na tym, że to w jej obrębie przebiega podział elity politycznej i elektoratu między progresistami a konserwatystami. W wyborach z 26 maja francuskiemu prezydentowi udało się po prostu przyciągnąć do siebie liberalnych progresistów z lewicy i prawicy, którzy tak naprawdę od dawna podzielają te same poglądy co on sam, czyli liberalne w sprawach gospodarki oraz lewicowe w sprawach obyczajowych i społecznych. Dlatego były już lider centroprawicy Laurent Wauquiez słusznie zauważa, że błędem byłoby teraz podejmowanie próby uczynienia z Republikanów „dużej, miękkiej partii centroprawicowej". Taka partia mogłaby być tylko przybudówką partii prezydenckiej, podobnie jak istniejące już małe formacje centrowe.

NOWY PODZIAŁ

Do tego zmierza właśnie jedna z najbardziej progresywnych postaci centroprawicy, przewodnicząca regionu Île-de-France Valérie Pécresse, która ogłosiła 5 czerwca, że opuszcza Republikanów i tworzy nową formację, aby „na nowo przebudować prawicę, której grozi wymarcie". Można powiedzieć, że trzy dni po odejściu lidera prawego skrzydła partii, którym był Laurent Wauquiez, odeszła również liderka lewego skrzydła, będąca jednocześnie od dawna jego największym oponentem wewnątrz LR. Krótko potem, 8 czerwca, 72 merów kojarzonych z centroprawicą, wśród których było wielu czynnych członków Republikanów, opublikowało w prasie list poparcia dla rządu Philippe'a i dla prezydenta Macrona, uzasadniając ten tekst naglącą potrzebą sukcesu obecnych reform wdrażanych w duchu liberalizmu gospodarczego.

Czy to początek odpływu merów LR do LREM? Republikanie są wciąż bardzo silni na poziomie samorządowym, a LREM Emmanuela Macrona, jako formacja młoda, jest na tym szczeblu władzy praktycznie nieobecna. Dla prezydenta przeciąganie na swoją stronę samorządowców z LR jest tym bardziej kluczowe, że to oni wybierają senatorów. W momencie, gdy ich własna partia zeszła poniżej progu 9 proc. w skali kraju, wielu merów LR może pokusić się o przejście do obozu prezydenckiego w trosce o utrzymanie stanowiska po kolejnych wyborach.

W tej sytuacji francuscy komentatorzy próbują dziś na nowo zdefiniować główne linie podziału na francuskiej scenie politycznej. W oczach Marion Maréchal, która zdaje się wracać do czynnej polityki po kilkuletniej przerwie i jest często wymieniona jako potencjalna liderka zjednoczonej, konserwatywnej prawicy, dzisiaj liczy się głównie podział między progresistami a konserwatystami. Skoro Macron zjednoczył progresistów, aby wygrać kolejne wybory i odwrócić obecne niekorzystne dla Francji tendencje, należy również budować szeroki, prawicowy, konserwatywny sojusz, który objąłby również, choć nie tylko, partię Marine Le Pen (prywatnie ciotki Marion).

Inni podkreślają klasowy charakter obecnego podziału na dwa główne obozy. Francja żółtych kamizelek oraz Francja małych miast i wsi dość masowo głosowała bowiem na RN, podczas gdy wielkie miasta, również te, które do tej pory popierały LR, zagłosowały na LREM. Politolog Jérôme Sainte-Marie tłumaczył z kolei w połowie czerwca w centroprawicowej gazecie „Le Figaro", że główną słabością Republikanów jest ich niejasny przekaz w kwestiach takich jak suwerenność a Unia Europejska, etyka chrześcijańska a prawo, patriotyzm gospodarczy a wolny handel, tożsamość narodowa, polityka migracyjna. Tymczasem zarówno RN Marine Le Pen, jak i LREM Emmanuela Macrona zajmują w tych sferach bardzo wyraźne pozycje. Potwierdza on również tezę, jakoby partia Macrona była ugrupowaniem szeroko rozumianych elit, tj. ludzi bardziej zamożnych, mieszkających w lepszych dzielnicach oraz osób starszych.

NIE TYLKO FRANCJA

Podobną ewolucję można obserwować w innych dużych krajach zachodniej Europy. I tak w Niemczech partie wielkiej koalicji, czyli centroprawicowa CDU-CSU i centrolewicowa SPD, tracą do formacji mających bardziej jednoznaczny przekaz w wyżej wymienionych sferach, tj. do narodowo-konserwatywnej AfD i do lewicowych Zielonych (których napędzają także kwestie ochrony środowiska i przede wszystkim klimatu). W Hiszpanii centroprawicowy Partido Popular (PP) także doznaje odpływu części swojego elektoratu do lewicowo-liberalnej partii Ciudadanos (Obywatele) z jednej strony i do konserwatywnej partii Vox z drugiej. We Włoszech większość byłych wyborców centroprawicowej Forza Italia Berlusconiego popiera dzisiaj bardziej wyrazistą i spójną Ligę Salviniego. W Wielkiej Brytanii, gdzie w ostatnich latach debata publiczna koncentruje się coraz bardziej na sprawie brexitu, elektorat centroprawicowej Partii Konserwatywnej (która wbrew swojej nazwie jest dziś partią bardzo liberalną w sprawach obyczajowych i społecznych) podobnie w ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego masowo zagłosował na bardziej jednoznaczne formacje, tj. na probrexitową Brexit Party lub na antybrexitową Partię Liberalno-Demokratyczną. Jednakże upadek francuskiej centroprawicy, która straciła – zdaje się trwale – ok. dwóch trzecich wyborców na przestrzeni 2,5 roku, jest wyjątkowo brutalny.

Odkąd na prezydenta Francji został wybrany Emmanuel Macron, robi on też wiele, aby uchodzić za jedyną alternatywę dla tych, których nazywa „nacjonalistami" czy „populistami", starając się nimi straszyć wyborców. Czy w sytuacji, gdy francuski prezydent ma naprzeciwko siebie tylko Zjednoczenie Narodowe pod wodzą Marine Le Pen, może być on pewny wygranej w wyborach prezydenckich w 2022 r.? Na to liczy i na pewno jest to dla niego sytuacja korzystna, pomimo jego słabych notowań w sondażach opinii publicznej. Jednak nawet jeśli nie dojdzie do sojuszu prawdziwie prawicowych sił wokół resztek centroprawicy i RN, to jego zwycięstwo nie jest przesądzone. W wyborach europejskich LREM uzyskało 22,4 proc. głosów w stosunku do 23,3 proc. oddanych na RN przy rekordowej jak na te wybory frekwencji na poziomie 50 proc.

Jednak elektorat biorący udział w wyborach do Parlamentu Europejskiego, składający się w większej części z mieszkańców miast i z ludzi starszych, z socjologicznego punktu widzenia bardziej sprzyja Macronowi niż bardziej liczny elektorat biorący udział w wyborach prezydenckich. Według sondażu Ifop-Fiducial przeprowadzonego w dniach 27–28 maja, gdyby wybory prezydenckie odbyły się dzisiaj we Francji, Emmanuel Macron mógłby liczyć na 30 proc. głosów w pierwszej turze, a Marine Le Pen na 28 proc. W drugiej turze przewaga urzędującego prezydenta wyniosłaby 57 proc. do 43 proc. Sondaż z początku lutego pokazywał podobne wyniki. Przypomnijmy, że dwa lata temu Macron wygrał z Marine Le Pen stosunkiem 66 proc. do 34 proc., a do następnych wyborów pozostały jeszcze trzy lata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

Joanna Bojańczyk

W pałacach emira żyje się cudownie. Dlaczego więc kobiety chcą koniecznie z nich uciec?

Ucieczka z „raju”

Baronowa Shackelton to gwiazda londyńskiej palestry, specjalistka od rozwodów na wysokim szczeblu. Na jej biurku w eleganckiej dzielnicy Belgravia leżały już akta księcia Karola i lady Diany Spencer, księcia Andrzeja i Sarah Ferguson. Tym razem klientką jest księżna Haya bint al-Hussein, arystokratka z urodzenia i związku, przyrodnia siostra króla Jordanii Abdullaha II. Pani Shackelton będzie ją reprezentować w sprawie rozwodowej z emirem Dubaju Mohammedem bin Rashidem al-Maktoum, jednym z pięciu najbogatszych władców planety. Jednak procedura rozwodowa będzie rozpoczęta w Wielkiej Brytanii, dokąd księżna Haya uciekła od męża razem z dwojgiem dzieci: 11-letnią Al-Jalilą i siedmioletnim Zayedem. Będzie starać się tam o azyl. Niepotwierdzone źródła informują, że wcześniej starała się już o azyl w Niemczech.

Haya nie jest pierwszą wysoko postawioną dubajską damą, która próbuje zwiać ze złotych pałaców nafciarzy. Już wcześniej ucieczki próbowały dwie córki emira – Sheikha Hamsa al-Maktoum i Sheikha Latifa bint Mohammed al-Maktoum. Obie zostały zatrzymane przez emirackie służby i potem siłą przetrzymywane w Dubaju wbrew woli.

Po ucieczce żony szejk Al-Maktoum opublikował w sieci romantyczny poemat po angielsku i po arabsku: „Kochanie, nie mam nic do powiedzenia. Twoja śmiertelna cisza wykończyła mnie. Nie ma już dla ciebie miejsca przy mnie. Jesteś zdrajczynią. Nie obchodzi mnie, czy jesteś żywa, czy martwa”.

Tymczasem uciekinierka mieszka w Londynie, w domu wartym 100 mln dol. w Kensington Palace Gardens, enklawie ambasad i rezydencji miliarderów. Nie opuszcza go w obawie, by nie być porwaną i zwróconą do Dubaju. W sekrecie oczywiście. Bo o ile skandale małżeńskie i rozwody w pałacu Buckingham rozgrywają się na oczach publiczności, o tyle w Emiratach brudy pierze się w zaciszu domowym. Imion ani nazwisk żon szejków nikt nie zna.

Nikt nie wie, co się dzieje za murami dubajskich pałaców. Księżna Haya była wyjątkiem.

Udzielała się publicznie, brała udział w imprezach charytatywnych i towarzyskich z kręgu międzynarodowych „wyższych sfer”. Podobno „przyjaźni się” z królową Elżbietą II.

45-letnia księżna Haya, córka byłego króla Jordanii Husseina i królowej Alii, w Anglii czuje się jak w domu. Mieszkała tam od 11. roku życia, chodziła do angielskich prywatnych szkół, potem studiowała nauki polityczne, filozofię i ekonomię w Oksfordzie. W Anglii szczególnie zafascynowało ją jeździectwo; nic dziwnego, konie to także pasja w krajach arabskich. Prezesowała Międzynarodowej Federacji Jeździeckiej, na igrzyskach olimpijskich w 2000 r. reprezentowała Jordanię w biegach z przeszkodami.

NA KONIU JESTEM WOLNA

Dubaj jest dla Bliskiego Wschodu tym, czym Monako dla Europy. Superbogatym szejkanatem kierowanym przez władcę, który umie sprawnie zarządzać promocją swego kraju. Piękna, a do tego wykształcona żona jest naturalnie ważnym elementem tej promocji.

Księżna Haya swoją funkcję pełniła zawsze z otwartością i naturalnością, które mocno kontrastowały ze sztywnością i z powagą małżonka. Jej matka, księżna Alia, zginęła w wypadku helikoptera, gdy córeczka miała trzy lata. Po matce Haya odziedziczyła niezależność myślenia i brytyjski paszport. Oprócz jeździectwa ma inne nietypowe dla kobiety pasje: interesuje się sokolnictwem i ciężką artylerią. BBC podała, że jako jedyna kobieta w Jordanii miała prawo jazdy na ciężarówki. Angielskiemu magazynowi „Tatler” Haya powiedziała, że bardzo chciałaby prowadzić 30-tonowe ciężarówki... Marzy

Emir Dubaju Mohammed bin Rashid al-Maktoum i księżna Haya bint al-Hussein

FOT. MARK CUTHBERT/GETTY IMAGES

eprasa.pl ae45b5c7b4

także, by zasiąść za kierownicą samochodu wyścigowego, szczególnie astona martina, którego miał James Bond.

Jest bardzo wysportowana – na swoim roleksie sprawdza, czy codziennie robi obowiązkowe 10 tys. kroków. Trzy lata temu trenowała do walkathlonu, 24-godzinnego marszu organizowanego w Dubaju (średnia temperatura latem wynosi tam ok. 40 st. C). Zachęca kobiety arabskie do uprawiania sportów. „Kobiety muszą być aktywne i rozwijać ducha rywalizacji. Sport to kuźnia charakterów" – twierdzi.

Jednak największą pasją Hai są konie. Pierwszego źrebaka dostała od ojca, gdy miała 10 lat. W wieku 20 lat brała już udział w poważnych zawodach hippicznych. Była pierwszą kobietą, która weszła do jordańskiej ekipy hippicznej i dostała medal. Na olimpiadzie w Sydney startowała w biegu z przeszkodami.

„Gdy jestem na koniu, czuję się wolna – mówiła Haya w 2001 r. – Te zwierzęta są prawdziwe. Dzięki nim zapominam o moich tytułach". To właśnie wtedy poznała przyszłego emira Dubaju i ulegała jego czarowi. Pobrali się trzy lata później, podczas prywatnej ceremonii w Omanie. Ona miała 29 lat, on 54. Była jego szóstą żoną. Z pięcioma poprzednimi miał już 21 dzieci. Miał też 1000 koni czystej krwi i kilka miliardów dolarów.

DUBAJSKI LUKSUS

Mohammed bin Rashid al-Maktoum jest głową najsłynniejszego z siedmiu Emiratów Arabskich. Także jego premierem, wiceprezydentem i ministrem obrony.

Dubaj z wioski rybackiej, którą był jeszcze w latach 60. XX w., stał się supernowoczesną zglobalizowaną metropolią, w której dochody z luksusowej turystyki zastąpiły petrodolary. To miasto z wielkimi arteriami, roślinnością zasadzoną na piaskach pustyni i sztucznie podlewaną odsalaną morską wodą, gigantycznymi centrami handlowymi, wieżowcami bijącymi rekordy wysokości. Jest czym olśnić kobietę. Haya jeszcze niedawno zwierzała się magazynowi w Emiratach: „Codziennie zdumiewa mnie to, czego mój mąż dokonał, i dziękuję Bogu, że mogę być u jego boku". „Nie możemy się na nich napatrzyć" – zachwycał się dubajską parą magazyn kobiecy w Emiratach. Raportowano ich kolejne wizyty w Ascot, na najsłynniejszych wyścigach konnych Wielkiej Brytanii. Co roku biorą w nich udział konie szejka, który ma w Anglii własną stajnię o nazwie Godolphin.

A jednak na ostatnich wyścigach w Ascot Haya nie pojawiła się u boku męża. To niespotykane, bo do tej pory nie przegapiła żadnej okazji, aby się pokazać na prestiżowych trybunach toru. Kilka dni później wyszło na jaw, że księżna uciekła z Dubaju. Miało się to udać przy pomocy niemieckiego dyplomaty. Stugębna plotka mówi, że wcześniej między małżonkami miało dojść do kłótni. Emir wpadł we wściekłość, gdy się dowiedział, że żona obdarowywała drogimi prezentami jednego z ochroniarzy, byłego oficera armii brytyjskiej.

Pewne światło na całą sprawę rzucają okoliczności nieudanej ucieczki 32-letniej córki emira, Latify, która w roku 2018 podjęła drugą już próbę wyrwania się z dusznej atmosfery pałacowego więzienia. Pierwszą podjęła kilkanaście lat temu, ale złapano ją na granicy i za karę przetrzymywano w zamknięciu. Nagrała to wtedy na filmiku i opublikowała na YouTube. Chciała w ten sposób zwrócić uwagę na sposób traktowania kobiet na dubajskim dworze. Nagranie zebrało 3,5 mln wejść. Następnym razem uciekała na prywatnym jachcie w stronę Indii, ale znowu ją złapano i doprowadzono do Dubaju. Na jakiś czas zniknęła i ukazała się ponownie dopiero, gdy po interwencji organizacji praw człowieka i nawet ONZ Dubaj pokazał jej zdjęcia. Sesje zdjęciową, która miała udowodnić, że jej pasierbica jest wolna i szczęśliwa, zorganizowała sama Haya. Latifa pozuje na niej bez uśmiechu, jakby z przymusu. Dowodem, jak nierozsądnego uczynku się dopuściła, miały być słowa przyjaciółki Hai, Mary Robinson, byłej prezydent Irlandii i komisarz ONZ. Powiedziała, że córka emira jest wolna, ale ponieważ ma poważne problemy psychologiczne, jest otoczona czułą opieką… Po raz kolejny reputacja emira została obroniona.

To było pół roku temu. Co będzie teraz? To prawdziwa łamigłówka prawna dla Londynu. Haya może wnieść o rozwód, ale według prawa arabskiego może go uzyskać tylko mężczyzna. A co z dziećmi? Szariat mówi, że za wychowanie dzieci odpowiedzialny jest wyłącznie mężczyzna.

Sprawa nie będzie prosta, gdyż żona jest obywatelką brytyjską. W grę wchodzą miliony, jeśli nie miliardy, a dodatkowo relacje gospodarcze Dubaju i Londynu.

Jak będzie wyglądało życie księżnej i jej dzieci? Na wolności, ale w wiecznym strachu o porwanie. Nad tym zastanawia się tylko ona sama.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

FOT. ARTUR WIDAK/NURPHOTO/GETTY IMAGES

REJS ZAMIAST NAUKI

16-letnia Greta Thunberg ze Szwecji stała się znana, bo w piątki opuszczała szkołę, by prowadzić jednoosobowy strajk w obronie klimatu. Teraz wpadła na nowy pomysł – do szkoły nie będzie chodzić przez cały rok. Czas oczywiście poświęci na walkę ze zmianami klimatu. W dodatku popływa jachtem. Bo chce być na szczycie klimatycznym w USA, a samoloty emitują za dużo gazów cieplarnianych.

MIESZANIE W LEGITYMACJACH

Jak doniosły duńskie media, tamtejsze dzieci wkrótce mają mieć prawo do dokonywania zmian w swoich dokumentach. Będą mogły sobie tam zmieniać numer CPR (odpowiednik polskiego PESEL-u), w którym zakodowane są m.in. informacje o płci. Za umożliwieniem zmian są obecnie cztery partie zasiadające w duńskim parlamencie.

10 LAT ZA SELFIE

Iranki, walcząc o prawa kobiet, publikują w sieci swoje zdjęcia bez hidżabów. Mousa Ghazanfarabad, szef sądu rewolucyjnego w Teheranie, ostrzegł kobiety, że zamieszczanie takich zdjęć zagrożone jest karą do 10 lat więzienia. To i tak łagodnie. Prawniczka, która broniła kobiet protestujących w ten sposób, została skazana na 38 lat więzienia oraz 148 batów.

CZARNOBYL II, CZYLI NIC SIĘ NIE STAŁO

Sowieckie procedury wciąż obowiązują. Po dwóch latach od odnotowania nad Europą skoku radioaktywnego rutenu 106 naukowcy przeanalizowali dane i w czasopiśmie „PNAS" dowiedli, że źródłem radioaktywnego wycieku była elektrownia atomowa na Uralu. Rosja do tej pory zaprzeczała, że doszło do tego w jej obiekcie. Artykułu nie skomentowano. Na szczęście skażenie nie było groźne dla Europejczyków.

ASYSTENTKA PODSŁUCHUJĄCA

Brytyjski „Guardian" ujawnił, że sztuczna inteligencja w iPhonie – czyli Siri – oprócz pomagania użytkownikom i odpowiadania na ich zapytania rejestruje też ich rozmowy. Wśród nagrań mają znajdować się m.in. takie dotyczące nielegalnych transakcji, relacji międzyludzkich czy stanu zdrowia. Firma stwierdziła, że robi to tylko po to, by poprawiać swoje narzędzie. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Szkoda Pawła Kowala

Tłumacząc swój start z listy PO-KO w Krakowie, Paweł Kowal wyjaśniał, że opuszcza strefę pozapolitycznego komfortu, bo sytuacja tego wymaga. Zarazem mówił, że chce pokazać, iż polityka może być inna, niż jest dzisiaj, i że można inaczej prowadzić kampanię.

Nie mam powodu nie wierzyć w szczerość tych słów. Zarazem dziwię się im, bo Kowal nie jest w polityce nowicjuszem i musi doskonale wiedzieć, że jego plany ucywilizowania polskiej polityki poprzez start z listy jednego z wielkich obozów są złudne.

Obie partyjne machiny pracują w logice wojny totalnej. Owszem, są w tych armiach ludzie, którzy działają inaczej, ale ich odmienny sposób odnoszenia się do politycznych przeciwników niczego nie zmienia. Czy na przykład cywilizowane maniery wicepremiera Gowina w jakikolwiek sposób łagodzą konflikt? Nie. Nadal celem nie jest pokonanie oponenta, ale zniszczenie wroga, któremu dorabia się gębę wręcz szatańską.

Kowal może się od takiej retoryki odcinać, ale jej nie powstrzyma i niczego nie zmieni. W dodatku podżyruje swoim nazwiskiem postaci takie jak Barbara Nowacka czy – jeśli wiadomość się potwierdzi – Jerzy Wenderlich. Po co? W tym układzie to PO-KO zyskuje na Kowalu, ale Kowal nie zyskuje nic na PO-KO, natomiast wiele może stracić.

Można oczywiście spytać: Czy lepiej, żeby tacy ludzie jednak w polityce byli czy nie? Otóż dziś odpowiadam: lepiej, żeby nie wspierali swoim dorobkiem i nazwiskiem żadnego z dwóch dużych obozów. Bo to one oba napędzają najgorsze emocje. Szkoda, że Kowal widzi to inaczej. ©℗

eprasa.pl ae45b5c7b4

XXIX Forum Ekonomiczne

3-5 WRZEŚNIA 2019, KRYNICA-ZDRÓJ

Województwo Małopolskie
Główny Partner
Forum Ekonomicznego

EUROPA JUTRA. SILNA, CZYLI JAKA?

Najważniejsza konferencja organizowana od prawie 30 lat w Europie Środkowo-Wschodniej.

Ponad 4000 gości - liderów świata polityki i biznesu z ponad 60 krajów z Europy, Azji i USA.

Ponad 150 debat - makroekonomia, biznes i zarządzanie, energetyka, innowacje.

Najbardziej znane miejsce spotkań elit gospodarczych w tej części Europy.

Znajdź nas na Facebooku!

- www.forum-ekonomiczne.pl
- kontakt: forum@isw.org.pl

eprasa.pl ae45b5c7b4

Kredyt z opóźnionym zapłonem

Jacek Przybylski

Stopy procentowe w Polsce pozostają na rekordowo niskim poziomie. Rosnąca inflacja w końcu doprowadzi jednak do ich wzrostu. Ten zaś może oznaczać, że wielu klientów banków będzie musiało płacić co miesiąc ratę wyższą nawet o kilkadziesiąt procent

Zaledwie 1,5 proc. Referencyjna stopa procentowa Narodowego Banku Polskiego od 52 miesięcy pozostaje na wyjątkowo niskim poziomie. A ponieważ w dużym stopniu od niej uzależniona jest stawka WIBOR 6M (wynosi obecnie 1,79 proc.), na podstawie której w prosty sposób oblicza się oprocentowanie ogromnej części kredytów, a zwłaszcza pożyczek i kredytów hipotecznych, to również oprocentowanie tych produktów od kilku lat pozostaje na najniższym w historii poziomie i waha się obecnie od niecałych 3 do ponad 4 proc. w skali roku. Polacy bardzo chętnie pożyczają coraz większe pieniądze i zamiast wydawać pieniądze na wynajem, zaczynają spłacać własne mieszkanie. Popyt na kredyty jest tak duży, że w ciągu ostatniej dekady Polacy – jak wynika z danych Związku Banków Polskich (ZBP) – podwoili wartość portfela kredytów mieszkaniowych, która obecnie wynosi już ponad 421 mld zł.

REKORD ZA REKORDEM

W 2018 r. szczególnie mocno wzrosła sprzedaż kredytów hipotecznych. Średnia wartość takiego kredytu wyniosła w ubiegłym roku 247,2 tys. zł, czyli o 15,2 proc. więcej niż rok wcześniej. Z danych BIK wynika, że łącznie Polacy zaciągnęli w 2018 r. kredyty mieszka-

eprasa.pl ae45b5c7b4

FOT. ADOBE STOCK

niowe na 56,2 mld zł, czyli pożyczyli aż o 20 proc. więcej niż rok wcześniej.

Zwabieni niskim oprocentowaniem kredytobiorcy tak chętnie sięgali po ten produkt, że banki odnotowały najwyższą sprzedaż kredytów hipotecznych od 10 lat. Był to też trzeci wynik pod względem wartości udzielonych kredytów w historii, po rekordowych latach 2007 i 2008. W maju obecnego roku banki i SKOK-i udzieliły kredytów wartych 24,8 proc. więcej niż w tym samym miesiącu rok wcześniej, czyli na 5,877 mld zł. Według danych BIK średnia kwota wnioskowanego kredytu mieszkaniowego w maju obecnego roku wzrosła zaś o 10 proc. do 273,36 tys. zł w porównaniu z majem ubiegłego roku.

Wartość kredytów mieszkaniowych w pierwszych pięciu miesiącach obecnego roku wzrosła zaś – w porównaniu z rokiem 2018 – o 10,9 proc. I chociaż liczba wnioskodawców spada – w maju było ich najmniej w całym roku 2019 – to rosnąca wartość udzielonych kredytów może sprawić, że branża w tym roku przebije magiczny poziom 60 mld zł.

Sektor bankowy kredytów hipotecznych o wartości ponad 60 mld zł udzielił ostatni raz w roku 2008. Rok 2008 był też przełomowy z innego powodu: pierwszy raz w historii polskiej bankowości zadłużenie gospodarstw domowych przekroczyło wówczas wartość ulokowanych na rachunkach depozytów. Lata 2007–2009 to też jednak data wybuchu globalnego kryzysu gospodarczego. Krach na rynkach nieruchomości w Stanach Zjednoczonych wywołał efekt kuli śnieżnej i doprowadził do pęknięcia bańki na polskim rynku mieszkań, których ceny rosły wcześniej nawet po kilkanaście procent co trzy miesiące. Jednocześnie do góry wystrzeliła wartość franka, co finansowo poturbowało wielu Polaków, a niektórym założyło na szyję ceglanego stryczka: wartość kredytu nagle podskoczyła tak bardzo, że nawet po sprzedaży mieszkania kredytobiorca zostawał bez kluczy, ale z potężnymi długami.

INFLACJA NA HORYZONCIE

W 2019 r. globalny kryzys finansowy jeszcze nie wybuchł. W ciągu 10 lat znacząco wzrosła za to przeciętna wartość dochodów Polaków, dzięki czemu – jak obliczyli eksperci ZBP – okres potrzebny na spłatę przeciętnego kredytu mieszkaniowego zmniejszył się o ponad trzy lata, do nieco ponad 12 lat (z wyłączeniem odsetek).

I chociaż poziom zadłużenia gospodarstw domowych zarówno w stosunku do dochodów, jak i do PKB jest jednym z najniższych w Europie, to poważne problemy związane z rosnącą inflacją i oczekiwanym wzrostem stóp procentowych nie są niestety wymysłem publicystów w środku sezonu ogórkowego.

Komisja Nadzoru Bankowego już w 2016 r. ostrzegała banki, aby brały pod uwagę to, że choć teraz stopy są wyjątkowo niskie, to może się zdarzyć tak, że większa część kredytu będzie spłacana już w okresie, kiedy stopy będą wyższe. W projekcie nowej – piątej już – Rekomendacji S KNF apelowała do banków o popularyzację kredytów mieszkaniowych ze stałym oprocentowaniem lub z okresowo stałą stawką procentową.

Mimo deklaracji przewodniczącego Rady Polityki Pieniężnej prezesa NBP Adama Glapińskiego, dotyczących utrzymania niskich stóp procentowych co najmniej do końca 2021 r., pewne jest jedno: stopy procentowe nie mogą być wieczne na historycznie niskich poziomach i w końcu muszą zacząć rosnąć. O tym, że podwyżka stóp może być konieczna, mówi już połowa składu RPP. Ten scenariusz jest tym bardziej prawdopodobny, że na horyzoncie widać już zarys potężnego wroga kredytobiorców: szybko rosnącą inflację. Według wstępnego szacunku GUS inflacja w lipcu 2019 r., liczona rok do roku, wyniosła aż 2,9 proc. To najwyższy odczyt od listopada 2012 r. Wielu ekspertów szacuje zaś, że już wkrótce inflacja przebije poziom 3 proc.

POŻEGNANIE Z WŁASNYM KĄTEM?

Podwyżka stóp o trzy punkty procentowe będzie oznaczała dla przeciętnego Kowalskiego wzrost raty kredytowej o kilkaset złotych. Przy kredycie w kwocie 400 tys. zł na okres 30 lat i oprocentowaniu wynoszącym 3 proc. miesięczna rata wynosi niecałe 1,7 tys. zł. Jeżeli oprocentowanie wzrośnie do 6,3 proc. – co nie jest wcale niemożliwe – to miesięczna rata podskoczy do niemal 2,5 tys. zł. Dla budżetów domowych wielu rodzin taki skok może być niebezpieczny. W takiej sytuacji poziom tzw. wskaźnika DTI, który pokazuje procentowy udział miesięcznych zobowiązań kredytowych do dochodów netto, może bowiem przekroczyć bezpieczny poziom, za który w przypadku osób o przeciętnych dochodach uważa się 30–40 proc.

Z tego powodu kredytowy optymizm Polaków próbują studzić niektórzy eksperci oraz urzędnicy. „Niepokoją nas dwie rzeczy. Przede wszystkim sposób informowania klientów o ryzyku związanym z zaciąganiem kredytów złotówkowych ze zmienną stopą oprocentowania. W tej chwili klienci nie zawsze mają świadomość ryzyka związanego z tym produktem. Ponadto niekorzystnym zjawiskiem jest praktyczny brak w ofercie banków

eprasa.pl ae45b5c7b4

kredytów hipotecznych ze stałym oprocentowaniem obowiązującym przez całą umowę lub też znaczącą jej cześć. Powinny one stanowić realną alternatywę dla kredytów ze zmiennym oprocentowaniem" – pisał w czerwcu zeszłego roku prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Marek Niechciał zaapelował również do banków, aby te – „nie tylko z punktu widzenia interesów konsumentów, lecz także stabilności sektora finansowego w Polsce" – wprowadziły do oferty kredyty hipoteczne o stałym oprocentowaniu.

Wprowadzenie obowiązku oferowania przez banki kredytów nie tylko ze zmienną, lecz także ze stałą stopą procentową konsekwentnie postuluje także Komisja Nadzoru Finansowego. Fakt, że w Polsce ponad 99 proc. nowych umów kredytowych dotyczących finansowania nieruchomości przewiduje zmienną stopę procentową, sprawia, że na tle zachodniej Europy wyglądamy na finansowego dziwoląga. Popularność kredytów tego rodzaju to bowiem cecha takich państw jak Bułgaria, Rumunia czy Finlandia.

W większości państw Unii Europejskiej, a także w Stanach Zjednoczonych, o wiele bardziej popularne są kredyty ze stałą stopą oprocentowania. Tak skonstruowane produkty są bowiem bezpieczniejsze zarówno dla kredytobiorców, jak i – w ostatecznym rozrachunku – dla banków. Ponieważ obecnie bankierzy w Polsce całe ryzyko wzrostu stóp procentowych przerzucają na klientów, to kredyt ze stałą stopą procentową byłby sporo droższy.

Mimo to ofert kredytu hipotecznego ze stałym oprocentowaniem jest jednak w Polsce jak na lekarstwo. A i klienci wcale nie rzucają się na te produkty, patrząc głównie na to, aby jak najniższą ratę mieć od samego początku spłacania nieruchomości.

Zarówno przedstawiciele sektora bankowego, jak i pracownicy nadzoru finansowego wyciągnęli wnioski z poprzedniego kryzysu. Banki nie udzielają już kredytów na 110–130 proc. wartości nieruchomości.

Wymóg posiadania wkładu własnego na poziomie minimum 20 proc. wyklucza dużą grupę zainteresowanych kupnem mieszkania, którzy najszybciej mogliby znaleźć się w gronie pożyczkobiorców mających duże problemy ze spłacaniem swych zobowiązań. Między innymi dzięki temu wskaźnik jakości ogółu kredytów polskich banków wynosi ponad 6 proc., co oznacza, że tylko sześciu kredytobiorców na 100 ma problemy z regularną spłatą swoich zobowiązań.

Ten optymistyczny obraz może jednak nagle się pogorszyć. Młodzi ludzie – choć nie tylko oni – kupując mieszkania na rozgrzanym rynku nieruchomości, pożyczają maksymalną kwotę, którą gotów jest im wypłacić bank. Wielu zapomina o tym, że banki oceniają ich zdolność kredytową w czasach wyjątkowo taniego pieniądza, gigantycznej stymulacji konsumpcji przez rząd („500+", trzynastka dla emerytów) oraz rekordowego zatrudnienia (stopa bezrobocia wynosi poniżej 5,5 proc. i jest najniższa od 29 lat, a ponieważ rąk do pracy brakuje, to jest dużo łatwiej o podwyżki).

W razie nagłego wzrostu raty zapożyczeni po uszy kredytobiorcy mogą nie być w stanie spłacać swoich zobowiązań. W sytuacji, gdy wzrostowi stóp procentowych towarzyszyć będzie też wzrost bezrobocia, jedynym ratunkiem może się okazać sprzedaż nieruchomości w celu spłacenia kredytu i pogodzenie się z utratą wpłaconych już pieniędzy (wkładu własnego wraz z odsetkami i częścią spłaconego kapitału).

130 tys.

TYLE MIESZKAŃ I DOMÓW BYŁO NA KONIEC 2017 R. OBCIĄŻONYCH KREDYTEM PRZEWYŻSZAJĄCYM ICH WARTOŚĆ

To również ryzyko dla banków. Pod koniec sierpnia ubiegłego roku KNF w projekcie nowej Rekomendacji S zwracała uwagę m.in. na „ograniczoną płynność na rynku nieruchomości, w tym możliwość dochodzenia roszczeń z danego rodzaju nieruchomości w trybie przymusowym", a także na „brak wypracowanych standardów w zakresie aspektów socjalnych związanych z egzekucją należności oraz z realizacją zabezpieczenia". I trudno odmówić jej racji. Masowe eksmisje na bruk byłyby trudne do przeprowadzenia, a fakt, że człowiek, który traciłby dach nad głową, zostawałby jeszcze z kredytem do spłacenia, uderzałby w wizerunek banków. KNF sugeruje więc bankom, aby nie tylko wprowadziły kredyty ze stałym oprocentowaniem, lecz także kredyty z opcją „klucz za dług" – w takich przypadkach kredytobiorca byłby zwolniony z zobowiązania wobec banku w przypadku przeniesienia na bank własności do nieruchomości. Jak działa taki mechanizm, widać na wielu amerykańskich filmach, których bohaterowie zmęczeni walką o finansowe przetrwanie oddają do banku klucz, pakują dobytek i próbują zacząć nowe życie.

W Polsce taka konstrukcja kredytu byłaby wybawieniem dla wielu kredytobiorców. Z opublikowanego w lutym 2019 r. raportu AMRON-SARFiN wynika bowiem, że na koniec 2017 r. ponad 130 tys. mieszkań i domów (6,5 proc. ogólnej liczby kredytów) było obciążonych kredytem przewyższającym ich wartość. Jeśli dojdzie do ich licytacji komorniczej, to pieniądze ze sprzedaży w pierwszej kolejności trafią do banku, ale kredytobiorca i tak zostanie z potężnym długiem.

Wprawdzie ceny nieruchomości mieszkaniowych w Polsce pod koniec ubiegłego roku zaczęły zbliżać się do stawek sprzed 10–12 lat, ale i tak z raportu AMRON-SARFiN wynika, że wartość mieszkań kupionych w pierwszym kwartale 2008 r. – stanowiących zabezpieczenie kredytu – jest wciąż o 7,5 proc. niższa niż 11 lat temu. Dopiero w ostatnim kwartale 2018 r. na minimalny plus (0,3 proc.) wyszły też nieruchomości stanowiące zabezpieczenie dla kredytów udzielonych w pierwszych kwartale 2009 r.

Wydaje się jednak, że do wprowadzenia zmian i zachęcenia bankierów do oferowania nowych produktów konieczne są działania instytucji państwowych. Nie tylko UOKiK oraz KNF, lecz także np. NBP. U naszych „bratanków" Narodowy Bank Węgier w celu popularyzacji kredytów hipotecznych o stałym oprocentowaniu wprowadził niestandardowe instrumenty polityki pieniężnej.

A co ma teraz zrobić Kowalski? Zaciągając kredyt, trzeba pamiętać, że wbrew marketingowym hasłom, które podkreślają „niski procent", wiara, że pieniądze zawsze będą tak tanie jak obecnie, jest niebezpiecznym złudzeniem. W przeciwnym razie – podobnie jak w czasach, gdy w sidła rynku wpadali frankowicze – niektórzy złotówkowicze, nie zważając na to, jak wielkim obciążeniem może być dla nich w przyszłości zbyt wysoki kredyt mieszkaniowy, mogą nieświadomie założyć sobie na szyję finansową pętlę. I dołączyć do grona sfrustrowanych frankowiczów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Skoro jest tak dobrze...

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak, jak jest? Skoro polska gospodarka ma się dziś tak wyśmienicie, znakomicie, wręcz cudownie – o czym zawzięcie przekonują nie tylko – co zrozumiałe – rządzący krajem politycy i ich akolici, lecz mówi o tym także tempo wzrostu PKB – a to już jest czynnik obiektywny, to dlaczego jest tak, jak jest? Czyli nawet nie tak, jak było, lecz gorzej? A więc wcale nie aż tak różowo? O czym świadczy inny obiektywny czynnik – udział inwestycji w PKB.

Otóż, co prawda, na koniec 2018 r. wskaźnik ten wzrósł do 18,2 proc., wobec naprawdę fatalnych 17,5 proc. w 2017 r., wszelako – na co uwagę zwróciła „Rzeczpospolita" – wzrost ten wziął się wyłącznie z przyspieszenia wydatków w sektorze publicznym – z 3,8 proc. PKB w roku 2017 do 4,7 proc. PKB w roku 2018. A wydatki publiczne w części samorządowej poszły w górę w 2018 r. – roku wyborów samorządowych – bo taka jest logika działania każdej władzy, w tym lokalnych, które w ten sposób zabiegają o reelekcję. Tymczasem udział inwestycji sektora prywatnego w polskim PKB w 2018 r. po raz kolejny spadł – i to do poziomu zaledwie 13,5 proc., a więc najniższego od 10 lat, czyli – warto dodać – od trudnych czasów pamiętnego gigantycznego kryzysu lat 2008–2009.

Spośród państw Unii Europejskiej gorzej niż w Polsce pod tym względem w ubiegłym roku było jedynie w Grecji (8,1 proc.) i w Luksemburgu (13,4 proc.). Natomiast na przykład w Czechach udział inwestycji sektora prywatnego w PKB sięgnął 22 proc., a w Irlandii – 22,9 proc.

A wracając do udziału inwestycji ogółem (publicznych i prywatnych) w PKB, to zgodnie z obietnicami liderów PiS z 2015 r., gdy wynosiły one 20 proc. PKB, miały one wzrosnąć do 25 proc. I należy zakładać, że gdy wypowiadano te słowa, ich autorom nie chodziło o to, by osiągnęły ten poziom w latach 2030 czy 2040; ba, padła wtedy nawet data – rok 2025. Ani tym bardziej nie chodziło im o to, by dokonało się to głównie czy wręcz wyłącznie za sprawą inwestycji państwowych i samorządowych, czyli publicznych – a nie prywatnych.

Czy rząd, z ochotą przekonujący, że robi wszystko, co w jego mocy, by przychylić przedsiębiorcom nieba, wie, dlaczego ci zachowują się w ten sposób? I jak zamierza to zmienić? Bo chyba zamierza? Jak chce ich skłonić do inwestowania, do rozwoju własnych firm?

Wszak na jednym silniku – konsumpcji, a bez drugiego – inwestycji – polska gospodarka ma naprawdę niewielkie szanse, by długo pędzić na tak wysokich obrotach jak obecnie.

A przecież wszyscy byśmy tego sobie życzyli. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Nowa ekonomia

Nasi przodkowie wynaleźli pieniądz, który pozwolił na przejście od gospodarki opartej na barterze (wymianie towar za towar) do gospodarki rynkowej, w której każdy towar i usługa mają swoją cenę wyrażoną w pieniądzu. Ta innowacja umożliwiła dynamiczny rozwój ekonomiczny i społeczny ludzkości, a jednocześnie doprowadziła do powstania kasty banksterów, którzy poprzez kredyty zaczęli kreować pieniądz z powietrza, a to doprowadziło do licznych patologii i kryzysów.

Obecnie obserwujemy finalne stadium społeczeństwa pekuniarnego (opartego na pieniądzu), które zostanie zastąpione innym mechanizmem regulującym produkcję oraz sprzedaż towarów i usług. Żeby to zrozumieć, wystarczy zauważyć, że gdy stopy procentowe są zerowe lub ujemne, można bardzo tanio pozyskać pieniądze na zakup towarów, usług lub aktywów finansowych. Taka sytuacja nie może trwać zbyt długo, bo kredyty rosną, ceny aktywów zabezpieczających te kredyty również, aż osiągają absurdalne poziomy i następuje katastrofa.

Od kolejnych katastrof ratują nas hiperaktywne banki centralne, które są chłopcami na posyłki banksterów. Jednak nieuchronnie zbliża się moment, w którym konieczna skala interwencji banków centralnych doprowadzi do zniszczenia społeczeństwa pekuniarnego. Tak czy inaczej, społeczeństwo postpekuniarne będzie potrzebowało nowego mechanizmu, który zastąpi pieniądz. W czasach sztucznej inteligencji i uczenia maszynowego takie mechanizmy są dostępne i prawdopodobnie zostaną wykorzystane, gdy już opadnie kurz po największym kryzysie finansowym w historii ludzkości.

Jak będzie wyglądało społeczeństwo postpekuniarne, w dużym uproszczeniu? Każde nowo narodzone dziecko będzie miało wszczepiony chip, na którym zostanie zapisana jego/jej wartość urodzeniowa (ang. value at birth). Ta wartość będzie zależała od atrybutów podczas urodzenia (np. Szwajcar otrzyma wielokrotnie więcej niż Kambodżanin; biały otrzyma więcej niż czarny; chłopiec więcej niż dziewczynka i setki innych), a te atrybuty zostaną policzone przez algorytmy uczenia maszynowego na podstawie analizy big data wszystkich ludzi na Ziemi. Potem, w trakcie życia, każda decyzja będzie zmieniała wartość człowieka, np. studia na pożądanym na rynku pracy kierunku ją powiększą, a powtarzanie klasy ją zmniejszą. A o ile, to precyzyjnie wyliczy sztuczna inteligencja.

Każda transakcja kupna i sprzedaży będzie wpływała na wartość człowieka, na przykład kupno domu może być dostępne tylko dla osób z wysoką wartością, ale może tę wartość zmniejszyć (gdy AI przewiduje spadek cen domów) lub zwiększyć (gdy AI przewiduje wzrost).

Na szczęście wartość urodzeniowa Polaków ostatnio szybko rośnie. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl ae45b5c7b4

Rozmowa z marszałkiem województwa śląskiego Jakubem Chełstowskim

Śląsk silną częścią gospodarki Polski

Śląsk był i jest silną częścią gospodarki Polski. Przemysł ciężki zostawił po sobie wiele obszarów go zagospodarowania. Chcemy być operatorem rewitalizacji terenów poprzemysłowych, aby nadać im nowe funkcje społeczne i gospodarcze. To będzie impuls do dalszego rozwoju regionu i kraju

Śląsk przez wiele lat był przedstawiany jako kraina dosyć smutna, ciężka, nieprzyjazna do życia. Dymiące kominy hut i kopalń, czarne powietrze, węgiel na każdym kroku.

Czy ja wyglądam na smutnego człowieka, niezadowolonego z miejsca, w którym żyję? Zapraszam na Śląsk. Do Parku Śląskiego, największego parku w Europie, mieszczącego się w centrum naszej aglomeracji. Każdego roku tę oazę zieleni odwiedza 3 mln mieszkańców. Zapraszam do Strefy Kultury w Katowicach, przestrzeni, która również jest unikatowym w skali kraju miejscem przyjaznym dla miłośników dobrej muzyki oraz sztuki. Takie zaproszenia mogę mnożyć. Województwo śląskie jest miejscem atrakcyjnym dla mieszkańców i gościnnym dla wszystkich odwiedzających. Oczywiście stereotypy, które przez wiele lat były utrwalane, są powielane do dziś, nad czym ubolewam. Śląsk to dziś region dynamicznych zmian gospodarczych. Otwarty i życzliwy wobec turystów. Warto skorzystać z bogatej oferty naszego województwa.

Województwo śląskie uczestniczy w europejskim programie Regiony Górnicze w Transformacji. Czyli coś jest na rzeczy, skoro Komisja Europejska objęła wasz region takim wsparciem.

Prawdą jest, że przez dziesiątki lat przemysł ciężki kształtował nasz region. Górnictwo i hutnictwo były branżami dominującymi. Zresztą wiele rodzin z całej Polski przenosiło się tu za chlebem. Jako syn górnika obserwowałem z bliska trud pracy pod ziemią i doskonale wiem, jaka to jest niebezpieczna praca. Górnictwo było i jest częścią naszego krajobrazu, tożsamości mieszkańców. Nasza tradycja i obyczaje były nierozerwalnie związane z górnictwem. Dzisiaj mamy efektywnie funkcjonujące kopalnie, które dają stabilne miejsca pracy. Górnictwo przyczynia się do zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego Polski. Mamy liczne przykłady nadania obszarom postindustrialnym nowych funkcji społecznych, edukacyjnych, kulturalnych czy turystycznych. Takim obiektem jest wspomniana już Strefa Kultury w Katowicach. W miejscu byłej kopalni Katowice powstał nowoczesny budynek Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i Muzeum Śląskiego. Z kolei w Zabrzu funkcjonuje unikatowy w Europie kompleks tras podziemnych w Kopalni Guido i Sztolni Królowa Luiza. Jest jeszcze sporo do zrobienia. Dlatego aktywnie uczestniczymy w pracach zespołów roboczych programu Regiony Górnicze w Transformacji przy Komisji Europejskiej. Przygotowaliśmy ambitne plany, aby to, co przemysł ciężki zostawił, przywrócić mieszkańcom i zaprezentować gościom. Zarząd województwa śląskiego przyjął plan działań transformacji regionu. Strefy innowacyjnej gospodarki, nowoczesny przemysł, nauka oparta na technologiach. To nasze wyzwania.

Przeszłości nie zmienimy. Możemy natomiast kształtować przyszłość. Jak ma wyglądać województwo śląskie w kolejnych dekadach? Czy przemysł energetyczny będzie wciąż ważną częścią gospodarki regionu?

W pracach Komisji Europejskiej wskazujemy, że jako największy region górniczy w UE mamy podstawy, aby otrzymać wsparcie na modernizację gospodarczą i rewitalizację społeczną. Szczególnie że skala wyzwań jest ogromna. Dlatego staramy się wypracować formułę porozumienia na rzecz operatora terenów poprzemysłowych w ramach platformy Regiony Górnicze w Transformacji. Działając w wymiarze regionalnym, moglibyśmy koordynować działania rewitalizacyjne, wspierane m.in. funduszami europejskimi, z Regionalnego Programu Operacyjnego i budżetu województwa śląskiego. Pozwoli nam to utrzymać tempo i poziom rozwoju gospodarczego. Dostosować się do zmian technologicznych i społecznych. Depopulacja, migracje oraz starzenie się społeczeństwa to wyzwania, które dotykają nie tylko naszego regionu. Dywersyfikacja gospodarcza, rozwój nowych branż czy

eprasa.pl ae45b5c7b4

innowacji dają szansę na konkurowanie z podobnymi regionami w Europie. Efektem przemysłowej działalności są problemy degradacji środowiska i zanieczyszczenia powietrza. W tym zakresie otrzymujemy cenne finansowe wsparcie ze strony rządu, z panem premierem Mateuszem Morawieckim na czele. W ramach Transformacji Regionów Górniczych powołaliśmy Zespół Regionalny z udziałem strony rządowej, samorządów gminnych, związków zawodowych, organizacji pozarządowych, nauki i biznesu. Prace zespołu cieszą się bardzo dużym zainteresowaniem. Otrzymaliśmy od naszych partnerów w regionie kilkadziesiąt propozycji projektów. Pracujemy nad ich wdrożeniem i znalezieniem źródeł finansowania. Wydaliśmy już 1,6 mld zł środków unijnych na wsparcie projektów związanych z transformacją społeczno-gospodarczą. Planujemy na te cele rozdysponować kolejne 463 mln zł. Uważamy to za dobry początek. Wspólnie z Komisją Europejską udało nam się przepracować 20 przedsięwzięć, w tym siedem projektów regionalnych. Ważne jest, że współpracujemy z Ministerstwem Energii oraz Ministerstwem Inwestycji i Rozwoju. To zapewnia większą spójność i koordynację działań. Warto również dodać, że konsekwentnie realizowany jest „Program dla Śląska". Nasz rząd zaangażował już 42 mld zł. To stanowi 76 proc. dostępnych środków z 55 mld zł zaplanowanych w programie. Spośród 85 głównych przedsięwzięć 46 jest już realizowanych. „Program dla Śląska" to kluczowy plan rozwoju naszego regionu i największy, który realizowany jest w kraju. Jako gospodarz regionu mogę z przekonaniem powiedzieć, że jego efekty są już widoczne.

Wspomniał pan marszałek o środowisku naturalnym i poprawie jakości powietrza. W ostatnich latach „smog" jest słowem, które rozpala emocje. Walka z niską emisją stała się bardzo ważna zarówno dla administracji rządowej, jak i samorządów oraz społeczników. Jak to wygląda w województwie śląskim?

Otrzymujemy ogromne wsparcie pana premiera Mateusza Morawieckiego i naszego rządu. Jesteśmy wdzięczni za to zaangażowanie. Regionalny Program Operacyjny, dedykowany walce z niską emisją, to kwota 3,5 mld zł. Są to środki przeznaczone między innymi na budowę centrów przesiadkowych czy rozwój transportu niskoemisyjnego. Zarząd województwa śląskiego wynegocjował dodatkowo od rządu 80 mln zł dla projektów związanych z budową i przebudową infrastruktury służącej do produkcji i dystrybucji energii ze źródeł odnawialnych. Wsparcie w tym zakresie trafi do 27 gmin. Poprzedni zarząd województwa na tak ważne i oczekiwane działanie zagwarantował środki raptem dla siedmiu gmin. Utrzymujemy stały kontakt z Ministerstwem Przedsiębiorczości i Rozwoju, Ministerstwem Inwestycji i Rozwoju oraz Pełnomocnikiem Premiera ds. Programu „Czyste Powietrze". Pod koniec czerwca br. jako pierwsze województwo w kraju podpisaliśmy porozumienie na realizację programu „Stop Smog". Ponosimy wysokie koszty społeczne i ekonomiczne związane z pogarszaniem się jakości życia, zdrowia i ze szkodliwością dla środowiska. Szansą powodzenia jest ścisłe powiązanie realizacji uchwał antysmogowych, programów finansowania poprawy jakości powietrza realizowanych na szczeblu gmin, województw i centralnym. Ważne jest to, że dzięki rządowemu programowi „Stop Smog" w szczególności do gmin województwa śląskiego, znajdujących się na listach najbardziej zanieczyszczonych miast UE, trafią znaczne środki z budżetu państwa. Porozumienie jest odpowiedzią na problem, który wielokrotnie sygnalizowały Najwyższa Izba Kontroli czy Bank Światowy. Instytucje te w swoich raportach wskazywały, że walkę ze smogiem w Polsce utrudniają m.in. brak koordynacji działań administracji publicznej i rozproszenie środków wydawanych na ten cel. Dzięki porozumieniu gminy z województwa śląskiego będą mogły w olbrzymiej części ze środków zewnętrznych – znajdujących się w Funduszu Termomodernizacji i Remontów oraz w Regionalnym Programie Operacyjnym dla Śląska na lata 2014–2020 – finansować poprawę efektywności energetycznej domów jednorodzinnych i wymianę przestarzałych urządzeń grzewczych osób dotkniętych ubóstwem energetycznym.

Ślązacy wiedzą, co to trudna praca. Potrafią też kultywować pamięć o bohaterach walczących o polskość Śląska. Rok 2019 to rok szczególny. Już za kilka dni będziemy obchodzić 100. rocznicę wybuchu I powstania śląskiego.

Przypomnę, że Sejm RP ustanowił ten rok Rokiem Powstań Śląskich. Z kolei Sejmik Województwa Śląskiego podjął uchwałę, że rok 2019 jest Rokiem Stulecia Wybuchu I Powstania Śląskiego. Realizujemy wiele inicjatyw, konferencji, konkursów, pikników, aby upowszechniać wiedzę o tym, że korzystamy ze swobód, o które nasi przodkowie walczyli, oddając życie za Polskę. Na zaproszenie pana prezydenta Andrzeja Dudy w pałacu prezydenckim zorganizowane zostało spotkanie poświęcone tym wydarzeniom. Para prezydencka spotkała się z delegacjami mieszkańców województwa śląskiego, aby wspólnie oddać hołd bohaterom. Już za kilka dni, 15 sierpnia, w Katowicach odbędzie się kolejne wielkie wydarzenie – defilada z okazji Święta Wojska Polskiego „Wierni Polsce" w stulecie powstań śląskich. Dziękuję za tę inicjatywę panu Mariuszowi Błaszczakowi, ministrowi obrony narodowej. Jestem przekonany, że ta defilada przejdzie do historii regionu, i chcemy, by świętowali z nami nasi mieszkańcy, dlatego zdecydowaliśmy, że tego dnia Koleje Śląskie przewiozą ich z różnych części województwa za darmo, byśmy mogli bezpiecznie i ekologicznie dotrzeć do Katowic oraz uczestniczyć w tym wspólnym święcie. Zapraszam również gości z całego kraju. Może to być okazja, aby na własne oczy się przekonać, jak otwarte i życzliwe dla odwiedzających jest nasze województwo.

Ponad 2,6 tys. żołnierzy, 27 pododdziałów kompanii reprezentacyjnych, nowoczesny sprzęt wojskowy i 60 statków powietrznych. Zapowiedź defilady robi wrażenie. Jakie jeszcze przygotowaliście wydarzenia z okazji powstań śląskich?

Tak jak wspomniałem, inicjatyw jest bardzo wiele. Uruchomiliśmy stronę internetową, na której zamieszczane są informacje o poszczególnych przedsięwzięciach. W szczególny sposób zaproszę na jedno wydarzenie kulturalne. 31 sierpnia na Stadionie Śląskim będzie można zobaczyć muzyczne widowisko multimedialne pt. „Rapsodia Śląska". Usłyszymy premierowy utwór laureata Oscara Jana A.P. Kaczmarka, skomponowany specjalnie na tę rocznicę. Wystąpią tacy artyści jak Brodka, Grubson, Miuosh, IGO, Marcin Wyrostek, Janusz Wawrowski, Orkiestra i Chór Filharmonii Śląskiej, Zespół Pieśni i Tańca Śląsk. „Rapsodia Śląska" to wyjątkowe wydarzenie, które połączy muzykę symfoniczną i rozrywkową z efektami wizualnymi, inspirowanymi powstaniami śląskimi. Już dziś serdecznie na to wydarzenie zapraszam Redakcję oraz Czytelników.

eprasa.pl ae45b5c7b4

Kąpiel bez ryzyka

FOT. ADOBE STOCK

Wielu z nas nie wyobraża sobie wakacji bez kąpieli w morzu, jeziorze, stawie, rzece czy zalewie. Jak bezpiecznie wypoczywać nad wodą? Co robić, gdy ktoś się topi?

Od początku kwietnia tego roku utonęły już ponad 233 osoby – podało pod koniec lipca Rządowe Centrum Bezpieczeństwa. Najtragiczniejszy był czerwiec, gdy życie pod wodą straciło aż 113 osób. Wśród najczęstszych przyczyn utonięć wymienia się: alkohol, kąpiel w miejscu niestrzeżonym oraz brak ostrożności podczas przebywania nad wodą.

NIEBEZPIECZNE RZEKI I JEZIORA

W ciągu całego roku 2018 utonęło 545 osób. W wodzie ginęli zwłaszcza mężczyźni, którzy stanowią zdecydowaną większość wszystkich ofiar utonięć. Życie najczęściej traciły osoby w wieku od 19 do 50 lat oraz ponad 50-letnie. Najmniej ofiar było wśród dzieci i młodzieży. Najbardziej niebezpieczny był według statystyk wypadków śmiertelnych wypoczynek nad rzekami (133 ofiary – 24 proc.) oraz nad jeziorami, w których utonęły 124 osoby (23 proc.). Najniższy udział w czarnych statystykach mają z kolei tragiczne wypadki na zalewach i nad morzem (po ok. 7 proc.).

Czym się kierować, wybierając bezpieczne miejsce do kąpieli? Po pierwsze, pod żadnym pozorem nie wolno wchodzić do wody w miejscach, w których jest to zabronione (informują o tym odpowiednie znaki i tablice). Warto także postawić na kąpielisko, na którym dyżurują odpowiednio przeszkoleni ratownicy WOPR. Z policyjnych statystyk wynika bowiem, że najczęstszą okolicznością wypadków utonięcia była w ubiegłym roku kąpiel w miejscu niezabronionym, ale nie strzeżonym (80 utonięć). W miejscach zabronionych kąpały się 64 ofiary śmiertelne wypadków, a nieostrożność podczas przebywania nad wodą stwierdzono w 44 przypadkach utonięć.

Wyjątkową ostrożność trzeba zachować podczas kąpieli w rzekach. To najbardziej nieprzewidywalne akweny ze względu na silny nurt, ryzyko występowania niestabilnego dna i zawirowań wody. Dobrze jest zawsze korzystać ze sprawdzonych wcześniej kąpielisk, których warunki i ukształtowanie są nam znane i w których widoczne jest dno. Nie wolno pływać na odcinkach szlaków żeglugowych oraz w pobliżu urządzeń i budowli wodnych (falochronów, mostów, zapór, portów itp.).

Istotnym warunkiem nie tylko bezpiecznego, lecz także przyjemnego wypoczynku jest czystość wody. Parametr ten kontrolowany jest na zarejestrowanych kąpieliskach w trakcie sezonu przez organy inspekcji sanitarnej. Przydatnym narzędziem stworzonym przez Główny Inspektorat Sanitarny może być strona internetowa Serwisu Kąpieliskowego, gdzie znaleźć można informacje o bezpiecznych, przeznaczonych do kąpieli akwenach, jak również komunikaty

eprasa.pl ae45b5c7b4

związane z wszelkimi zagrożeniami, takimi jak na przykład dotkliwy w ostatnim czasie dla nadmorskich plażowiczów zakwit sinic.

Z pomocą urlopowiczom przychodzą także takie aplikacje na smartfony jak np. Bezpieczne Kąpieliska (dostępna bezpłatnie dla użytkowników urządzeń z oprogramowaniem iOS i Android). Umożliwia ona między innymi znalezienie bezpiecznego kąpieliska na obszarze całej Polski, zapoznanie się z danymi o jakości wody, aktualnej pogodzie, temperaturze wody, sile wiatru, a także dostępnej na miejscu infrastrukturze czy też obecności ratownika.

NIEZBĘDNIK PLAŻOWICZA

Rozsądek i ostrożność warto zachować nie tylko w wodzie, lecz także na plaży. Nieroztropne korzystanie z promieni słonecznych wiąże się bowiem z ryzykiem dla zdrowia, w tym związanym z zachorowaniem na nowotwór skóry czy z bolesnymi poparzeniami.

Aby się przed nimi uchronić, należy przestrzegać kilku prostych zasad. Lekarze ostrzegają przed wystawianiem ciała na ekspozycję słońca w czasie, w którym szkodliwe promieniowanie UV jest najbardziej intensywne, czyli w godz. 11–15. Niezależnie od pory dnia starajmy się zabezpieczyć przed promieniowaniem – zarówno poprzez przebywanie w cieniu, jak i zakrywanie wrażliwych części ciała oraz stosowanie kosmetyków z filtrami w myśl reguły – im wyższe, tym lepsze. Krem z filtrem powinien być dobrany do typu skóry (np. dzieci oraz osoby o bardzo jasnej karnacji stosują mocne filtry o wartości nie niższej niż 50) i najlepiej, aby był wodoodporny.

Trzeba pamiętać, aby specyfik nakładać kilka razy w ciągu dnia, w tym obowiązkowo przed wyjściem na słońce i po każdej kąpieli oraz po każdym wytarciu ręcznikiem. Filtry przydadzą się nawet przy nieco zachmurzonym niebie oraz podczas leżakowania w cieniu, bo chmury nie zatrzymują całkowicie promieniowania, a promienie odbite od powierzchni piasku czy wody mogą być równie silne. Warto przy tym podkreślić, że szczególna ostrożność lub wręcz unikanie kąpieli słonecznych zalecane są osobom przyjmującym niektóre leki, w tym antydepresyjne, niektóre leki antykoncepcyjne, przeciwcukrzycowe lub spożywającym zioła, takie jak na przykład dziurawiec czy melisa. Część składników zawartych w lekach i ziołach ma właściwości fotouczulające, przez co zwiększają one ryzyko poparzeń słonecznych.

Korzystając z uroków wakacji, koniecznie pamiętajmy też o odpowiednim nakryciu głowy. Jego brak może mieć dla nas fatalne skutki, a w skrajnych przypadkach – przy wysokiej i długotrwałej ekspozycji na słońce – zakończyć się nawet groźnym dla życia udarem słonecznym. Najlepszym wyborem będzie szeroki, wykonany z oddychających materiałów kapelusz, który zakryje uszy i kark, a także, w połączeniu z obowiązkowymi okularami przeciwsłonecznymi, będzie stanowił ochronę dla oczu.

Ważne dla osób przebywających na kąpieliskach z małymi dziećmi jest zabranie ze sobą parasola lub innej formy zasłony, która zapewni zacienione miejsce dla naszych pociech. W takim przypadku równie nieodzownym – choć dla wielu osób w naszym kraju dyskusyjnym ze względu na liczne formy i cele wykorzystania – elementem wyposażenia torby plażowej jest parawan. Ustawiony od strony wiejącego wiatru pomaga on uchronić się przed wychłodzeniem w wietrzne dni.

Aby zapobiec ewentualnemu wychłodzeniu, trzeba także pamiętać o zabraniu ze sobą suchych ubrań, w które należy się przebrać po wyjściu z wody, szczególnie kiedy wieje silny wiatr. Na plażę warto zabrać na wszelki wypadek także podręczną apteczkę, a w niej plastry wodoodporne, opatrunki z gazy wyjałowionej czy krem łagodzący oparzenia słoneczne.

Podstawową zasadą obowiązującą szczególnie w gorące i słoneczne dni jest odpowiednie nawodnienie organizmu. Dbajmy więc o to, aby mieć ze sobą spory zapas wody, której częste i systematyczne spożywanie w niewielkich ilościach zapewni prawidłowy poziom ważnych dla zdrowia elektrolitów. W dni, w których przebywamy na słońcu, powinniśmy wypijać nawet o 1–2 l wody więcej niż zazwyczaj. Zachwianie równowagi wodno-elektrolitowej organizmu jest szczególnie groźne dla dzieci i osób starszych – może doprowadzić m.in. do zaburzenia rytmu serca, utraty przytomności, drżenia mięśni i obrzęków.

BEZPIECZNI W WODZIE

Decydując się na wypoczynek na jednym z kąpielisk, należy przestrzegać kilku reguł bezpieczeństwa. Przede wszystkim nie wchodzimy do głębokiej wody, jeśli nie umiemy pływać. Woda sięgająca poniżej klatki piersiowej w akwenie o znanej strukturze, bez wysokich fal, prądów czy nurtu, to maksymalna głębokość dla osób nieczujących się pewnie w wodzie.

Jednocześnie trzeba pamiętać o podstawowej i nagłaśnianej co roku przez policję i wszelkie służby ratunkowe zasadzie mówiącej o trzymaniu się z dala od wody po wypiciu wysokoprocentowych trunków. W 2018 r. alkohol – którego spożycie prowadzi m.in. do zaburzeń równowagi i orientacji, a także znacznie szybszej utraty ciepłoty ciała – policyjne statystyki wskazały jako przyczynę utonięć aż 126 osób.

Nawet będąc dobrymi pływakami, nie powinniśmy wchodzić do wody tuż po zjedzeniu obfitego posiłku. Należy odczekać co najmniej 40 minut, co pozwoli zminimalizować ryzyko nagłego ataku bólu brzucha i innych dolegliwości, które w wodzie mogą być bardzo niebezpieczne. Nie wolno także pływać na czczo, gdyż wzmożona w tym czasie przemiana materii osłabia organizm, co w skrajnych przypadkach grozi utratą przytomności.

Do wody nie wchodzimy od razu także po dłuższym leżeniu na słońcu. Najpierw stopniowo zmoczmy ciało, aby uniknąć szoku termicznego. Przed każdym wejściem do wody zróbmy także dłońmi szybki masaż ciała, żeby pobudzić krążenie.

Samodzielnie do wody nie powinny wchodzić osoby przeziębione i osłabione czy chore, np. na padaczkę. Warto też sprawdzić temperaturę wody i zrezygnować z kąpieli, gdy woda jest chłodniejsza niż 14 st. C. Ratownicy podkreślają, że optymalna temperatura do kąpieli to 22–25 st. C. Pływać nie powinniśmy podczas mgły, silnego wiatru, a także po zmroku – słaba widoczność może bowiem negatywnie wpłynąć na ocenę odległości do brzegu oraz znacząco utrudnić ewentualną akcję ratunkową. Kąpiel należy zakończyć również po pierwszych sygnałach nadchodzącej burzy, gdyż uderzenie pioruna w taflę wody grozi porażeniem prądem.

Odpoczywając na strzeżonym kąpielisku, przed wejściem do wody powinniśmy upewnić się, że na maszcie powiewa biała flaga. Oznacza ona dyżur czuwającego ratownika i pozwala na bezpieczną kąpiel. Czerwona flaga to sygnał, że w danym momencie bezwzględnie nie wolno nie tylko się kąpać, lecz także nawet wchodzić do wody – panujące warunki mogą bowiem prowadzić do wypadku lub utrudniać niesienie pomocy w wodzie. Natomiast brak flagi oznacza, że w danej chwili ratownicy nie sprawują nadzoru nad kąpieliskiem.

eprasa.pl ae45b5c7b4

Toną głównie mężczyźni, którzy stanowią aż **89% wszystkich ofiar utonięć**. W 2018 roku na terenie Polski **utonęło 545 osób**, w tym 77 kobiet.

Najczęstsze okoliczności wypadków utonięcia (liczba osób, które utonęły):

- alkohol jako przyczyna utonięcia – **126 osób**.
- kąpiel w miejscu niestrzeżonym, lecz niezabronionym – **80 osób**.
- kąpiel w miejscu zabronionym – **64 osób**.
- nieostrożność podczas przebywania nad wodą – **44 osób**.
- nieostrożność w czasie łowienia ryb – **29 osób**.

Bezpieczne wakacje z PZU

Należy unikać skoków do wody w niesprawdzonym wcześniej akwenie oraz w sytuacji, kiedy dno nie jest widoczne. Skrajną lekkomyślnością są skoki „na główkę" we wszelkich miejscach poza pływalniami, które są do tego przystosowane, i akwenami wyposażonymi w specjalnie stworzone do tego celu stanowiska. Nawet w sprawdzonym wcześniej miejscu skok na główkę może się skończyć urazem kręgosłupa i kalectwem na całe życie.

CZUJNE OKO RODZICA

Obecność ratownika nie zwalnia opiekunów z obowiązku pilnowania dziecka. Zanim wpuścimy podopiecznego do wody, sami sprawdźmy, czy głębokość i temperatura wody są odpowiednie, a na dnie nie ma ostrych przedmiotów, muszli czy nagłych zagłębień. Do wody pociecha może wchodzić tylko pod naszym bezpośrednim nadzorem. Oznacza to, że zamiast obserwować malucha z pozycji plażowego ręcznika, towarzyszymy w wodzie nawet potrafiącemu pływać dziecku. Starajmy się być na wyciągnięcie ręki, aby w razie potrzeby błyskawicznie zareagować. Pływajmy razem ze starszym dzieckiem, a pilnując kąpiącego się malucha, stańmy twarzą do plaży po stronie, z której woda jest głębsza, odgradzając go tym samym od otwartego morza, by móc zapobiec jego oddaleniu się w niebezpieczne miejsce. Każda chwila nieuwagi może mieć fatalne skutki, bo nawet jedno zachłyśnięcie może się skończyć utonięciem.

Czujny wzrok i kontrola ze strony rodziców to podstawowe elementy dbałości o bezpieczeństwo dziecka. Nic nie zastąpi ich także wtedy, kiedy pilnujemy, aby dziecko nie zgubiło się na plaży. Dodatkową formą pomocy mogą być syntetyczne opaski ID z zapisanymi na nich numerami telefonów do mamy i taty, zakładane na rękę malucha. Dzięki takiemu rozwiązaniu osoba, która spotka błąkające się po plaży dziecko, może powiadomić rodziców o odnalezieniu zguby.

Przydatna może być także „opaska niezgubka". Przypominająca mały zegarek wodoodporna opaska noszona na ręku dziecka zsynchronizowana jest z aplikacją w telefonie rodziców i pozwala na wskazanie aktualnego miejsca przebywania pociechy. W aplikacji można również określić dystans, na jaki może oddalić się od nas dziecko. Jeśli maluch znajdzie się poza tą strefą, to aplikacja automatycznie zaalarmuje o tym rodzica.

ZAWSZE W KAMIZELCE

Decydując się na wypożyczenie sprzętu wodnego, takiego jak kajak, rower wodny lub skuter, zawsze przed wypłynięciem sprawdźmy, w jakim jest stanie. Płynąc natomiast, zachowajmy szczególną ostrożność w pobliżu osób pływających, statków i motorówek, a także wszelkich budowli, takich jak zapory, śluzy wodne i mosty. Zwłaszcza poruszając się skuterem wodnym, pamiętajmy, że taki sprzęt nie ma hamulca, a jego droga hamowania w przypadku większych prędkości może wydłużyć się nawet do 100 metrów. Groźną w skutkach wywrotką mogą się również zakończyć próba wstawania w kajaku, skakanie z niego, a także siadanie na rufie kajaka lub na burcie łodzi. Przy wynajmie sprzętu należy żądać kamizelki ratunkowej lub asekuracyjnej i używać jej bezwzględnie w przypadku każdej osoby na pokładzie.

NA RATUNEK

W razie utraty siły w wodzie lub nagłego skurczu należy postarać się rozluźnić i odpocząć, najlepiej pływając płasko na powierzchni wody. Jeśli utrzymujemy pozycję pionową, to nie wolno wyciągać obu rąk do góry, gdyż błyskawicznie znajdziemy się pod wodą. Wezwanie pomocy podczas pływania polega na uderzaniu jedną ręką o lustro wody. Trzeba przy tym jednocześnie wołać o pomoc.

Jeśli dostrzeżemy osobę tonącą, to trzeba natychmiast wezwać ratownika, a jeśli nie ma go w pobliżu, to zadzwonić pod numer alarmowy 112. Samodzielne podjęcie akcji ratunkowej jest niebezpieczne, bo topiący się może wciągnąć nas pod wodę. Eksperci ostrzegają nawet przed próbami podania takiej osobie ręki, o ile nie jest się doświadczonym ratownikiem. Najlepiej rozejrzeć się dookoła i sprawdzić, czy w pobliżu nie ma łódki lub koła ratunkowego. Można też próbować podać tonącemu wiosło, kij, zawiązany pojemnik na śmieci lub cokolwiek, co umożliwi utrzymanie się na powierzchni.

Jeśli uda nam się tonącego wydobyć na brzeg, to należy go uspokoić i położyć w pozycji bocznej, bezpiecznej. Poszkodowanego okrywamy np. ręcznikami, ubraniami i osłaniamy od ostrego słońca czy silnego wiatru.

Jeżeli topielec jest nieprzytomny, to najpierw należy wezwać pogotowie. Jeśli tonący nie oddycha, to po ułożeniu na brzegu trzeba rozpocząć resuscytację krążeniowo-oddechową. Drogi oddechowe należy udrożnić poprzez wysunięcie (uniesienie) żuchwy do przodu lub pociągnięcie żuchwy za zęby do przodu. Resuscytację w standardowym rytmie 30 uciśnięć środkowej części mostka na głębokość 4–5 cm, z szybkością ok. 100 razy na minutę, na przemian z dwoma oddechami ratowniczymi można przerwać dopiero po przybyciu karetki – znane są bowiem przypadki uratowania ofiary nawet po kilkudziesięciu minutach, zwłaszcza po tonięciu w bardzo zimnej wodzie.

Dodatek sfinansowano z funduszu prewencyjnego

Z myślą o bezpieczeństwie

eprasa.pl ae45b5c7b4

TEST „DO RZECZY": DELL LATITUDE 7400

Wysoka wydajność, fenomenalna bateria, świetna klawiatura, dotykowy ekran oraz smukły, nowoczesny wygląd – to największe zalety biznesowego konwertowalnego ultrabooka firmy Dell.

Na pierwszy rzut oka dobre wrażenie robią solidna obudowa wykończona aluminium oraz niemal bezramkowy, dotykowy wyświetlacz Full HD o wielkości 14 cali. Na pochwałę zasługują również świetna klawiatura oraz touchpad. A ponieważ model 7400 to urządzenie typu dwa w jednym, z łatwością można przemienić go w tablet (wówczas do robienia notatek czy szkiców przydać się może opcjonalny elektroniczny rysik).

Po stronie plusów wpisać można też liczbę portów: w laptopie znajdziemy zarówno wejście na tradycyjne USB, jak i dwa nowoczesne porty typu C oraz port HDMI.

Sercem urządzenia jest wydajny procesor Intel Core i7-8665U, wspomagany przez 16 GB pamięci RAM oraz dysk SSD. Trzeba jednak pamiętać, że jest to typowy laptop biznesowy, a nie urządzenie przeznaczone do profesjonalnej obróbki grafiki czy wideo. Po stronie plusów trzeba też zapisać baterię, dzięki której testowany laptop na jednym ładowaniu może pracować nawet przez ok. 18 godzin.

Ciekawym dodatkiem jest również Dell ExpressSign-in, który działa w połączeniu z funkcją Windows Hello. Specjalny czujnik zbliżeniowy wykrywa naszą obecność – jeżeli więc wychodzimy na spotkanie, to żaden z biurowych kolegów nie może odczytać zachowanej na pulpicie listy płac ani dokonać złośliwego wpisu na Facebooku. Gdy wracamy, komputer wyczuwa, że zbliżamy się do klawiatury, i od razu wznawia działanie systemu. Nie trzeba wpisywać hasła – kamera na podczerwień rozpoznaje bowiem użytkownika i automatycznie loguje go w systemie. Bez naciskania jakichkolwiek przycisków. Okularnicy przyzwyczajeni do technologii rozpoznawania twarzy np. w iPhone'ach będą jednak rozczarowani – wystarczy bowiem zamiast szkieł kontaktowych założyć okulary i komputer głupieje, żądając podania hasła. Podobne trudności ma wówczas, gdy przed ekranem usiądziemy w słuchawkach.

A skoro już się czepiam, to w sprzęcie za takie pieniądze lepsze powinny być zarówno głośniki (brakuje w nich solidnych basów, co przeszkadzać może nie tylko w słuchaniu muzyki, lecz także nawet w prowadzeniu wideokonferencji), jak i kamerka internetowa. Brakuje także przesuwanej osłonki, aby w trosce o prywatność móc fizycznie zasłonić kamerkę. Większa mogłaby też być maksymalna jasność ekranu.

Mimo tych minusów Dell Latitude 7400 to jedno z najlepszych biznesowych urządzeń typu dwa w jednym dostępnych obecnie na rynku. Niestety, cena tego modelu jest koszmarnie wysoka i wynosi aż 8,8 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

WALKMAN WRACA

W dawnych czasach ludzie nie tylko – jak twierdziła była premier Ewa Kopacz – rzucali kamieniami w dinozaury, lecz także w wolnych chwilach od rzucania słuchali muzyki. Jak to ludy prymitywne – oczywiście z kaset, z których wywlekały się taśmy, plątały się i darły. Żarty żartami, ale kto pamiętający lata 80. nie wspomina z łezką rozrzewnienia w oku kaset „stilonek" i nagrywanych na nich: C.C. Catch, Vanessy Paradis czy Depeche Mode? Uwaga, kto pogrzebał definitywnie kasety i przenośne odtwarzacze kasetowe, ten może być w lekkim szoku. Walkman wraca. Tym razem nazywa się IT'S OK i jest pierwszym na świecie stuningowanym przenośnym odtwarzaczem kasetowym uzbrojonym w Bluetooth 5.0.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Co to daje? Otóż, jak przekonuje producent, urządzenie nie tylko obsługuje tradycyjne słuchawki 3,5 mm, lecz także jest kompatybilne ze słuchawkami lub z głośnikami Bluetooth 5.0, co pozwala za pomocą przekaźnika słuchać muzyki z „walkmana" naraz kilku osobom. Funkcja nagrywania pozwala na wykorzystanie taśm kasetowych do nagrywania wiadomości głosowych, a każdy IT'S OK jest dostarczany z kasetą z pustą taśmą.

Cena urządzenia: ok. 300 zł. Można zamawiać na Kickstarterze, dostawa w grudniu.

TŁUSZCZ NIETWARZOWY

Można „zamrozić" tłuszcz na twarzy, dając jej optyczny efekt wyszczuplenia, poprawiając zarazem jakość cery i jej wygląd? Producent Fat Freezer Face twierdzi, że tak. Gadżet ma być pierwszym na rynku domowym urządzeniem do „rzeźbienia twarzy", które wykorzystuje technologię kriolipolizy tłuszczu. Urządzenie działa podobnie jak maszynka do golenia, z tą różnicą, że zamiast ciąć ostrzami zarost, emituje promieniowanie zamrażające tkankę tłuszczową. Przynajmniej na trochę.

Cena takiej przyjemności? Gadżet kosztuje ok. 380 zł i zamawiać go można na portalu Indiegogo. Dostawa w październiku. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl ae45b5c7b4

WAKACYJNY CYKL DO RZECZY WINO

Skromny renesans

Tomasz Kaźmierowski

Trwa renesans polskiego wina, nawet jeśli dziś jeszcze daje on bardzo skromne owoce

Historia winiarstwa w Polsce ma zapewne blisko dziewięciu stuleci, ale wiedza o niej jest dziś znacznie mniej powszechna niż – zachowując wszelkie proporcje – za królowej Jadwigi. Nie ulega wątpliwości, że w Gieczu, Gnieźnie i Poznaniu, podobnie jak w nowszych grodach rozrastającego się państwa, rządziły miody i piwo. Kościół jednak potrzebował wina do celów liturgicznych, a jego import nie był wówczas szczególnie opłacalnym przedsięwzięciem. Prawdopodobnie pierwszym winiarskim inwestorem został w 1166 r. książę Henryk Sandomierski, syn Krzywoustego. Najprawdopodobniej dzięki kontaktom zadzierzgniętym w Królestwie Jerozolimskim sprowadził on zakon joannitów do małopolskiej Zagości nad Nidą i… nadał mu winnicę.

Mniej więcej w tym samym czasie winorośl pojawiła się za sprawą osadników z Flandrii w okolicach Zielonej Góry, zatem na terenach, które w późnym średniowieczu weszły na kilka stuleci w skład Cesarstwa Niemieckiego, a właścicielami winnic były głównie niemieckie szlachta i mieszczaństwo. Być może właśnie w tych okolicach winnice istniały – wziąwszy pod uwagę tereny dzisiejszej Polski – najdłużej, a najprawdopodobniej wręcz nieprzerwanie od XIII w. Położenie Zielonej Góry na nasłonecznionych wzgórzach i wyjątkowo jak na tę szerokość geograficzną sprzyjający klimat pozwoliły na rozwój tych bodaj najdalej na północ w Europie wysuniętych winnic. Winnice powstawały jednak także w Małopolsce, Wielkopolsce i w piastowskich księstwach śląskich, a ich areał, głównie za sprawą duchowieństwa i mieszczan, osiągnął apogeum w XIV w. Największe obroty w handlu winem osiągały wtedy Kraków, Poznań, Sandomierz i Lwów.

Tak zwana mała epoka lodowa, która ochłodziła klimat w Europie w okresie od XVI do XIX w., doprowadziła jednak do niemal zupełnego upadku polskiego winiarstwa. Rosnące zapotrzebowanie na wino zaspakajały trunki z Mołdawii, Włoch, Francji, wina reńskie, a ponad wszystko – słynne węgrzyny, z rex vinorum, tokajem, na czele.

Za sprawą epidemii filoksery w XIX w. nawet winnice Dolnego Śląska znalazły się na krawędzi, ale szybko się odrodziły. W ostatnich dziesięcioleciach XIX w. nadodrzański pas od Zielonej Góry do Gubina, z blisko pół tysiącem hektarów upraw, stał się ważnym regionem winiarskim w skali Rzeszy, gdzie przecież rozwijały się tak świetne apelacje, jak Mozela, Palatynat, Hesja Reńska, Rheingau czy Frankonia. Swoją wytwórnię win musujących (stosującą metodę szampańską) miał nawet dom Gremplera.

W II Rzeczypospolitej winiarze z zaskakującą energią rozwijali uprawę w Wielkopolsce, nad Pilicą, a przede wszystkim na „Ciepłym Podolu" i „Ciepłym Pokuciu", w pięknych dolinach Dniestru i Zbrucza, uprawiając wiele szlachetnych szczepów, w tym pinot noir, riesling, pinot blanc, muscat ottonel, traminer, chasselas, perle de csaba. Ob-

eprasa.pl ae45b5c7b4

FOT. WINNICA SŁOŃCE I WIATR

szar nowych nasadzeń osiągnął 600 ha i rósł coraz szybciej. W samym powiecie zaleszczyckim w 1938 r. było ich ponad 100 ha i przybywało po 20–40 rocznie, głównie dzięki rodzinom Czarkowskich-Golejewskich, Wartanowiczów, Heydlów, Turanu, Głażewskich, Zarugiewiczów i… wileńskiej kurii biskupiej, inwestującej na poważnie w podolskie winiarstwo.

Druga wojna i komunizm zniszczyły doszczętnie tę odradzającą się polską tradycję winiarską.

DYLEMATY I BARIERY

Skromne wciąż odrodzenie winiarstwa po 1989 r. (areał upraw przekroczył niedawno przedwojenny terminus: 600 ha) stoi przed wieloma dylematami i barierami, od prawno-administracyjnych począwszy. Winiarze zakładający nowe winnice stają też przed dylematem – szlachetne szczepy vitis vinifera (najczęściej to riesling, chardonnay, pinot gris, sylvaner, johanniter, gewürztraminer) czy odporniejsze na nasz klimat „mieszańce", takie jak jutrzenka, odeski muskat, hibernal, seyval i solaris wśród białych oraz regent, rondo czy maréchal foch wśród czerwonych, jak zaproponował pionier w tej dziedzinie, Roman Myśliwiec z Jasła, jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku. Tylko te dwa wyzwania wystarczą, by porządnie przemyśleć zanurzenie się w winiarską przygodę. A przecież na winiarzy czyhają zawiłe przepisy dotyczące legalnej sprzedaży wina, biurokratyczne wymogi ewidencyjne i zgłoszeniowe.

Wreszcie finanse. Polski klient nie wie – i, rzecz jasna, nie musi o to dbać – że koszt wytworzenia wina w małej rodzinnej winnicy jest drastycznie wyższy niż w kilkusethektarowym molochu z Australii lub Chile. Odwrotnie jest z kolei z zakupem butelek, etykiet i korków. Ekonomia skali i siła wielkich dystrybutorów oraz importerów nie biorą jeńców.

Zamiast sucho opowiadać o tendencjach i liczbach, postanowiłem przybliżyć państwu historię jednego z moich ulubionych wytwórców, jurajskiej winnicy Słońce i Wiatr, która w jakimś stopniu ilustruje perypetie, wyzwania i wybory polskich winiarzy.

Katarzyna i Jacek Fluderowie przez kilkanaście lat wspinali się wyczynowo na małe i wielkie góry. Prowadzili wówczas sieć sklepów z odzieżą sportową i wytwórnię ekwipunku alpinistycznego. Kiedy pojawiły się dzieci, zmienili w życiu wiele, może więcej, niż początkowo sądzili. Dziewięć lat temu założyli swoją pierwszą, 40-arową winnicę nieopodal Smardzowic, u wrót Ojcowskiego Parku Narodowego.

Słyszałem skądinąd, że Jacek, sam szczęśliwy pracoholik, posadził pierwszych 800 krzewów winorośli z myślą o tym, „żeby Kasia nie zanudziła się w domu z trojgiem małych dzieci". Najpewniej nie miał wówczas świadomości zarówno tego, ile pracy pochłonie młoda winnica, jak i poczucia harmonii, które da im praca w winnicy.

Po kilku latach porażek, sukcesów, dywagacji, ewoluowania ról (Kasia – winemaker, Jacek – uprawa) i zmian, słowem – doświadczeń, poczuli, że czas na poszerzenie areału. W wyniku długich poszukiwań ci już bardziej wymagający pionierzy zdecydowali się na dwie podkrakowskie parcele, jedną w Szczodrkowicach, a drugą w Iwanowicach, w dolinie Dłubni. Wreszcie, tuż przy ich domu w Świńczowie, pojawił się zgrabny budynek winiarni z pomieszczeniami do produkcji i salką degustacyjną. Nazwę przedsięwzięcia wymyśliło drugie pokolenie świńczowskich winiarzy – dzieci Jacka i Kasi – dzięki czemu mogli pięć lat temu rozpocząć etykietowanie pierwszych butelek. Pomimo trudnego rocznika 2014 ich pierwsze wina zdobyły bardzo pochlebne opinie fachowców.

TRUNEK NA MIEJSCU

W przeciwieństwie do niektórych, bardziej okrzepłych wytwórców, celujących swoimi winami w wysokomarżową gastronomię Warszawy i innych większych miast, jako jedni z pierwszych zaczęli regularnie sprzedawać swoje wina dosłownie na miejscu, w sąsiedztwie siedlisk – w pobliskim Ojcowie, i to ze sporym powodzeniem. Jak to naturalnie bywa, dajmy na to, w Roussillon, Tokaju czy Piemoncie, wyszli do ludzi szukających „wina miejsca".

Dzisiaj całość przedsięwzięcia to mała, lecz profesjonalna winiarnia, dwa hektary upraw, 8 tys. krzewów, trzy siedliska, od Doliny Prądnika do Doliny Dłubni, położone na niebagatelnej dla polskich winnic wysokości od 300 do 400 m n.p.m. Są to jurajskie, w większości południowe, zbocza, z dominującymi raczej ciężkimi glebami gliniastymi na wapiennym podłożu.

Podchodziłem ostrożnie do ich win, wytworzonych wyłącznie z „mieszańców" (tzw. odmian PIWiW): dla białych seyval i solaris, a dla czerwonych leon millot, maréchal foch, regent, rondo, cabernety cantor i cortis.

Moje wątpliwości i uprzedzenia spłynęły wraz z pierwszymi łykami ich rosé, powstałego z mieszańców, rondo i regenta. Wina prostego, lecz świetnie zrównoważonego, z dobrą kwasowością i szczerym owocem. Jeszcze większe wrażenie zrobiło na mnie białe wino z odmiany seyval blanc o nazwie Seya. To mineralne, zwiewne, stosunkowo kwasowe, purystycznie zrobione wino, z niskim alkoholem (11 proc.) ma zadatki na dobre wino gastronomiczne, czego o wielu polskich winach powiedzieć dziś jeszcze nie można. Białe wina Kasi i Jacka wydają mi się wyraźnie ciekawszymi od czerwonych i deserowych, co w naszym klimacie zresztą nie powinno zaskakiwać.

Nadal jestem przekonany, że także w Polsce udane wina z rieslinga, pinot gris i blanc czy sylvanera będą zawsze lepsze od nawet najbardziej udanych win z hybryd, może jednak już mniej fundamentalnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ae45b5c7b4

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Miecz pana kasztelana

Pan Tomasz Olędzki herbu Rawicz, kasztelan zakroczymski, opisany w pamiętniku Jana Chryzostoma Paska, był w połowie XVII w. wielkim żołnierzem, a jednocześnie dziwakiem. W młodości ukończył kolegium jezuickie w Pułtusku i został żołnierzem – brał udział w stłumieniu buntu Tarasa Fedorowicza w 1630 r., w wojnie smoleńskiej 1632–1634, gdzie zdobył sławę nie tylko dobrego wojownika, lecz także mistrza szabli. Później został dworzaninem królewskim, ale wycofał się z życia publicznego; wkrótce został chorążym drohickim i pojął za żonę Annę Grzybowską. W 1640 r. ożenił się po raz kolejny – z panią Wodyńską, otrzymał też urząd kasztelana zakroczymskiego. Jan Chryzostom Pasek spotkał go w kwietniu 1660 r., kiedy jego chorągiew zatrzymała się w okolicach Siedlec.

Stary Olędzki sprawiał na pamiętnikarzu wrażenie szalonego. „Pan kasztelan zakroczymski, ludzki był to człowiek, wielce dobry żołnierz i mąż doświadczony, tylko, że mu się to głowa była napsowała" – zapisał Pasek. „Nie czynił on nic złego, jako to szaleni czynią, ale tylko uczynił się jakimsić okrutnie nabożnym". Kasztelan nie mieszkał zatem z żoną, ale osobno każde z nich zarządzało swoimi dobrami. Nigdy nie nocował u małżonki i nie okazywał wesołości. Na czapce nosił krzyżyk i zdejmując ją, zawsze wpatrywał się w niego. Towarzyszył mu chłopiec niosący miecz.

Pewnego razu przyjechał do kasztelanowej na obiad, gdzie przebywali już Pasek i towarzysze z jego chorągwi. Chcieli wyjść go powitać, ale żona uprzedziła ich, aby tego nie robili. Kiedy kasztelan wszedł, najpierw klęknął przed żoną, jak przed biskupem, potem zaś odezwał się do niejakiego Kościuszkiewicza, który miał

FOT. WIKIPEDIA

długą brodę: „Czołem Mości Panie Hetmanie". „Czołem mości królu" – odrzekł towarzysz. Po powitaniach towarzysze prosili go do stołu, ale nie chciał siadać – jadł z czeladzią, a z każdym kielichem wina szedł najpierw o pozwolenie do żony. „Prawił jedno ku rzeczy, drugi nicpotem, a miecz zaraz podle boku z chłopcem, na który ja miałem pilne oko, bo to przecie z szalonym dziwna sprawa" – pisze pamiętnikarz. Po obiedzie kasztelana proszono do tańca, ale nie chciał. Kiedy zaś niejaki Łącki zaprosił go do zabawy, Olędzki, uderzywszy dwoma palcami w miecz, odpowiedział: „Ja z tą tylko jedną panną zwykłem tańcować, gdybym z nią poszedł, mogłoby to się komu w ordynku uprzykrzyć".

Jak podaje Pasek, kasztelan zakroczymski walczył nie tylko szablą, lecz także mieczem. Jak powiadano, w domu nieraz kazał grać muzyce, a on podpiwszy, wyczyniał nim różne sztuczki. „Szermierz był to doświadczony, tak o nim powiadają" – zanotował pamiętnikarz. Dzisiaj wydaje się to dziwne, wszak w XVII w. królowała u nas szabla, jednak w źródłach zachowało się wiele wzmianek o szlachcicach, którzy kultywowali dawny sposób walki ciężką bronią. Na obrazach z epoki, jak choćby na „Rolce sztokholmskiej" lub „Apoteozie Gdańska", widzimy chłopców, którzy noszą za panem długi obosieczny miecz. Inna rzecz, że jest to broń w oprawie podobnej do rapierów i pałaszy, a nie egzemplarze zachowane ze średniowiecza. Mieczy zresztą używała na początku XVII w. ciężka jazda – kirasjerzy – zamiast rapierów, które słabo nadawały się do walki konnej.

Kasztelan zakroczymski stoczył wiele pojedynków – w tym jeden w obronie majętności. Kiedy bowiem przyjechała tam na rabunek chorągiew pancerna Karola Potockiego, dobrze znana z akt sądowych, wyjechał jej naprzeciw z 10 sługami i wyzwał porucznika na pojedynek. Odjechawszy od oddziału, starli się konno na szable – Olędzki ciął dwa razy przeciwnika, aż spadł z konia, a potem, kiedy skoczyła na niego cała chorągiew, aby pomścić dowódcę, wytrzymał atak, pociął i porąbał towarzyszy tak bardzo, że w walce zdobył nawet sztandar i kotły, które odesłał potem hetmanowi.

Pasek przedstawia w pamiętniku kasztelana jako szaleńca, co jest znaczną przesadą. Bez wątpienia Olędzki, weteran licznych wojen, pojedynków i zwad, pod koniec żywota znany był z ekscentrycznych zachowań. Jednak jak podaje Jacek Głażewski w pracy o pobycie Paska w Siedlcach, 10 lat po tych wydarzeniach kasztelan mianowany został delegatem senatu do komisji granicznej; czego by zapewne nie uczyniono, gdyby zdradzał oznaki obłędu.

Olędzki zmarł w 1678 r. i został pochowany w Siedlcach; do dziś znany jest jako jeden z pierwszych polskich szermierzy. ©℗

eprasa.pl ae45b5c7b4

PIECZONKI EUROPOSŁANKI JADWIGI WIŚNIEWSKIEJ

Lubię gotować, szczególnie latem. Moją topową wakacyjną potrawą są pieczonki, nazywane czasem prażonkami, i leczo z dojrzałych warzyw. Pieczonki to regionalna potrawa jurajska z bardzo długą tradycją, popularna w okresie wakacyjnym. Przygotowuje się ją w żeliwnym garnku i piecze na ognisku. To proste danie, ale wymagające wyczucia w doborze proporcji. Ważne są też składniki wysokiej jakości, najlepiej prosto od rolnika – ziemniaki, które się nie rozgotują, buraki, soczysta cebula, wędzony boczek i kiełbasa. Z zimnym kwaśnym (zsiadłym) mlekiem – najlepiej również kupionym bezpośrednio od rolnika – smakują obłędnie.

Składniki:

- boczek wędzony
- ziemniaki
- kiełbasa
- buraki
- pieprz
- liść bobkowy
- ziele angielskie

Przygotowanie:

Dno i boki żeliwnego garnka wykładamy wędzonym boczkiem, następnie układamy warstwami: ćwiartki ziemniaków, bardzo cienko pokrojone plastry buraków, plasterki kiełbasy (ja wykorzystuję kiełbasę śląską), talarki cebuli. Przyprawiamy dużą ilością pieprzu i soli, liściem bobkowym i zielem angielskim. Na wierzch kładziemy jeszcze liść kapusty i przykrywamy gar ciężką, żeliwną pokrywą. Niektórzy dodają także drób (ja jednak wolę wersję z kiełbasą i boczkiem) oraz marchew, ale moim zdaniem daje ona za dużo słodyczy, która nie pasuje do tego dania.

Potrawę pieczemy na ognisku. Czas pieczenia zależy od garnka, którego używamy. Mój garnek potrzebuje na wolnym ogniu 45 minut. Smacznego. ©℗

oprac. raw

Jadwiga Wiśniewska jest posłanką PiS do Parlamentu Europejskiego.

FOT. ARCHIWUM JADWIGI WIŚNIEWSKIEJ

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Lokalne, czyli skąd?

– Proszę pani, czy te morele są polskie? – dopytuje klientka na rynku warzywnym.

– Polskie, oczywiście, bardzo słodkie, zapewnia sprzedawczyni.

W tym przypadku polskie znaczy najlepsze, nasze. Jednak nie zawsze tak jest. Jeśli bowiem morele powinny być polskie (smaczne), to samochód koniecznie niemiecki (niezawodny), perfumy francuskie (szykowne), buty włoskie (modne), a odzież używana tylko skandynawska (praktyczna). Tak myślimy, stereotypami. Cóż, natura ludzka ma do nich skłonność.

Truskawki z Andaluzji nie cieszą się naszą sympatią, awokado kupujemy, choć wolimy nie myśleć o tym, że robimy krzywdę meksykańskim chłopom. Ale cebula? Cebula pozostaje poza kręgiem podejrzeń. Kto by pomyślał, że przyjechała z Kazachstanu albo z Indii, czego dowiedziałam się z mojej ulubionej audycji w Polskim Radiu „AgroFakty". Z powodu suszy zebraliśmy w tym roku o 15 proc. cebuli mniej niż w zeszłym roku. No dobra, niech będzie Kazachstan. Ale dlaczego koperek w Biedronce ma być z Chin? Na to się już nie zgadzam, ja, fanka koperku, która dodaje go do wszystkiego. Do tego stopnia, że goszczący u nas z wizytą Anglicy spytali, czy koperek jest polską potrawą narodową.

– Jak myślisz – skąd przyjeżdżają nasze „lokalne" warzywa? – spytała mnie przyjaciółka zamieszkująca na stałe mazurskie miasteczko, gdzie ja emigruję tylko na lato. Jest o wiele bardziej przytomna, jeśli chodzi o miejscowe realia, zresztą nie tylko o nie. – Z Broniszów, wyjaśniła, nie czekając, aż palnę jakieś głupstwo.

– O czwartej rano jadą do Warszawy i stamtąd to wszystko przywożą, a my zachwyceni, że mamy lokalne.

„Lokalne" to od pewnego czasu słowo fetysz żywieniowców, gastronomii, smakoszy. Rośnie blisko, nie wymaga transportu, jest nasze. W mieście trudno o lokalne, chyba że zbierzemy trochę szczawiu na łąkach Łuku Siekierkowskiego,

FOT. ADOBE STOCK

zanim wyrośnie tam kolejne blokowisko. W naszym mazurskim regionie pól, łąk i lasów lokalne jest po prostu częścią tożsamości. Gdy zatem przyjeżdżają tu turyści z Warszawy, ich pierwszą myślą jest to, by rzucić się na nasz lokalny, czwartkowy targ. I co? Firany, biustonosze, ręczniki, ścierki, adidasy; wszystko z Chin.

Lokalni są tylko jeden smętny pan, który sprzedaje wiklinowe kosze, oraz starsza pani z ofertą kaczek i miejscowego przysmaku – czerniny, krwi kaczej, wyjaśniam niewiedzącym. Można z niej zrobić zupę, którą lokalni jadają, ale którą nielokalni się brzydzą. ©℗

eprasa.pl ae45b5c7b4

NOWE PORSCHE 911 CARRERA

Do europejskich salonów Porsche zaczyna trafiać nowa bazowa wersja Porsche 911. Najtańsze porsche ma trzylitrowy, sześciocylindrowy silnik o maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 450 Nm oraz mocy 385 koni mechanicznych, czyli o 15 KM więcej od tego samego modelu starszej generacji.

Bazowe 911 Carrera Coupé od zera do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 4,2 s. A sprint od zera do 160 km/godz. zajmuje 9 s. Kabriolet w sprincie od 0 do 100 km/godz. wypada gorzej o ok. 0,2 s, a do 160 km/godz. przyspiesza w 9,4 s.

Prędkość maksymalna Coupé wynosi 293 km/godz., a kabrioletu – 291 km/godz. Cena bazowego modelu 911 Carrera Coupé w Polsce zaczyna się od 520 tys. zł. 911 Carrera Cabriolet od 589 tys. zł. Do mocniejszej wersji Carrera S – która zadebiutowała kilka miesięcy wcześniej – trzeba dopłacić 75 tys. zł, ale w zamian otrzymuje się: 65 KM więcej, bardziej prestiżowe oznaczenie na nadwoziu, felgi o większej średnicy i bardziej seksowne końcówki wydechu. Wnętrze jest identyczne. W obu wersjach znajduje się więc dotykowy ekran o przekątnej 10,9 cala oraz nowoczesne systemy wspomagające kierowcę.

NOWE ZNAKI W POLSCE

Już w sierpniu na polskich drogach powinny pojawić się dwa nowe znaki drogowe: D-51a oraz D-51b. Pierwszy z nich informuje o rozpoczęciu automatycznej kontroli średniej prędkości, a drugi o jej zakończeniu. Nowe znaki powinny być bardziej czytelne dla kierowców niż dotychczas stosowane przy odcinkowych pomiarach prędkości. Nie tylko jasno wskazują, że nie mamy do czynienia z klasycznym fotoradarem, lecz także przypominają kierowcy, jakie ograniczenie obowiązuje na odcinku drogi, na którym kontrolowana jest średnia prędkość pojazdów. To ważne, bo dotychczas wielu kierowców nie pamiętało, jakie ograniczenie obowiązywało w danej strefie, i bez powodu zwalniało znacznie poniżej faktycznie obowiązującego limitu.

TESLA Z SERIALAMI NA DESCE ROZDZIELCZEJ

Być może już w sierpniu obecnego roku kierowcy Tesli będą mogli na dużym, głównym ekranie systemu multimedialnego na desce rozdzielczej oglądać seriale z Netfliksa, teledyski z YouTube'a lub filmy w Hulu. Początkowo – zgodnie z prawem – będą to mogli robić tylko podczas postoju (w tym prawdopodobnie także podczas postojów przymusowych, czyli w ulicznych korkach). Założyciel i szef Tesli Elon Musk wierzy jednak, że w niedalekiej przyszłości prawo się zmieni i z „kinowych doznań" na pokładzie kierowcy i pasażerowie Tesli będą mogli korzystać również podczas autonomicznej jazdy. Problem polega na tym, że nie wiadomo, kiedy ta autonomiczna jazda rzeczywiście będzie już legalna. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ae45b5c7b4

REPUBLIKA

PROGRAM
Adriana Stankowskiego

STUDIO PRASOWE

PREMIERA

Niedziela 10:06

NA ŻYWO z Polskiego Radia 24
na antenie **TV Republika**

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Kamyk" już nie prątkuje

Aleksander Kamiński, „Kamyk", autor „Kamieni na szaniec", „Zośki i parasola", nie zdążył ukończyć kolejnej książki – o najstraszliwszym rozdziale Powstania Warszawskiego. O tym, co zrobiono z ocalałymi powstańcami już po wojnie. Chociaż w przeważającej większości nie poszli do lasu ani do podziemia, ale według wskazań „Radosława", Jana Mazurkiewicza, ujawnili się, rozpoczęli studia lub pracę, to nowa komunistyczna władza uważała ich za wrogów kontynuujących konspirację. Skazywała ich na brutalne śledztwa, tortury, długoletnie więzienia, skąd wychodzili schorowani, dopiero po Październiku.

Latami represjonowano m.in. Aleksandra Kamińskiego, legendę już za życia – harcmistrza, członka Komendy Głównej ZHP, w czasie okupacji twórcę podziemnego harcerstwa Szarych Szeregów i „Biuletynu Informacyjnego", głównego pisma AK. W 1950 r. został usunięty z Uniwersytetu Łódzkiego z zakazem pracy naukowej i dydaktycznej. Pozbawiono go stopni i wyrzucono również z harcerstwa, wkrótce zresztą – w 1949 r. – zlikwidowanego (na jego miejsce powołano, wzorowaną na organizacji sowieckich pionierów, przybudówkę do ZMP, jedynej wtedy młodzieżowej organizacji).

Do nagonki na Kamińskiego dołączyli również literaci, usuwając Kamińskiego ze Związku Literatów. Wcześniej zresztą niszczyli jego „Kamienie na szaniec". Już w 1946 r. w „Przekroju" zaatakował je Jan Kott, zajadły wówczas stalinista. „Odrzuca mnie od tej książki. Jest groźna" – pisał. I miał rację, bo to wszystko, co pokazywała – męstwo, patriotyzm, służbę sprawie – było dla komunistów groźne. Z kolei Ryszard Matuszewski w „Kuźnicy" zarzucał Kamińskiemu „zbłąkanie" i brak w książce stosownej linii ideowej.

Kamienie na szaniec", „Antek cwaniak" i wszystkie inne książki Kamińskiego, podobnie zresztą jak wszystkie inne pozycje dotyczące harcerstwa i skautingu, znalazły się na opracowanej w 1951 r. liście książek zakazanych – ideologicznie szkodliwych, wrogich ustrojowi, przeznaczonych do wycofania z księgarń i bibliotek, przeznaczonych na przemiał.

Wszystkie ciosy, a zwłaszcza masowe aresztowania jego wychowanków, bohaterów jego książek, harcerzy, złamały Kamińskiego. Odezwała się zaleczona dawno gruźlica, zaczęły się wyniszczające krwotoki. Był bliski śmierci. Otrzymał głodową inwalidzką rentę. Jego żona jako pracownik naukowy zarabiała niewiele, a mieli małą córeczkę Ewę. Pomogło mu wtedy kilku przyjaciół, umieszczając go „po cichu" w Mądralinie, potem Turczynku – domach wypoczynkowych PAN, gdzie dochodził powoli do siebie.

Do więzień zszedł wtedy cały jego świat. Siedział m.in. harcmistrz Jerzy Braun, któremu w śledztwie wybito oko, autor słów harcerskiej pieśni „Płonie ognisko i szumią knieje". Dziwiono się często, dlaczego nie aresztowano Kamińskiego, „Orszy" – Stanisława Broniewskiego, dowódców Szarych Szeregów. Nie było to jednak potrzebne. O wiele więcej tak cennej o nich wiedzy zdobywał UB dzięki ich przyjacielowi, harcmistrzowi Kazimierzowi Koźniewskiemu – agentowi bezpieki o pseudonimie 33, później znanemu dziennikarzowi. Namawiał on wręcz do likwidacji harcerstwa i aresztowań, alarmując, że „nadal trwa wojenne rozparzenie, śpiewy powstańczych piosenek", a władze AK chciały utrzymać batalion „Zośka" „w stanie bojowym".

A przede wszystkim, zgodnie z zadaniami, donosił o swoim druhu „Kamyku" – o jego stanie zdrowia („Już nie prątkuje, wraca z Mądralina po 1 maja, ale stan jego zdrowia jest nadal bardzo ciężki, nie może chodzić, nosić czegokolwiek"), o kontaktach („był dwukrotnie w Warszawie, widział się z Rossmanem z Szarych Szeregów i prawdopodobnie z Marysią Straszewską"), o poglądach i nastrojach („W rozmowie sprostował słowo »banda« na »organizacja«, stwierdzając, że zadecyduje o tym historia"; „Jego postępująca reakcyjność objawia się w każdym słowie i zdaniu"). ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl ae45b5c7b4

OKIEM JASTRZĘBIA

Takie tam z Amsterdamu

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Takim tam obrazkiem pragnę się z państwem dziś podzielić, a z wnioskami to niech sobie państwo sami… Na początku zaznaczę, iż osobiście przysięgam, że to był przypadek.

Polecieliśmy z rodziną do Amsterdamu akurat w dniach, w których odbywała się tam – prawie że światowa – Parada Równości. Wszystko na tęczowo. Już nawet na lotnisku kręcioły do odbierania bagażu tęczowe, i że trzeba być dumnym, ale nie o tym, nie o tym. Jakoś tak specjalnie przez ten tydzień na żadne parady się nie natknęliśmy, ale też akurat bardziej byliśmy zainteresowani muzeami i knajpami (ja bardziej knajpami, jestem ukontentowany). Ale nie o tym, nie o tym.

Obrazek numer jeden: mieszkamy sobie w hotelu, a obok nas mieszkają młode chłopaki o śniadej skórze z Arabii Saudyjskiej. Tak, wiem na pewno, że z Arabii Saudyjskiej, gdyż wiem to na pewno. Hotel niezły, blisko centrum, jemy śniadanie. Po śniadaniu chłopaki wychodzą na zewnątrz i przypalają sobie zioło, trawę, marihuanę, bardzo grzecznie. Tak, wiem na pewno, że zioło, trawę, marihuanę, bo zapach znam, widziałem na wielu filmach.

W Amsterdamie można przypalać na legalu, natomiast w Arabii Saudyjskiej sytuacja jest nieco inna, gdyż w ubiegłym roku za przestępstwa narkotykowe skazano tam na śmierć – i wyroki wykonano – 58 osób. Nadmienię raz jeszcze, że Arabowie młodzi, przypalając, byli bardzo grzeczni oraz z twarzy szczęśliwi w tym Amsterdamie, i obiecuję, że ich rodzicom nic nie powiem. Oczywiście państwo to są zaraz ciekawi: Czy ten Jastrzębowski to w tym Amsterdamie przypalał czy nie? Odpowiadam kategorycznie: „Nie! Iza pilnowała".

Obrazek numer dwa: duży sklep towarowy w centrum, na stoisku z ubraniami kobieta zawinięta w tradycyjny strój muzułmanki, widać jej twarz i to by było na tyle. Kuca na stoisku z tęczowymi koszulkami dla gejów i upycha je do torby, jakby się nieco kryjąc. Dziwne, bo przy kasie i tak będzie musiała wyjąć, chyba że chce wyjść na zapominalską, ale to nieco ryzykowne. Komu ona to kupuje? W domu się z mężem przebierają? Dziwne, dziwne, a Amsterdam piękny, polecam z serca.

Tak mi się przypomniało, że w Arabii Saudyjskiej za kradzież grozi obcięcie dłoni, a za recydywę – stopy, a za homoseksualizm – głowy. Ale nie wiem, czy ta pani była z Arabii. Oczywiście państwo to są zaraz ciekawi: Czy ten Jastrzębowski to sobie coś tęczowego w tym Amsterdamie kupił czy nie? Odpowiadam kategorycznie: „Nie! Nie było moich rozmiarów". ©℗

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Zbawicielka lekkoatletyki

MARCIN MAKOWSKI

Nawet w świecie, w którym poprawność polityczna urasta do rangi świeckiej religii, przychodzą takie momenty, w których nie bardzo wiadomo, jak wybrnąć z logicznego galimatiasu. Jakie mniejszości i jakie priorytety są bardziej postępowe, jeśli wchodzą ze sobą okazjonalnie w konflikt? Czy – niczym na popularnym nagraniu z centrum Londynu – ubranej w hidżab muzułmanki, a może paradującego z tęczową flagą aktywisty LGBT? Ta pierwsza wrzeszczała bowiem na niego wniebogłosy: „Wstydź się!". Ten drugi coś jej nieparlamentarnego odpowiadał i starał się uciec, osłaniany przez cywilną ochronę marszu. Potępić ksenofobię kobiety? To będzie niechęć do mniejszości etnicznych i wyznaniowych. Powiedzieć cokolwiek negatywnego o prowokacyjnej formie parady równości? Homofobia.

Podobny egzamin z tolerancji od lat zdają środowiska lekkoatletyczne, które raz po raz starają się zaklasyfikować Caster Semenyę – biegaczkę z RPA – w gwarantujących równe szanse wszystkim uczestniczkom zawodów kategoriach płciowych. Ponieważ jej ciało wydziela podwyższony poziom testosteronu ze względu na obecne w nim chromosomy męskie, masa mięśniowa i wydolność organizmu znacznie przewyższa tę u biologicznych kobiet. Mając ten fakt na uwadze, Międzynarodowe Stowarzyszenie Federacji Lekkoatletycznych zmieniło przepisy i nakazało farmakologiczne obniżenie poziomu testosteronu u zawodniczek – i tutaj uwaga, język nienawiści – „z zaburzeniami rozwoju płci", startujących na dystansach od 400 m do jednej mili.

Caster Semenya czuje się jednak w pełni kobietą i nie zamierza stosować się do zaleceń organizacji, przekazując sprawę do Trybunału Arbitrażowego ds. Sportu, który zadecyduje, czy może bronić tytułu mistrzyni świata na mistrzostwach w Dausze, które odbędą się od 27 do 6 października. Sąd Najwyższy w Szwajcarii, który zajmował się tą sprawą i wydał wyrok niekorzystny dla sportsmenki, błyskawicznie dostał się pod ostrzał liberałów jako zaściankowy i seksistowski. – Myślę, że jestem na tym świecie z jakiegoś powodu, że jestem żywym świadectwem. Powiedziałabym, że w pewnym sensie nawet zbawicielem. [...] Swoje życie porównałabym do życia Jezusa. Też zostałam ukrzyżowana. Wyzywano mnie z imienia i nazwiska za to, co zrobiłam – skomentowała chęć wykluczenia jej z zawodów oraz swoją „gehennę" Semenya. Dodała również, że jeśli ludzie „chcą oglądać, jak biega, powinni móc to robić", bo ostatecznie chodzi o to, aby „jeden człowiek inspirował drugiego", a federacje lekkoatletyczne chcą to zniszczyć. I co tutaj zrobić, wykluczyć posiadającego zaburzenia hormonalne, homoseksualnego (Semenya wzięła niedawno ślub ze swoją wieloletnią partnerką) Jezusa sprintu? Kto się odważy? ©℗

eprasa.pl ae45b5c7b4

OKIEM BLOGERKI

I po aferze

KATARYNA

***MAGDALENA MAJKOWSKA:* Uczeń na przerwie zwrócił uwagę koledze narodowości ukraińskiej, który wychwalał Banderę, że w Polsce uważany jest on za bandytę. Szkoła zgłosiła sprawę do sądu opiekuńczego w Toruniu, stawiając uczniowi zarzut nacjonalizmu. Wobec rodziców toczy się postępowanie o ograniczenie władzy rodzicielskiej na skutek zawiadomienia szkoły.**

Od tego tweeta prawniczki Ordo Iuris zaczęła się regularna nagonka na wspomnianego ucznia pochodzenia ukraińskiego, szkołę, do której chodził, nauczycieli i dyrektorkę, a także na Ukraińców. Przytoczyłabym, żeby oddać klimat, ale w przyzwoitej gazecie nie uchodzi język, jakim większość internautów wyżywała się na wskazanych palcem przez panią z Ordo Iuris winnych rzekomych prześladowań na małym polskim patriocie, który chciał tylko uświadomić historycznie ukraińskiego kolegę. Sądząc po atmosferze nagonki, którą jednym tweetem stworzyła przedstawicielka Ordo Iuris, gdyby w którymś momencie podano informacje pozwalające zidentyfikować ukraińską rodzinę, mogłoby dojść do linczu na 10-latku ze strony internetowych patriotów.

Szybko się jednak okazało, że w tej historii niewiele się trzyma kupy, a sądowe kłopoty polskiego ucznia mają zgoła inne podłoże niż krzewienie prawdy historycznej. Okazało się, że to mały agresor, którego ofiarą padali inni uczniowie bez względu na narodowość i bez specjalnych powodów, więc Ordo Iuris zaczęło się rakiem wycofywać, a sama inicjatorka nagonki pouczała innych, że: „Trzeba stanowczo odrzucić wszelkie próby wykorzystywania sprawy nieuzasadnionej ingerencji szkoły w życie rodzinne Macieja do budowania atmosfery konfliktu narodowościowego", choć sama była jedyną osobą, która to zrobiła, i z pewnością nie była to niezamierzona niezręczność, ponieważ w żadnym momencie internetowej nagonki nie próbowała mitygować swoich czytelników wzywających do przegonienia „Ukrów" z Polski.

W ubiegłym tygodniu dopisany został przedostatni rozdział tej „afery". Przeprowadzona przez Marka Gralika – zresztą nominata PiS i byłego kandydata tej partii na prezydenta Bydgoszczy – kontrola nie potwierdziła histerycznych doniesień Ordo Iuris. „Ustalenia wykazały, że doniesienia medialne nie są adekwatne do rzeczywistych wydarzeń. Treść przedstawionych podczas kontroli uwag z dziennika elektronicznego wskazuje na zachowanie agresywne ze strony ucznia przedstawianego w mediach jako Maciek w stosunku do wielu kolegów, natomiast żadna z uwag zawartych w dzienniku elektronicznym nie wskazuje na istnienie między nim a chłopcem z Ukrainy konfliktu na tle narodowościowym. Podjęto decyzję o zwróceniu się do sądu rodzinnego o wgląd w sytuację rodzinną. W treści pisma nie ma żadnych wzmianek o ograniczeniu praw rodzicielskich". Jak widać, nawet kurator z PiS w odpowiedzi na interpelację posłanki PiS nie umiał uratować kłamliwej narracji prawniczki Ordo Iuris wspieranej zresztą w tym przez swoją organizację.

Czas na epilog, bo sprawa zasługuje na poważne potraktowanie. Jeśli jest jeszcze jakaś etyka zawodowa, korporacja prawnicza powinna się poważnie zająć panią, która swój zawód i informacje uzyskane w ramach pełnienia go wykorzystuje do uprawiania tego rodzaju polityki. A najbardziej kibicować temu powinniśmy my – ludzie mediów – bo karmiąc nas kłamstwami, robi z nas nieświadomych wspólników nagonki. ©℗

PODSŁUCHANE

Detaliki

Jareczku, mógłbym chwilunię zająć?...
Marek, zejdź mi z oczu! Mało problemów narobiłeś?!
Ale ja właśnie w tej sprawie... Bo ja już te pieniążki wpłaciłem tam, gdzie kazałeś...
Tyle przynajmniej.
No tak. Tylko że tam jeszcze taki drobiażdżek, detalik taki maleńki może ewentualnie wyjść, więc chciałem, żebyś może pierwszy wiedział, żeby cię to nie zaskoczyło.
Co znowu?! Kogoś ty tam jeszcze woził? Ciocię? Kolegów z wojska? Nitrasa?
Nie, nie! Broń Boże! Żadnych Nitrasów, nawet cioci nie woziłem, tylko...
No gadajże!
Bo ja tam parę razy troszkę pokierowałem.
Że co?! Co znaczy „pokierowałem"?!
No, popilotowałem troszkę. Niedużo w sumie, może raptem wszystkiego razem z pięć godzin...
Że jak???!
Ale to nie wina pilotów! Absolutnie! Ja po prostu zawsze chciałem być pilotem, ale wiesz, jakie były czasy... Powiedziałem, że jestem drugą osobą w państwie, postraszyłem może troszkę i mnie wpuścili. I tak pokazywali, uczyli, no i się wciągnąłem.
Ja cię nie mogę...
Mówią, że mam talent. Jak już przestanę być marszałkiem, to mógłbyś mnie rzucić do LOT-u? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Trochę wiem, to piękne miasto".

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA, *polityk PO, odpowiadając na pytanie dziennikarza Polsat News o to, co wie o Wrocławiu, z którego ma kandydować do Sejmu*

eprasa.pl ae45b5c7b4

fot. Jerzy Gumowski

STYTUCJA

Umiejętność czytania bardzo się w Polsce zepsuła, o czym świadczy nie tylko drastyczny już spadek czytelnictwa książkowego, lecz i fakt, że choć gdański elektryk dzień i noc dekoruje swój opasły brzuch wielkoliterowym napisem KONSTYTUCJA — mnóstwo ludzi (miliony), zamiast przeczytać to prawidłowo, sylabizuje: PROSTYTUCJA. Chodzi im o paraseksualne usługi dla esbecji PRL–u, których żałosne negowanie przez Wałęsę (a także straszenie sądami) stało się już — jak to ujął Mirosław Winiarczyk — *„surrealistycznym festiwalem zaprzeczania”* (2019). Gdyby Wałęsa miał sprawny płat czołowy — dawno miałby ten problem z głowy (przyznanie się–pokajanie–wybaczenie), ale obrał drogę *„pójścia w zaparte”* wbrew stertom demaskujących go dokumentów i rozlicznym świadectwom ludzi reżimu peerelowskiego. Spośród nich cytuję ledwie jedno (felietonowa szczupłość miejsca) — wspominek prof. Pawła Bożyka (ekonomicznego doradcy Edwarda Gierka, I sekretarza KC PZPR), przy którym szef MSW, Stanisław Kowalczyk (poprzednik generała Czesława Kiszczaka), raportował Gierkowi uspokajająco latem 1980 roku: *„ — Ten Wałęsa to nasz człowiek. Współpracujemy z nim, także finansowo, już od siedmiu lat, jestem więc całkowicie pewien, że się dogadamy”*. Zadowolony Gierek odparł: *„ — No to nie róbcie mu krzywdy, rozmawiajcie z nim dalej”*. Rozmawiali.

Ważne rozmowy spowiednicze *„Lechu”* toczył nie tylko ze spowiednikami świeckimi (*„oficerami prowadzącymi”*), ale i z kościelnymi, co zresztą pewnie wychodziło mniej więcej na jedno, bo legendarny kapelan „Solidarności”, ksiądz Henryk Jankowski, był pedofilem–gwałcicielem trzymanym przez SB za nabiał jako KO *„Libella”* i KO *„Delegat”*, a legendarny osobisty kapelan Wałęsy, jego przyboczny duchowny (nieodłączny codziennie), ksiądz Franciszek Cybula, pracował dla bezpieki jako TW *„Franko”*. Trzeba też oczywiście pamiętać, że nawet nie będąc swego czasu esbeckim szpiclem — Wałęsa byłby dzisiaj nieustannie obiektem szyderstw i politowania, zbyt duża bowiem liczba jego rodaków to ludzie inteligentni, więc z jego żenującym (nieomal menelskim) poziomem intelektu nie miałby lekko. A reszta społeczeństwa? Wszelacy salonowcy (platformersi, lewacy, .nowocześniacy, KODomici, Obywatele RP, itp.), którzy desperacko bronią czci *„Bolka”*, są jak kierownictwo rządzącej Chinami partii komunistycznej — dopiero co, mimo szalejącego rynkowo chińskiego kapitalizmu, zarządziło ono intensywne szkolenie ideologiczne wszystkich członków KPCh z marksizmu–leninizmu–maoizmu (sic!), doskonale wiedząc, że ekonomiczne (i nie tylko ekonomiczne) teorie Marksa, Lenina czy Mao całkowicie zbankrutowały w praktyce gospodarczej tudzież politycznej tych krajów, które na swoje nieszczęście starały się je realizować. Salonowcy wiedzą o TW *„Bolku”* to samo co patrioci, czyli wszystko, ale *„rżną głupa”* lansując maniakalnie konfidenta SB jako bohatera narodowego. Siła tej propagandowej hucpy działa również odpryskowo/rykoszetowo nie tylko za granicą, lecz i za wokandą: każdy spowodowany *„na fleku”* wypadek drogowy jego syna był przez sądy alibizowany *„pomrocznością jasną”* i karany *„w zawiasach”* (chociaż pijackie kraksy innych traktowano surowo), a wnukowi *„Bolka”* też jedynie pogrożono palcem gdy ciachnął dziewczynę *„kosą”* (jak to u meneli).

Rzecz prosta: kolaboranci UB i SB plenili się za PRL–u nie wyłącznie w knajackich rodzinach, także w inteligenckich, z czym dzisiaj problem miewają cierpiący przez to potomkowie światlejszych delatorów. Wanda Kapica:

> *„Cóż... jeszcze nie tak dawno*
> *ludzie z wyższych sfer*
> *przeważnie należeli*
> *do PZPR.*
>
> *Lecz czasy się zmieniły,*
> *nic dziwnego, że*
> *wolą dziś nie wspominać*
> *tatusia z SB”.*

Niektórzy wspominają. Lider Kultu, Kazik Staszewski, w swej książce wyjawił, że jego ojciec, poeta Stanisław Staszewski, był agentem SB o kryptonimie *„Nowy”*. Wicemarszałek Sejmu, Ryszard Terlecki, grzebiąc w IPN jako historyk znalazł *„teczkę”* swego ojca, pisarza Olgierda Terleckiego, współpracownika SB przez prawie 30 lat (TW *„Lachowicz”*), i upublicznił swą *„hańbę domową”* na łamach mediów. Komentując przypadek Terleckiego reżyser Kazimierz Kutz rzekł: *„ — Takich przypadków jest sporo również wśród filmowców. Niewyobrażalne dramaty. Znam kilku reżyserów, którzy żyją z kompleksem dziecka kolaboranta”* (2016). Ja natomiast znam cały patriotyczny odłam społeczeństwa, który żyje z kompleksem spapranej/niedokonanej lustracji konfidentów. Nawet salonowiec Andrzej Łapicki, znany aktor, ubolewał, że przy rozpoczynaniu *„transformacji”* nie zlustrowano sumiennie *„kapusiów”* — w swym dzienniku pisze pod datą 2 grudnia 1990: *„Mazowiecki nie dobił ubecji, kreska była za gruba. Sam się wstydzę, gdyż popierając kreskę nie miałem racji. Ta pajęczyna dalej nas oplata”*. Istotnie, oplata wciąż. Teraźniejszą Polską trumna Kiszczaka rządzi dużo silniej aniżeli porzekadłowe Giedroycowskie trumny Piłsudskiego i Dmowskiego, co

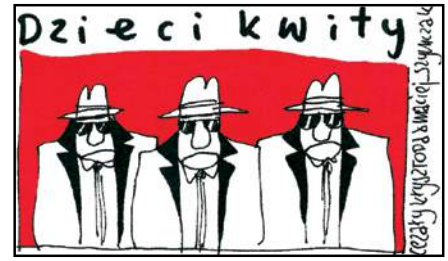

ma różne skutki, od poważnych (sterowanie polskimi figurami przy użyciu *„kwitów”* i *„haków”* przez postesbecję tudzież przez obce *„służby”*), do komicznych (*„udawanie Greka”* przez byłych *„kretów”* i ich apologetów). Gazety wychwalające Bohdana Tomaszewskiego (reportera sportowego) lub Leonarda Pietraszaka (aktora) jako wzorowych dżentelmenów (*„prawdziwy dżentelmen, z poczuciem humoru i nienagannymi manierami”*) ani się zająkną, że idol *„współpracował”*, dają więc nową definicję dżentelmeństwa oraz poczucia humoru (reżyser Marek Piwowski też zapewniał, iż kablował *„dla zgrywu”*).

Dla czyjego zgrywu uwaliliśmy lustrację renegatów? Poseł Zbigniew Girzyński, nadzorujący sejmowo *„ustawę lustracyjną”*, biadolił później: *„ — To była dobra ustawa, tylko została zniszczona. Forma sądowej lustracji, którą narzucił Lech Kaczyński podburzony przez Bogdana Borusewicza, jest bez sensu, bo niezlustrowane sądy, przeniesione w całości z systemu komunistycznego, stały się chrzcielnicami dla rozmaitych agentów, którzy po werdykcie sądowym wkładają białe szaty i udają niewiniątka. Nie powinno się umożliwiać takim sędziom wydawania certyfikatów niewinności”* (2015).

Głównym *„certyfikatem niewinności”* wyprodukowanym przez zgniłe (bo salonowe) sądy III RP jest ten abolicjonizujący *„Bolka”*. Tym stwierdzeniem wracam na koniec felietonu do farmazona, od którego tekst zacząłem — do Wałęsy. Prof. Antoni Dudek przypomniał ostatnio, że gdański elektryk obejmując prezydencki urząd nie miał pojęcia o państwie i KONSTYTUCJI, którą wyciera sobie dzisiaj brzuch: *„Dopiero gdy został prezydentem, zorientował się, iż państwem rządzi premier”*. Zaczął więc majstrować przy tym systemie (*„chciał jednocześnie piastować urząd prezydenta i premiera”*), ale mu się nie udało. Udało mu się natomiast sprawić głupotą i butą, że dzisiaj nawet wśród lewaków zaczyna się rodzić kontr-Wałęsowska pogarda. Exemplum czołowe pióro goszystowskiej **„Angory”**, Henryk Martenka, który stracił cierpliwość po krośnieńskim (marzec 2019) lansowaniu przez *„Bolka”* kosmitów: *„Lech Wałęsa notorycznie odkleja się od rzeczywistości, orbitując w gęste sfery żenady. Przyczyną jest jego charakter i ego rozdęte jak tętniak przed pęknięciem, zaś katalizatorem autodegradacji jest nieuctwo”*. Pytanie: co jest katalizatorem permanentnego uwielbienia Salonu dla nosiciela wirusa OTUA? ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl ae45b5c7b4

eprasa.pl ae45b5c7b4